

**KAROL MAY**

# **ZAMEK RODRIGANDA**

## Zagrożone życie

Od południowej strony Pirenejów zdązał truchtem jeździec do słynnego od dawna miasta Manresa. Muł, na którym siedział, był niezwykle silny, bo też i sam jeździec był wysokiej, potężnej postawy.

Jeden rzut oka wystarczył, aby poznać, że olbrzymi jeździec niezwykle posiadał siłę. Zazwyczaj mają takie silne postacie najspokojniejsze i najłagodniejsze usposobienie. Tak też otwarte oblicze nieznajomego wzbudzało ufność, a jego jasno spoglądające, siwe oczy mówiły wyraźnie, że nie swej siły nigdy nie nadużywa.

Kolor włosów i rysy twarzy zdradzały, że nie był mieszkańcem południa. Spojrzenie miał ostre i przenikliwe, jakie spotykamy tylko u żeglarzy i myśliwych lub też u ludzi, którzy dużo podróżowali. Mógł liczyć może dwadzieścia sześć lat; spokój jaki okazywał, doświadczenie i pewność siebie, które z niego tchnęły, robiły go jednakże starszym, niż był w istocie. Ubrany był według francuskiej mody.

Z tyłu u siodła wisiała skórzana torba, w której zdawały się znajdować rzeczy, mające wielką wartość dla jeźdźca, gdyż od czasu do czasu mimowolnie sprawdzał czy torba znajduje się na swoim miejscu.

Było już dawno po południu, kiedy przybył do Manresy. Jechał wzdłuż starych murów i ciasnymi ulicami zanim się dostał do rynku, gdzie spostrzegł nowy, wysoki dom, nad którego drzwiami widniał napis „Hotel Rodriganda”.

Nieznajomy jechał szybko i zdawało się, że nie ma zamiaru w Manresie odpocząć, skoro jednakże zobaczył ów napis, skierował muła w stronę hotelu i gdy dotknął ziemi stopami, można było w całej pełni podziwiać imponującą postać. W pierwszej chwili uderzyła w oczy potężna budowa jego ciała.

Nieznajomy pozostawił muła służbie i wstąpił do izby, która wyglądała na izbę przeznaczoną dla wytworniejszych gości. W środku był jeden tylko człowiek, który przy wejściu gościa podniósł się ze swego miejsca.

— *Buenas tardes* — dobry wieczór! — powitał obcy.

— *Buenas tardes!* — odrzekł mężczyzna w izbie. — Jestem gospodarzem, czy dobrodziej skorzysta z pokoju?

— Nie, podajcie przekąskę i flaszkę „Vinto regia”. Gospodarz wydał odpowiednie polecenie, a następnie zapytał:

— To pan dziś nie pozostanie w Manresie?

— Jadę do Rodriganda. Daleko to jeszcze?

— Godzina drogi, senior. Wyglądało, jakby pan miał z początku zamiar koło mego hotelu przejechać i nie wstąpić.

— Tak było, — odpowiedział obcy — ale ciekawość nakazała inne postępowanie. Dlaczego nazywacie wasz dom: hotel Rodriganda?

— Gdyż byłem przez wiele lat służącym u hrabiego i jego dobroci zawdzięczam, że mogłem sobie wybudować ten dom.

— To znaczy, że dokładnie znacie stosunki panujące u hrabiego?

— Oczywiście.

— Ja jestem lekarzem i właśnie tam jadę. Było by mi bardzo przyjemnie, gdybym mógł dowiedzieć się czegoś o panujących tam zwyczajach. Z kim spotkam się w zamku Rodriganda?

Gospodarz wyglądał na człowieka uprzejmego, a może rozmowa w samotnych popołudniowych godzinach, sprawiała mu przyjemność. Stał się gadatliwy:

— Chętnie udzielę wszelkich objaśnień. Po wymowie poznaję, że nie jesteś Hiszpanem. W każdym razie zawołano pana do chorego hrabiego, czy tak?

Nieznajomy kiwnął lekko głową, jakby nie wiedział co ma odpowiedzieć, wreszcie odrzekł:

— Tak, coś takiego. Jestem Niemcem i nazywam się Sternau. Przez dłuższy czas byłem pierwszym asystentem u profesora Letoubiera w Paryżu; niedawno otrzymałem list z prośbą, abym jak najszybciej przybył do Rodrigandy.

— Ach tak, to pan jedzie do hrabiego? Nie wiadomo, czy zostanie go pan jeszcze przy życiu.

— Dlaczego? — spytał spokojnie Sternau.

— Hrabia od wielu lat cierpiał na ślepotę, ostatnio przyplątały się u niego jeszcze kamienie, które zagrażają jego życiu. Hrabia cierpi nie do opisania.

— Ratunek leży tylko w operacji.

— Hrabia chce się jej poddać i przywołał w tym celu do siebie dwóch najświetniejszych chirurgów, jednak jego córka, hrabianka Róza, jest temu przeciwna. Lekarze nie mogli dłużej czekać i wczoraj słyszałem, że dziś ma to nastąpić.

— Biada, czyżbym przychodził za późno — zawołał przybysz i szybko wstał. — Muszę natychmiast jechać, może jeszcze zdążyć.

— Wątpię, senior, takiego cięcia po ciemku, nie podejmie się żaden lekarz. Pewnie już po wszystkim... a może nie, bo hrabianka stara się zwlekać z operacją z dnia na dzień, chociaż lekarze, sam hrabia i syn także nie chcą słyszeć o dalszej zwłoce.

— To hrabia Emanuel de Rodriganda–Sevilla ma syna?

— Tak, hrabia Alfonso jest jego synem. Przez szereg lat bawił w Meksyku, gdzie ojciec ma rozległe i bogate posiadłości. Obecnie ze względu na stan zdrowia ojca został ściągnięty do domu, aby być obecnym przy operacji, która jest niebezpieczna i może zakończyć się śmiercią. Hrabia Emanuel sporządził już nawet testament.

— Kto oprócz hrabiego i jego dwojga dzieci jest w zamku.

— Na pewno seniora Klarysa, daleka krewna domu. Jest ona przełożoną klasztoru Karmelitanek w Saragossie a zarazem panną do towarzystwa młodej hrabianki, która nie ma matki. Siostra Klarysa jest bardzo pobożna, ale hrabianka nie lubi jej. Jest tam także senior Gasparino, właściwie miejscowy adwokat i notariusz. Większą część czasu spędza w zamku Rodriganda, gdyż prowadzi interesy hrabiego. Jest również bardzo pobożny a zarazem bardzo dumnym człowiekiem. W zamku przebywa jeszcze poczciwy kasztelan Juan Alimpo i jego żona Elwira; dobrzy ludzie, których mogę panu polecić. Poza nimi nie ma nikogo, bo hrabia żyje samotnie.

— A znacie Mindrella?

— O, tego zna każde dziecko. To biedak, ale poczciwina. Uważają, że trudni się przemytem i stąd jego przydomko — Mindrello, czyli przemytnik. Może mu pan spokojnie zaufać. Jest lepszy od tych wszystkich, którzy nim pogardzają.

— Dziękuję senior. Po tym co usłyszałem muszę się spieszyć. *Buenas noches* — dobranoc!

— *Buenas noches*, senior. Życzę powodzenia.

Doktor Sternau zapłaciwszy, wsiadł na muła i odjechał galopem.

Słońce chyliło się ku zachodowi; muł pędził lekko pod górę, a jeździec sięgnął do kieszeni i wyjął z niej złożony papier. Był to list pisany kobiecą ręką:

*Doktor Sternau,*

*Paryż,*

*ulica Vaugirard 24.*

*Przyjacielu!*

*Rozstaliśmy się na całe życie, ale zaszły okoliczności, wobec których drząc, muszę Pana prosić, abys do nas przyjechał. Ratuj Pan życie hrabiego Rodriganda. Przyjeżdżaj prędko! Po drodze wstąp do Mindrella, przemytnika i pytaj o mnie. Ale błagam, przyjeżdżaj natychmiast.*

Złożył papier i ukrył w kieszeni. Jechał przez gęsty las i marzył o przeszłości, o Paryżu i o chwili, kiedy po raz pierwszy zobaczył Rozettę.

Było to w ogrodzie Des Plantes. Chciał usiąść na ławeczce, lecz spostrzegł, że była zajęta. Zdziwiony i zmieszany widokiem młodej kobiety, której samotność właśnie przerwał, cofnął się, lecz ona wyrwana z rozmyślań także wstała i wtedy zobaczył, że jest prawdziwą pięknoscią. Dotychczas nie mógł sobie wyobrazić kobiety tak pięknej. On, doświadczony lekarz, czuł, że mu puls bić przestaje; po chwili krew uderzyła mu do głowy z dziesięciokrotną szybkością.

Owa chwila rozstrzygnęła o jego i... jej losie. Pokochali się szalenie, lecz nieszczęśliwie. Mógł ją widywać tylko w ogrodzie, dowiedział się, że jest damą do towarzystwa hrabianki Róży, która właśnie ze swym ociemniałym ojcem bawiła w Paryżu. Z przyczyn jakich nie chciała wyjawic, ślubowała panieństwo. Był przekonany, że ona także go kocha i dlatego szalał z rozpacy na myśl o jej niezłomnym postanowieniu. Prosił, błagał, zaklinał. Mimo, że roniła łzy, pozostawała nieubłagalna. Wkrótce potem odjechała, a on — nieszczęsny — musiał jej przyrzec, że nigdy o nią nie będzie pytać. Tylko raz miał okazję całować tę piękną dziewczynę i rozkosz tej chwili przytłumiła boleść rozłąki. Od tej chwili walczył jak olbrzym z cierpieniem, które mu szarpało piersi i targało życie, niestety zwycięstwa nie odniósł. I właśnie wtedy otrzymał list. Czytał go i czuł, że drżą wszystkie jego nerwy. Bez chwili wahania zebrał co potrzeba i pędził za głosem swego serca.

A więc ta wspaniała istota, bogini, której oczy przyświecają czasem nędznemu życiu śmiertelników myślała o nim. Bez chwili zastanowienia rzucił wszystko i pędził przez całą Francję, przez wysokie Pireneje i oto teraz zbliżał się w końcu do celu, zbliżał się do swej ukochanej, wspaniałej, niezapomnianej, do tej, do której należał sercem, duszą i całym życiem.

Słońce skryło się za wyżyny zachodnie, gdy wjeżdżał do wsi Rodriganda.

Wioska sprawiała bardzo miłe wrażenie. Droga była szeroka i czysta, a domki okolone dobrze utrzymanymi ogródkami, pełnymi kwiatów. Hrabia Emanuel de Rodriganda — Sevilla nie był tylko panem, lecz także ojcem swych poddanych i robił wszystko, aby zapewnić im dobrobyt.

Dom Mindrella znajdował się na drugim krańcu wsi. Sternau zastał całą rodzinę przy wieczerzy.

- Czy tu mieszka Mindrello? — zapytał Sternau  
— Tak, senior, to ja — odrzekł mężczyzna podnosząc się z krzesła.  
— Czy znacie pannę do towarzystwa hrabianki de Rodriganda?  
— Jak się nazywa? — badał Hiszpan z ciekawą miną.  
— Rozetta.  
— Boże, toż to pan Sternau z Paryża? — zawołał Mindrello.  
— Tak, to ja.

Na to wszyscy zerwali się z krzesel i wyciągnęli ku niemu ręce, nawet dzieciaki odważyły się przystąpić bliżej i z uśmiechniętymi twarzyczkami podawały ręce do uścisku.

— Witaj, serdecznie witaj! — zawołał Mindrello — W samą porę pan przychodzi. Najjaśniejsza panienska, to jest, chciałem powiedzieć, panna Rozetta jest w wielkiej rozpacz. Zaraz po nią poślę.

— Czy hrabia był już operowany?

— Nie jeszcze nie. Hrabianka tak długo prosiła i błagała, aż wreszcie odłożono operację, jutro odbędzie się z całą pewnością. Hrabianka miała nadzieję, że pan przyjedzie.

— To ona wie o liście, jaki napisała seniora Rozetta?

— Tak, hm, naturalnie, że wie — odrzekł Hiszpan z zakłopotaniem. — Senior, myśmy tu na dzisiaj przygotowali dla ciebie pokoik, tam na górze, gdzie kwiatki w oknach stoją. Ja pana tam zaprowadzę i każę podać wieczerzę, zanim seniora nadejdzie.

— A mój muł?

— Dopóki razem z panem nie sprowadzi się do zamku, znajdzie miejsce i pożywienie u sąsiada. Proszę iść za mną, senior!

Mindrello prowadził Sternau'a małymi schodkami do pokoiku na poddaszu; pokoik był niski i wyjątkowo schludny. Wkrótce podano wieczerzę, w czasie której Sternau napawał się ślicznym widokiem zamku Rodriganda, jaki rozciągał się za otwartym oknem. Zamek zbudowany był w kształcie wielkiego czworoboku jeszcze za czasu Maurów. Otoczony był lasem kolorowych drzew i wyglądał jak wznoszący się pośród zieleni pałac kalifów.

Nastał mrok i Sternau zaśwycił lampę, by przejrzeć instrumenty, które mu gospodarz przyniósł, po chwili usłyszał lekkie kroki na schodach, a następnie zapukano do jego drzwi.

— Proszę! — powiedział.

Drzwi się otwarły i przed nim stanęła... ona. Sternau rozwarł ramiona i chciał biec naprzeciw niej, lecz tak się z nim stało, jak wtedy w Paryżu. Ona stała przed nim tak dumna, tak wzniosła, jak jakaś królowa. Sternau stał jak wryty i wahał się nawet ją dotknąć.

— Rozetta — wybuchnął.

To było wszystko, co mógł powiedzieć, ale w jednym tym słowie zawarty był świat cały uroku i... przebytych cierpień.

Stała przed nim równie wzruszona jak on. Sternau zbladł, rękę podniósł ku sercu, oko stało się większe, ciemniejsze, jakby się łzami napełniło. Jej głos, gdy się odezwała również drżał.

— Senior Karlos, nie zapomniałeś mnie jeszcze?

— Zapomnieć? Ja miałbym panią zapomnieć, zapomnieć o chwilach, których pamięć szła za mną przez lądy i morza... Ja pamiętam, że pani serce było moją własnością, że pani dusza wybiegła radośnie naprzeciw mojej, że pani oczy patrzyły na mnie z wiarą. Żądaj wszystkiego, tylko nie żądaj, abym cię kiedyś miał zapomnieć. Pani jesteś moją myślą, moim marzeniem, moim życiem i cierpieniem. Gdybym miał zapomnieć o pani, to tak samo jakbym miał umrzeć.

— A przecież to musi nastąpić. Dziś jednak możemy się widzieć. Dziękuję panu, że raczyłeś przybyć.

— O, seniora, wierz mi, że przybyłbym nawet, gdybym leżał na łożu śmierci — odpowiedział Sternau z wielkim wzruszeniem.

— Wierzę senior, ja też doświadczyłam potęgi miłości. Lecz mówmy teraz o tym, co spowodowało tę moją prośbę.

— List pani był dość jasny, wszak przeczuwałem, że hrabia jest w niebezpieczeństwie. W Manresie dowiedziałem się, że ma się poddać operacji.

— W istocie, lecz są jeszcze inne powody, które mnie niepokoją, a które mogę wyjaśnić tylko panu. Przeczuwałam, że hrabia znajduje się jeszcze w innym niebezpieczeństwie, nie z powodu choroby. Lecz samo to, że pan przyjechał działa na mnie kojąco. Wydaje mi się jakby wraz z pana przybyciem niebezpieczeństwo to zostało zażegnane.

Wobec takiej szczerości Sternau uśmiechnął się, wyciągnął do niej rękę i spytał drżącym głosem:

— Tak wielkie mam zaufanie u pani, Rozetto? Podała mu rękę i powiedziała:

— Tak, Karlosie, kocham cię, kocham cię z całego serca i nie przestanę kochać, dopóki żyć będę. Jutro postaram się wyjaśnić ci wszystkie tajemnice, na pewno zrozumiesz, że to nasze rozstanie było koniecznością.

— Dlaczego jutro? Dlaczego nie dziś? — pytał pieszczotliwie.

— Gdyż ciężko mi mówić o tym, co nas dzieli. Jutro powie to sama rzeczywistość. Karlosie, nie narzekajmy na przeznaczenie, cieszymy się, iż nasze serca należą do siebie. Rozłąka... ale... musi... nastąpić — mówiła ledwo słyszalnym, urywanym głosem. — Nie dajmy się unieść namiętności, pozwól mi teraz mówić o tym co mnie tu sprowadza.

Duszą Sternau'a miały inne uczucia, lecz zmusił się do spokoju. Opowiedziała cały przebieg choroby hrabiego, a na koniec rzekła:

— Hrabia zdecydował się na operację i rozkazał synowi, hrabiemu Alfonso, przybyć z Ameryki, aby go jeszcze raz ujrzeć i aby dziedzic majątku obecny był na wypadek nieszczęścia. Hrabianka była bardzo małym dzieckiem, kiedy ostatni raz widziała odjeżdżającego brata. Szesnaście lat przeszło i teraz z całego serca cieszyła się z jego powrotu. Przybył wreszcie, ona wybiegła naprzeciw aby go uściskać, ale zrobił tylko jeden krok. Pozostała sama z wyciągniętymi ramionami. Ten, który przed nią stał nie śmiał jej dotknąć, nie wiedziała dlaczego, lecz jakieś wewnętrzne przeczucie mówiło jej, że to nie spojrzenie, nie głos jej brata. Oblicze jego było obce, a słowa zdradzały bezwzględność.

Od tej pory codziennie go śledziłam i mojej uwadze nie uszły spojrzenia rzucane przez Alfonso hrabiemu. Każde takie spojrzenie mówiło: „ja czekam na twoją śmierć!”. Hrabianka poczuła trwogę i poprosiła mnie, abym napisała do pana.

— Zrobię co w mojej mocy. Operacja ma się odbyć jutro?

— Tak, już się nie da odłożyć.

— O której?

— Słyszałem, że o jedenastej.

— Czy będę mógł widzieć przedtem hrabiego i porozmawiać z nim?

— Z pewnością, jeżeli każe się pan wcześniej zaprowadzić do hrabianki.

— Kiedy raczy mnie przyjąć?

— Proszę przyjść o dziewiątej. Czy operował pan kiedyś kamienie?

Sternau uśmiechnął się lekko.

— Bardzo często, seniora. Sądzę nawet, iż uchodzę w tej dziedzinie za specjalistę?

— Czy ta operacja jest niebezpieczna?

— Muszę najpierw zbadać chorego, wcześniej trudno wystawiać diagnozę. Poczekajmy do jutra.

— Dobrze. Mam do pana całkowite zaufanie. Tylko pan może przynieść ratunek, jeżeli w ogóle jest to możliwe.

Wstała a Sternau zapytał smutno:

— Odchodzisz, seniora?

— Tak, łatwo spostrzegą moją nieobecność. Przyjdzie pan o dziewiątej?

— Oczywiście. Czy mogę ci towarzyszyć, seniora?

Zarumieniła się i odrzekła:

— Proszę, chodźmy razem w stronę zamku.



Szli w milczeniu, ale tym głośniejsze było bicie ich serc. Karlos miał wrażenie, że obok niego kroczy jakaś boginka, którą mu tylko ubóstwiać wolno. Gdy stanęli przed bramą parku, aby się pożegnać poczuł gorąco w swym sercu i wyciągniętą ku niemu rączkę przycisnął do piersi, lecz nie odważył się dotknąć jej ustami.

— Dobranoc, Karlosie — rzekła. — Proszę odpocząć po długiej podróży.

— Odpocząć? — spytał. — Moja dusza nie zazna spokoju, chyba, że w grobie. Dobranoc, seniorita!

Chciał odejść, lecz ona ujęła jego dłoń, przystąpiła do niego i oparła swą głowę na jego ramieniu. Poczul jej gorącą, pełną pierś przylegającą do jego serca i ledwie słyszalną prośbę:

— Karlosie, przebacz mi i nie bądź nieszczęśliwy!

Teraz Sternau objął ją obiema rękami, przycisnął silniej do siebie i szepnął:

— Jakże mogę być szczęśliwy, jeżeli ty, moje światło, moja gwiazda, moje słońce — nie chcesz mi przyświecać!

— Nasze serca nie rozstaną się nigdy. Bóg z tobą!

Po tych słowach opuściła go i weszła do pałacowego parku. Sternau stał i słuchał dopóki nie ucichł szelest jej kroków.

\* \* \*

Prawie w tym samym czasie, w zamku prowadzono tajemniczą rozmowę.

Zebrane tam towarzystwo opuszczał właśnie senior Gasparino Kortejo, wychodząc rzekł swym zimnym, ostrym głosem:

— A więc pan uważa, że operacja bez wątpienia doprowadzi do śmierci?

— Ani przez chwilę w to nie wątpię.

— Czy koledzy pański nie sprzeciwią się?

— Nie odważą się być innego zdania od niż ja. Przecież pan wie, że moje zdanie w świecie chirurgów liczy się najbardziej — padła dumna odpowiedź.

— Dobrze. Ale musisz pan przekonać hrabiego, że to jedyny ratunek.

— Naturalnie.

— No to, umowa stoi. Operacja odbędzie się — tak aby hrabianka o niczym nie wiedziała — już o ósmej rano. Wynagrodzenie otrzyma pan w moim mieszkaniu w Manresie. Dobranoc!

— Dobranoc.

Adwokat nie poszedł jednak do swego pokoju, lecz do siostry Klarysy i po wejściu zaryglował drzwi za sobą.

Dama klasztorna nosiła zwykle czarny, zakonny ubiór, teraz miała na sobie jednak jasną nocną koszulę, której mogłaby jej pozazdrościć niejedna tancerka.

Była to kobieta około pięćdziesięcioletnia, silnej budowy, o ostrych rysach twarzy i lekkim zezie.

— Witaj senior — rzekła siadając z bezwstydną kokieterią na atlasowej otomanie. — Czekam na ciebie, jak sprawy stoją?

— Bardzo dobrze — odrzekł siadając obok niej — Chirurg się zgodził.

— A więc Bóg kierował jego sercem, abyśmy owoce naszej długiej wstrzemięźliwości wreszcie spożywać mogli. Będzie cięcie śmiertelne?

— Z całą pewnością.

— A więc nic nie może zmienić biegu rzeczy — mniemała pobożnie, zawracając oczy. — Życzę hrabiemu, aby Bóg uwolnił go od cierpień. Czy hrabianka nie będzie znowu stała na przeszkodzie?

— Tym razem nie, moja kochana. Ona myśli, że operacja odbędzie się o jedenastej, tymczasem my zarządziliśmy operację na ósmą rano. Hrabia będzie już na tamtym świecie, gdy jego córka nie skończy nawet porannej toalety.

— A hrabia Alfonso? — pytała mrużąc ruchliwe oczy.

— Ten jest całkowicie po naszej stronie.

— Rzeczywiście, rzeczywiście. Bezbożny świat ani się domyśla, ani nigdy na to nie wpadnie, że tak wspaniale to wszystko sobie wykombinowaliśmy. Kochaliśmy się, Gasparciu, ale nie mogliśmy się pobrać. Ja byłam córką dumnego hidalga, a ty normalny golec. Gdybyś nie wpadł na pomysł zamiany, to musielibyśmy dziecko naszej miłości pozbawić życia, a tak, zajął miejsce hrabiego Alfonso, którego wysłano z bratem do Meksyku. Teraz jesteśmy rodzicami hrabiego i jutro będziemy rozporządzali milionami rodziny Rodrigandów. Chodź, do mnie zapomnijmy o tym, że nie mogłam zostać twoją żoną.

Sternau nie mógł spać. Spotkanie z kochaną dziewczyną wzburzyło w nim krew i spędziło z oczu sen. Całą noc spacerował po swoim pokoju. O świcie wyszedł i kazał sobie osiodłać muła. Jechał bez kierunku i bez celu. Wkrótce zobaczył przed sobą Manresę, zboczył więc na drogę prowadzącą do zamku Rodriganda.

Stała tam samotna oberża, przed którą uwiązany był osiodłany koń, znak, że jakiś przybył jakiś gość. Sternau wstąpił do środka i tam zobaczył siedzącego przy stole mężczyznę, a obok

niego leżącą torbę z narzędziami chirurgicznymi. Był to lekarz z Manresy, który miał asystować przy operacji hrabiego, a teraz prowadził ożywioną rozmowę z gospodarzem.

— A więc jedzie pan doktorze, do hrabiego?

— Tak, przecież to już mówiłem — odrzekł.

— Czy dojdzie dzisiaj do cięcia?

— Na pewno.

— Kiedy?

— O ósmej rano.

— Mnie się zdaje, że hrabianka znowu nie pozwoli.

— A, tej nie będziemy pytać. Powiedziano jej zresztą, że operacja rozpocznie się dopiero o jedenastej.

— Myśli pan, że biedny hrabia wyzdrowieje?

— Tak... i... nie... kto to wie!

Sternau miał dosyć. Prędko wypił kawę, zapłacił i opuścił gospodę, niczym nie dając po sobie poznać, jak ważna była dla niego prowadzona rozmowa. Galopem pędził do domu.

Wziął instrumenty i biegiem udał się w kierunku zamku. Brama, przed którą rozstał się wczoraj ze swoją ukochaną była otwarta. Sternau wszedł do parku i szybkimi krokami podążył do zamku.

Na zakręcie jednej z alejek stała hrabianka Róża. Jego przestraszony wzrok spoczął na niej, jakby przeczuwał nieszczęście.

— Rozetta! — zawołał, wyciągając ręce do wspaniałej postaci.

— Karlosie — odpowiedziała. — Dlaczego pan przychodzi tak wcześnie?

— O mój Boże, czy ja śnię. Przeczuwam okropność. Seniora, pani nie jesteś Rozetta, towarzyszka, lecz...

— Lecz? — pytała. — Mów dalej, senior.

— Pani jest hrabianka, Róża.

— Tak, zgadłeś Karlosie — odpowiedziała — Czy możesz mi przebaczyć?

— Przebaczyć? O mój Boże, jakże to okrutne. Teraz wiem, dlaczego musimy się rozstać. Dlaczego mi to zrobiłaś, dlaczego Różo?

— Gdyż cię kocham i chciałam być choć kilka dni szczęśliwa. Stało się i poniosę za to karę. Mój ojciec... ale widzę, że pan przyniosłeś instrumenty? Co to ma znaczyć?

— Co to ma znaczyć? — powtórzył Sternau jakby we śnie. — Ach tak, byłbym prawie zapomniał o bardzo ważnej rzeczy, hrabianko. Twój ojciec znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie.

Na pięknym obliczu hrabianki pojawiło się przerażenie.

— Mój ojciec? — spytała i cała pobladła.

Sternau wyciągnął zegarek, popatrzył i rzekł:

— Już czas, seniora. Zaraz rozpocznie się operacja twego ojca.

— Teraz? Operacja zaplanowana jest przecież na jedenastą.

— Nie, okłamano panią. Dziś podczas rannego spaceru podsłuchałem, rozmowę lekarza z Manresy, o tym, że cięcie odbędzie się o ósmej.

— Święta panno! Przeczuwam niebezpieczeństwo. Chodź senior, chodź prędko, musimy im przeszkodzić!

Obróciła się i szybko pobiegła do zamku, Sternau za nią. Właśnie, gdy dochodzili do krążanku, odprowadzono konia do stajni. Sternau poznał, że to koń owego lekarza z Manresy i musiał się bardzo spieszyć, kiedy przybył tak wcześnie do Rodriganda

— Spiesz się seniora! — ponaglał — Lekarze się już zebrali, nie mamy ani chwili do stracenia.

— Naprzód! Prędko, prędko — wołała hrabianka, biegnąc po schodach wyłożonych bogatymi dywanami. Wreszcie stanęli przy drzwiach, przy których stał służący w liberii.

— Czy hrabia się już obudził — spytała,

— Tak, hrabianko — brzmiała odpowiedź.

— Jest sam?

— Nie, są u niego lekarze.

— Długo?

— Jakieś dziesięć minut.

— To nie długo, chodźmy seniora — powiedział Sternau.

Hrabianka chciała wejść, lecz służący zastąpił jej drogę i wprowadził bardzo grzecznie, lecz stanowczo oświadczył.

— Proszę o wybaczenie, hrabianko; mam surowy nakaz nikogo nie wpuszczać do hrabiego.

— Nawet mnie?

— Szczególnie pani.

Oblicze Rózy przybrało gniewny wygląd, odrzuciła do tyłu głowę i dumnie zapytała:

— Kto ci wydał ten rozkaz?

— Hrabia Alfonso, który właśnie jest u pana hrabiego.

— Ach, więc to on! Na bok!

— Nie mogę! Przebaczone hrabianko; nie mogę inaczej, gdyż mam rozkaz...

Nie skończył, gdyż Sternau pochwycił go za ramię i z niesłychaną siłą odsunął na bok, otworzył drzwi, prowadzące do przedpokoju hrabiego.

Służący wszedł za nimi, lecz nie ważył się dalej stawiać oporu. Z przedpokoju prowadziły drzwi do sali, w której pan zamku zazwyczaj przyjmował petentów.

Ponieważ drzwi były zamknięte, więc hrabianka Róża zapukała.

— Kto tam? — spytał głos z wewnątrz.

— To ja! — odparła — Otwieraj szybko!

— To ty, Różo? — zawołał nieprzychylnym i zdziwionym tonem Alfonso. — Kto cię tu wpuścił.

— Nikt, weszłam sama.

— Gdzie służący?

— Alfonso, nie dyskutujemy, tylko prędko otwieraj — wołała Róża.

— Proszę wróć do swego pokoju. Lekarze surowo zabronili przeszkadzać sobie.

— Ale ja koniecznie chcę widzieć ojca. Zresztą operację zaplanowano dopiero na jedenastą.

— Ojciec zdecydował, że operacja odbędzie się teraz. To nie jest widok dla oczu kobiety.

— Ale ja muszę, słyszysz muszę z nim rozmawiać.

— To niemożliwe, lekarze właśnie zaczynają.

Te ostatnie słowa nie były wyrażone w przychylnym tonie, wręcz przeciwnie. Brat chciał nimi zakończyć rozmowę.

— Alfonso! — zawołała surowo — Ja żądam przystępu do ojca i ty mi tego nie możesz zabronić.

— Ojciec sobie tego nie życzy. Zresztą nie mam teraz czasu na rozmowę przy zamkniętych drzwiach. Odejdź, gdyż twoje pukanie na nic się nie zda.

— Więc otworzę sama.

— Spróbuj! — wymówił te słowa z szyderczym śmiechem.

— Mój Boże, co ja teraz pocznę? — spytała Róża i z rozpaczą spojrzała na swego towarzysza.

Sternau nie odpowiedział, usiłował nasłuchiwać co się dzieje wewnątrz.

— Jaśnie pani, hrabianko — rzekł służący — jestem przekonany, że nie otworzą tych drzwi, proszę iść do siebie, gdyż...

— Milcz — przerwała mu robiąc przy tym znaczący ruch ręką. Sternau poprosił hrabiankę o przyłożenie ucha do drzwi, gdy to uczyniła usłyszała z dala głos ojca, liczącego powoli:

— Pięć... sześć... siedem... osiem... dziewięć... dziesięć... jedenastie...

— Co to jest? — spytała jeszcze bardziej przerażona.

— Usypiają hrabiego — odpowiedział Sternau — Gdy przestanie liczyć, będzie znaczyło, że zasnął.

— A więc rzeczywiście będą go krajać?

— Niestety.

— To jest... to jest niemożliwe! — zawołała w ogromnej trwodze.

— Senior, pomóż mi pan!

— Pozwala mi pani na użycie siły? — spytał.

— Tak, ale działaj pan natychmiast!

Sternau przystąpił do drzwi i kopnął. Rozległ się głośny trzask i wejście stało otworem. Potężny mężczyzna wysadził jednym kopnięciem drzwi z zawiasów. Teraz stał z hrabianką w salonie hrabiego. Z sąsiedniej sali wyszedł hrabia z jednym z lekarzy.

— Co tu się dzieje? — zawołał zdziwiony — Jakim prawem odważyłaś się na to?

Kto by go teraz zobaczył z tymi groźnie błyszczącymi oczami i silnie nabrzmiętymi żyłami na niskim lecz bardzo szerokim czole, mógłby zupełnie słusznie uważać go za człowieka zdolnego do najgorszych czynów. Hrabia nie był wprawdzie mężczyzną odpychającym, jednak nie wzbudzał zachwyty. W pierwszej chwili nie zauważył towarzyszącego Róży Sternau'a.

— Czyżbym musiała pytać o pozwolenie? — hrabianka aż poczerwieniła się z powodu szorstkiego tonu brata. — Sądzę, że hrabianka Rodriganda–Sevilla ma w każdej chwili prawo wejść i odwiedzić swego ojca. Nie jestem zuchwałą, lecz właśnie ja żądam wyjaśnień, jak odważono się bez mojej zgody operować ojca?

— Postanowiliśmy i koniec. Oddał się.

— Nie prędzej niż zobaczę ojca i z nim pomówię. Gdzie jest?

— W sąsiednim pokoju i twoje nieodpowiedzialne postępowanie może doprowadzić do jego śmierci. Każde, nawet najmniejsze wzruszenie może mieć nieobliczalne skutki. Kim jest, ten człowiek?

— Senior, Sternau, sławny lekarz z Paryża, którego poprosiłam o przybycie, aby zasięgnąć jego opinii na temat choroby ojca. Spodziewam się, że i według ciebie, bracie, jego obecność jest słuszna.

Czoło towarzyszącego hrabiemu lekarza pokryło się niechętnymi i pogardliwymi zmarszczkami. Natomiast hrabia wybuchnął:

— Lekarz? Kto ci na to pozwolił? Co za samowola. Moje zdanie ma być respektowane. Masz niezwłocznie oddalić tego człowieka!

Wobec takiej obraźliwej bezwzględności hrabianka śmiertelnie pobladła i dopiero po kilku chwilach była zdolna do odpowiedzi. Wspaniała jej postać starała się rosnąć; wyciągnęła ramiona, a głos jej zabrzmiał wyniośle, jak jakieś królowej:

— Nie zapominaj z kim mówisz! Tu rządzi jedynie hrabia Rodriganda, a gdy on nie może, ty i ja mamy równe prawa rozkazywać w jego imieniu. Operacji tak długo nie będzie, dopóki ten senior nie zbada dokładnie chorego. Tak chcę ja i będę umiała swą wolę przeprowadzić.

Rysy młodego hrabiego zaostrzyły się, żyły nabrzmiały jeszcze mocniej a głos nabrał chrapliwego dźwięku. Groźnie podnosząc rękę przystąpił do siostry i rzekł:

— Ty, ty chcesz rozkazywać? Ty, dziewczyno? Nic z tego. Operacja się odbędzie, a ciebie każę służbie oddalić, jeśli dobrowolnie nie odejdziesz i to natychmiast. Pamiętaj, że jestem przyzwyczajony do robienia tego co mi się podoba — a zwracając się do Sternau zapytał — Kto wyważył te drzwi?

— Ja — spokojnie odpowiedział zapytany.

— Jakim prawem, zuchwalcze?

— Prawem udzielonym mi przez czcigodną hrabiankę Rodriganda. Moje posłuszeństwo zatem nie było zuchwalstwem, nadto oświadczam otwarcie i bez ogródek, że jeśli hrabianka zażąda, wyłamię nawet sto takich drzwi!

Jego szeroka, wysoka postać zdawała się przy tych słowach rosnąć, a wielki ucziwe oczy mierzyły hrabiego tak dobrym i pobłażliwym wzrokiem, jak gdyby ten olbrzym miał do czynienia ze studentem, z którym trzeba postępować wyjątkowo pobłażliwie. To spojrzenie Sternau'a wprawiło Alfonso w jeszcze większy gniew, więc rzekł groźnie:

— Wynos się stąd, mówię! Albo każę cię wyrzucić!

Sternau uśmiechnął się i rzekł obojętnie:

— Przybyłem tu na zaproszenie hrabianki Rodriganda, aby zbadać hrabiego, pańskiego ojca. I uczynię to mimo wszelkich zakazów i gróźb. Proszę mnie nie straszyć, gdyż umiem się bronić.

— Łotrze! — ryknął Alfonso pieniąc się za złości i podnosząc rękę jakby do policzka.

— Senior de Rodriganda, czy aby na pewno zachowujesz się jak szlachcic, jak hrabia?

Pytanie to zabrzmiało tak ostro i dobitnie, że hrabia mimowolnie cofnął się, a Sternau zwrócił się do hrabianki.

— Seniora, bądź łaskawa przedstawić mnie memu koledze. — wskazał przy tym z uprzejmym uśmiechem na hiszpańskiego lekarza, który podczas gwałtownej sprzeczki schował się przezornie.

Hrabianka rzekła:

— Senior doktor Karlos Sternau, starszy lekarz w sławnej klinice profesora Letourbiera w Paryżu, doktor Francas z Madrytu, a oto nadchodzą i inni panowie. Doktor Milenos z Kordoby i doktor Cielli z Manresy.

W istocie, z bocznego pokoju weszli dwaj lekarze, przywołani głośną sprzeczką, która w niezwykle sposób przerwała ich przygotowania do operacji. Zimno skłonili się, a doktor Francas z Madrytu, który był świadkiem od samego początku, zbladł.

Był on z nich trzech zapewne najzdolniejszy i najbardziej wykształcony, a także na tyle znał imię profesora Letourbiera z Paryża, by wiedzieć, że ma przed sobą fachowca, któremu prawdopodobnie żaden z nich nie dorównuje. Poznał, że im samym i ciemnemu przedsięwzięciu grozi wielkie niebezpieczeństwo, które da się uchylić jedynie stanowczym usunięciem cudzoziemca; dlatego oświadczył:

— Nie znam tego pana. Nasze przygotowania są skończone, nie potrzebujemy żadnej pomocy. Nasz dostojny pacjent upoważnił nas do wykonania jego operacji i za nic nie ręczę, jeśli jej natychmiast — nie zważając na czyjkolwiek niepowołany współudział — nie rozpocznę.

— Słyszysz siostró? — rzekł hrabia do Róży. — Oddał się natychmiast i uwolnij nas od widoku człowieka, któremu nie pozwolę ani minuty dłużej przebywać w zamku.

Już chciała odpowiedzieć, lecz zdecydowany znak Sternau powstrzymał ją.

— Proszę cię, hrabianko, pozwól mi zabrać głos! Rozchodzi się o moją osobę i dlatego sam muszę udzielić odpowiedzi. Jestem lekarzem, a zarazem twym gościem hrabianko i dlatego uczynię zadość twemu życzeniu. Oświadczam więc, że ponieważ zamierzono tak groźną operację wykonać wśród wielce podejrzanych okoliczności, mam uzasadnioną podstawę przypuszczać, że idzie tu o cel, który boi się światła dziennego. Dlatego przeciw temu protestuję. Oświadczam każdemu, kto by się odważył wykonać cięcie zanim zbadam pacjenta, że jest nieodpowiedzialny lub świadomie zamierza czynić zło. A jeżeli ktoś chciałby mnie oddalić przemocą, wezwę niezwłocznie policję, która zapewne poprze hrabiankę w należnych jej prawach!

Doktor Francas zbladł po raz drugi i to jeszcze bardziej niż poprzednio, a dwaj inni lekarze spuścili wzrok.

Nawet hrabia odniósł wrażenie, jakby go ktoś uderzył maczugą, lecz nie było w jego zwyczaju łatwe składanie broni, zawołał więc:

— Szalenciec! Dalibóg szalony. Oddam go służbie, by go umieściła w zakładzie dla obłąkanych!

Równocześnie zadzwonił.



— Nie czyn tego! — zawołała hrabianka, chwytając go za rękę.

Lecz w korytarzu rozległ się już głośny dźwięk, a ponieważ niezwykła zdarzenie już wcześniej ściągnęło służbę przed drzwi, toteż szybko zjawiała się w środku czekając na rozkazy.

— Zabierzcie stąd tego człowieka! — zawołał hrabia — To szalenie!

Zamiast odpowiedzi Sternau wyprosił ich z pokoju i zamknął drzwi od środka, chowając klucz do kieszeni i z uśmiechem zwrócił się do przeciwników:

— Hrabio, twoi ludzie cię nie słuchają, nie wymagaj zatem posłuszeństwa od obcego, którego bez powodu obrażasz, chociaż on przybył tutaj tylko w celu pomocy, na dodatek przywykł do traktowania go nawet przez najwyżej urodzonych z należyтым szacunkiem.

— Jeszcze raz pytam się, czy będziesz pan słuchał?! — zawołał wściekłym głosem hrabia — W tej chwili oddaj klucze!

— Ależ klucz należy w tej chwili do mnie, obecnie ja jestem panem sytuacji.

— Zaraz cię spoliczkuję! — krzyknął Alfonso i rzucił się na lekarza z podniesioną ręką.

Nagle przeraźliwie krzyknął z bólu, bo Sternau chwycił go za rękę i ścisnął z tak ogromną siłą, że kości zatrzęszczały a krew trysła.

Na ten krzyk otworzyły się powoli drzwi i ukazała się postać, która swym wyglądem zdolna była nadać sytuacji odmienną cechę, a także wzbudzić szacunek i współczucie.

Przybysz był ślepy, co można było stwierdzić na pierwszy rzut oka, mimo tego jego bezbarwne oczy zdawały się posiadać moc zdolną opanować otoczenie.

Był to hrabia Emanuel de Rodriganda–Sevilla.

Narkoza nie zadziałała, powrócił do przytomności i słysząc spór, zszedł ze stołu operacyjnego.

— Co się tu dzieje? Kto krzyczy? Dlaczego nie zaczynacie? — pytał rozglądając się wkoło niewidzącymi oczami.

Róża podbiegła ku niemu, chwyciła go w ramiona z nieopisaną czułością i zawołała:

— Mój ojcie, mój drogi, kochany ojcie! Dzięki Bogu, że jeszcze nie rozpoczęli. Teraz nie pozwolę cię zabić!

— Zabić? Któż by tego chciał, moje dziecko?

— O, ty z pewnością nie przeżyłbyś tej operacji, wiem to i czuję!

— Dziecięca miłość i obawa mówią przez ciebie, droga córko.

— Słusznie ojcie! — przerwał młody hrabia. — Przeszkodziła nam i to w wyjątkowo niegodziwy sposób. Kazała wyłamać drzwi. Powiedz sam, czy to godne księżniczki Rodriganda!

— Czy w istocie to uczyniłaś, moje dziecko? — zapytał hrabia z łaskawym, niedowierzającym uśmiechem.

— Tak ojcze, w istocie uczyniłam to — odrzekła z pełną otwartością. — Twój stan wymaga najwyższej ostrożności i twoje życie jest mi droższe niż wszystko inne, nie mogę więc niczego zaniedbać. Tylko ci ludzie mogą cię pielęgnować, do których ja mam pełne zaufanie, a ja wiem, ja czuję, że chciano z tym życiem igrzać. Umierałam prawie z troski i obawy. Napisałam więc do Paryża i poprosiłam profesora Letourbiera o operatora, któremu ze spokojem mogę cię powierzyć. Właśnie dzisiaj przyjechał, jednak nie chciano go do ciebie dopuścić. Czy jeszcze się dziwisz, że wtargnęłam przemocą.

Hrabia pochylił znękaną głowę i rzekł:

— Lekarzom moim ufam całkowicie, a jeżeli przed tobą zatajono godzinę operacji, to po to, by ci zaoszczędzić dodatkowego zmartwienia. Gdzie jest ów lekarz paryski?

— Stoi tutaj. Jest to doktor Sternau, z Niemiec.

— Tak. — odpowiedział Sternau. — Proszę o przebaczenie, hrabio, jeżeli poszedłem za wezwaniem twego dziecka. Kiedy chodzi o życie człowieka, drogiego ojca, wtedy wszystko staje się mało istotne.

— Czy był pan już kiedyś przy podobnej operacji, senior? — zapytał.

— Tak.

Było to powiedziane z taką pewnością i spokojem, że hrabia podniósł głowę i rzekł:

— Pańska pewność siebie jest wielce obiecująca. Z tego co rzekłeś wnioskuje, że uczestniczyłeś już przy wielu takich operacjach, a może sam nimi kierowałeś.

— I to nawet z pełnym powodzeniem. Jestem starszym asystentem profesora Letourbier.

— Ach, to należało panu zaufać, a nie odprawiać go. Dziękuję panu, że przybyłeś. Czy chce pan mnie zbadać?

— Bardzo bym chciał to uczynić.

— Więc chodź pan ze mną. Panowie lekarze będą nam towarzyszyć. Inni proszę, niech tu pozostaną.

— Stać! — zawołał Alfonso — Ojcze, oświadczam, że temu mężczyźnie pokazałem drzwi. Czy chcesz zmienić mój rozkaz?

— Mój synu, obraziłeś tego pana, teraz ja muszę to naprawić.

— On mnie nawet zranił. Tu jednak włączyła się Róża.

— Alfonso porwał się na pana Sternau, a ten tylko powstrzymał jego rękę. To wszystko.

Hrabia aż stanął w miejscu, a potem rzekł ze smutną miną:

— Czy to możliwe, by hrabia Rodriganda bił człowieka, gościa swej siostry! Może to jest obyczajem pasterzy krów w Meksyku albo w Teksasie, ale nie w rodzinie jednego z grandów hiszpańskich. Synu, takie postępowanie wielce mnie zasmuca!

Powrócił do drugiej izby. Sternau szedł za nim razem z trzema lekarzami.

Alfonso, pełen wymówek zwrócił się do siostry.

— Nigdy ci tego nie zapomnę. Zapłacisz mi za tych pasterzy krów.

Izba, do której wszedł hrabia z lekarzami, wyglądała jak prawdziwa sala operacyjna. Na wielkim stole rozpostarty był materac, który miał hrabiemu służyć jako łożo, obok leżały różne instrumenty, a na pomoście stały naczynia, które miały pomieścić skutki cięcia.

— Hrabia zwrócił się do Sternau.

— Senior, od kiedy utraciłem światło moich oczu, zacząłem ludzi oceniać na podstawie barwy ich głosu. Pański głos wzbudza we mnie zaufanie. Proszę mnie zbadać.

Młody mężczyzna leczył już wielu ludzi, nigdy jednak, przy nikim nie zaznał takich uczuć. Chory był ojcem tak gorąco i beznadziejnie kochanej kobiety. Mimo woli oddech Sternau'a stał się nierównomierny, co hrabia wyczuł od razu i zapytał:

— Czy masz jakiś wielki kłopot, senior?

— Nie hrabio — brzmiała odpowiedź. — To co pan usłyszałeś, to nie było westchnienie słabości, tylko modlitwa do Boga, by pozwolił by wszystko dobrze się skończyło, by spełniły się oczekiwania hrabianki Róży. Mam bogate doświadczenia i wprawną rękę, ale zawsze oczekuję błogosławieństwa, by pomóc każdemu choremu człowiekowi.

Hrabia wyciągnął doń obie ręce i rzekł:

— Senior, dziękuję ci. Niech pan zaczyna.

Sternau długo przeprowadzał wywiad chorobowy, potem kazał hrabiemu położyć się na stole, by mieć możliwość jak najstarannejszego zbadania. Biegłość, jaką przy tym wykazywał dawała poznać trzem innym lekarzom, że mają do czynienia z umysłem o wiele od nich sprawniejszym

Wreszcie pacjent był wolny. Zapytał lekarza o wynik badania, jednak zamiast oczekiwanej odpowiedzi, otrzymał następane pytanie:

— Hrabio, pozwól, że mimo twego kalectwa muszę ci zadać kilka pytań, czy mogę?

— Pytaj śmiało, senior.

Po serii pytań i odpowiedzi, Sternau wyjął narzędzia, przy pomocy których przeprowadzał badania oczu. Wreszcie gdy skończył zwrócił się w stronę lekarzy.

— Panowie, wasz kolega Francas z Madrytu oświadczył wcześniej, że nie życzy sobie, aby ktoś obcy mieszał się do sposobu leczenia hrabiego. Muszę więc obejść się bez dyskretnej

konferencji i widzę konieczność, wypowiedzieć swoje zdanie z całą szczerością, nie mając względu dla nikogo. Hrabio, jakim sposobem chciano pana uwolnić od kamieni?

— Przez operacyjne nacięcie śródmięśni — odpowiedział.

Sternau zląkł się srodze.

— Ależ to nie możliwe — rzekł — Albo starano się pana oszukać, albo źle usłyszałeś, hrabio. Tylko nie widzę żadnej przyczyny świadomego oszustwa.

— Jest tak, jak powiedziałem — podkreślił hrabia — Zapytaj pan tych panów!

Sternau rzucił okiem na lekarzy, z których tylko Francas odpowiedział z uporem.

— Uważamy to za jedyny, możliwy ratunek.

— Ależ proszę pana — rzekł Sternau całkiem już wzburzony — Czy operował pan kiedyś kamienie? Zna pan ich wielkość i położenie? Mój Boże, nie mogę tego pojąć! Tutaj każde cięcie jest wyjątkowo niebezpieczne, nacięcie zaś śródmięśni... Moi panowie, uważam każdego lekarza, który w ten sposób włada nożem, za mordercę i to nie za przypadkowego, lecz za człowieka, który z zimną krwią i całkowitym rozmysłem popełnia morderstwo.

— Senior! — groził madrycki operator.

— Senior! — zawołał Sternau z błyszczącymi oczami — Hrabia Rodriganda nie jest chirurgiem i nie mógł wiedzieć co w ogóle chcecie z nim począć. Ale każdy początkujący lekarz, każdy chirurg, nawet nieuk, musiał wiedzieć, że w tym wypadku pacjent nie jest w stanie przeżyć operacji. Moi panowie, co wam ofiarowano za morderstwo hrabiego Rodriganda?

Pytanie to wywołało straszne wrażenie. Hrabia przestraszony upadł na krzesło, Francas złapał jeden z noży chcąc rzucić się z nim na Sternau; dwaj inni gotowi byli wesprzeć go w stosownej chwili.

— Niegodziwcze! — wrzeszczał Francas. — Ty nas będziesz nazywał mordercami?

— Tak, mordercami bez czci i wiary! — odpowiedział nieustraszony Sternau. — Co najmniej jeden z was nim jest. W tym wypadku dwaj inni są głupcami, nie wiedzącymi co czynią! Rzuć pan nóż, bo nic nim nie wskórasz! Gdy zawiadomię o tym władze i oddam sprawę sędziemu śledczemu, będziesz pociągnięty do odpowiedzialności za usiłowanie morderstwa.

Pomimo tej groźby Francas zachował zimną krew.

— Ach! — przemówił szyderczym tonem — Ty, chcesz na grozić? To naprawdę jest śmieszne, ten człowiek gra komedię, aby zostać lekarzem domowym hrabiego. Nasze nazwiska są bez skazy i mają wysokie poważanie w sferach naukowych. Zresztą słuchajmy w jaki sposób ten pan zamierza usunąć kamieni.

— Przypadek ten będzie leczony tak zwaną metodą *lithotripsy* bez najmniejszego niebezpieczeństwa.

— *Lithotripsy!* — zapytał lekarz z Manresy. — Co to jest? Co to ma znaczyć?

Sternau ze zdumieniem słuchał tych pytań, a potem przemówił do hrabiego:

— Słyszysz pan, panie hrabio, jakim to ludziom powierzasz swe zdrowie. Ten człowiek nic nawet nie słyszał o *lithotripsy*, o rozdrobnieniu i wyjmowaniu kamienia przy pomocy stosownego narzędzia. Zaczynam naprawdę wierzyć, że ci głupcy nie w złej wierze, lecz po prostu z braku wiedzy omal nie zagrozili twemu życiu.

Francas zaśmiał się szyderczo i odpowiedział:

— Mylisz się panie! Bajkę o tym sposobie leczenia znaliśmy już od dawna. Jest ona wymysłem, któremu tylko człowiek zupełnie niewykształcony może dać wiarę. Ja z kimś takim nie zamierzam się wdawać w dyskusję. Rozstrzygnij teraz panie hrabio, kto musi opuścić tę izbę, on czy my?

— Jak długo potrafię działać, tylko własnym sumieniem kierować się będę — odparł Sternau. — Spostrzegłem już, że hrabia nie jest świadomym chirurgii. Może więc wybrać zgubną dla siebie drogę, a na to nie mogę pozwolić.

Hrabia rozkazującym ruchem nakazał milczenie.

— Panowie, nie jest to miejsce do kłótni, możecie się więc oddalić. Później usłyszycie co postanowiłem. Znam wasze zapatrywania, chcę jeszcze wysłuchać zdania doktora Sternau. Oddalście się więc. W odpowiednim czasie dowiecie się o wszystkim.

— Czy to znaczy, że pan nas odprawia? — spytał Francas z gniewem. — Dobrze, pójdziemy; ale ten obcy musi nam dać zadośćuczynienie, a ty panie hrabio, rozważ dobrze nim coś postanowisz.

Zabrali swe narzędzia i opuścili pokój.

Natychmiast weszła Róża, objęła hrabiego i zawołała radośnie.

— Ocalony! Ojczy, dzięki ci!

Lekko odsunął ją od siebie i spokojnie powiedział:

— Nie sądź tak prędko, dziecko moje. Muszę jeszcze wysłuchać, co doktor Sternau sądzi o tej sprawie.

— O! On z całą pewnością ma rację — zawołała. — Możesz mu całkowicie zaufać.

Oczy jej przy tych słowach rozjaśniły się, a doktor który to ujrzał przemówił wzruszonym głosem:

— Panie hrabio, zaufaj mi, proszę. Bóg wie, jak szczerą i prawdziwą jest moja rada. Przebac mi ów ostry ton, którego używałem wobec tych ludzi. Było to wynikiem mojego

oburzenia na widok pełnej indolencji zawodowej. Gdyby operację tę wykonano, już byś nie żył, ręczę za to swoją głową, a Bóg mi świadkiem, że mówię prawdę.

Nagle drzwi otwały się i wszedł hrabia Alfonso. Zdążył już naradzić się z lekarzami i wpadł w gniew, że coś może unicestwić jego nieczne plany.

— Czy oni rzeczywiście mają odejść. Czy ty ich ojciec naprawdę wypędzasz? Jak to jest możliwe?

— Nie wypędziłem ich, mój synu — odpowiedział hrabia. — Prosiłem tylko o czas, abym mógł podjąć ostateczną decyzję.

— Sądzę, że jednak raczysz uwzględnić zdanie tych zasłużonych ludzi.

— Kierować się będę tylko prawdą. Na razie proszę cię, abyś nie wspominał o tej nieprzyjemnej sprawie.

Alfonso musiał być posłuszny, a hrabia zwrócił się do córki:

— Wyobraź sobie, pan ten oglądał także moje oczy.

Róża spojrzała zdziwiona.

— Czy to prawda? — zapytała. — Czy jest jakaś nadzieja, czy sądzi pan, że medycyna nie powiedziała tu ostatniego słowa?

— Tak pani, leczylem już wielu niewidomych, a ciągle ćwiczenie tak wyrabia oko lekarza, że jest on w stanie odróżnić oko stracone na zawsze, od oka, które jeszcze można ocalić.

— I co pan spostrzegł?

— Że i w tym wypadku lekarze nie mieli racji.

Róża aż podskoczyła z radości. Hrabia także zdradził swe wzruszenie, natomiast Alfonso ledwie potrafił ukryć swą złość.

— Co pan przez to rozumie? — zapytał hrabia. — Powiedz wszystko, proszę.

— Więc uznano pana za nieuleczalnego?

— Tak, a ludzie, od których usłyszałem ten wyrok byli powszechnie uznanymi autorytetami.

— Jak bliżej określono rzekomą chorobę, hrabiego?

— Przypisano ją tak zwanemu *staphylion*, czyli małemu, wielkości ziarnka pieprzu, wrzodowi na rogówce ocznej.

— Hm! Nie było to zupełnie tak. Choroba pańska zwana jest czarną kataraktą połączoną z pewnym ciemnym zabarwieniem rogówki ocznej, nazywanej przez lekarzy *leukomia*. Zjawisko to jest rzeczywiście nader rzadkie.

— A czy stan ten jest uleczalny? — zapytał drżącym głosem hrabia.

— Niedawno jeszcze uważany był za chorobę beznadziejną. Jednak ostatnimi laty udało się wyleczyć kilka osób. *Leukomia* niszczyłem przy pomocy nieustannej punktacji szpilką kataraktową i potem operowałem kataraktę ukrytą za tym wrzodem. Jeżeli mi zaufasz, panie hrabio, to mogę zapewnić, że zrobię wszystko, aby przywrócić ci wzrok, wprowadzie nie w stu procentach, lecz tak, że przy pomocy okularów będziesz mógł odróżniać wszystkie przedmioty.

Hrabia wznosił ręce ku niebu i zawołał:

— O Boże, gdyby to tylko było możliwe!

Róża zaś zarzuciła mu ręce na szyję i łkając poprosiła:

— Ojczy, zaufaj mu! On tylko jeden może ci pomóc.

— Chcę się zastosować do twego życzenia, oddam się jego opiece, moja córko! — rozstrzygnął hrabia. — Masz rację doktorze. Alfonso, a ty nie cieszysz się razem z nami?

Młody hrabia usiłował opanować wypisaną na twarzy złość i rzekł:

— Byłbym szczęśliwy widząc cię zupełnie zdrowym, rozważam jednak i to, że lekkomyślnością o nawet niebezpieczeństwem jest budzić nadzieje, które nie mogą zostać spełnione. Taki chory musi czuć się potem o wiele bardziej nieszczęśliwy.

— Bóg będzie dla nas łaskawy. Jak długo trwać będzie leczenie, według pańskiego zdania, doktorze?

— Z całą pewnością co najmniej dwa tygodnie — odpowiedział Sternau. — Może to nastąpić dopiero, gdy po operacji zupełnie wróci pan do zdrowia i gdy nie będzie nawet najmniejszych obaw o pańskie życie. Wtedy możemy dopiero rozpocząć leczenie oka, co oczywiście potrwa o wiele dłużej.

— A czy może pan, tak długo tutaj zabawić?

— Musiałby wziąć dłuższy urlop u profesora Letourbier, a może nawet porzucić pracę.

— Proszę to zrobić jak najprędzej — prosił hrabia. — Znajdzie pan tu wszystko i chociaż w części może zastąpi to panu Paryż.

— Moją najwyższą nagrodą będzie świadomość, że przyczyniłem się do poprawy twego zdrowia, hrabio. Zaraz napiszę do profesora.

— I to bez zwłoki. Mieszkać będzie pan naturalnie u nas, Róża zaraz panu wskaże stosowny pokój.

— Przecież mamy kasztelana, któremu więcej takie czynności przystoją — zauważył Alfonso z odcieniem ironii w głosie.

— Masz rację — rzekł hrabia. — W przyływie radości nie pomyślałem o tym.

— Ja też jestem winien wdzięczność hrabiemu Alfonso, za jego uwagę, — wtrącił Sternau dumnie — gdyż absolutnie nie jest mym zamiarem, aby moja osoba stała się powodem jakiegokolwiek zmiany w tutejszych stosunkach.

— To się już stało — odpowiedział młody hrabia pogardliwym tonem. — Lekarze nasi nie mogą opuścić mieszkania, gdyż panu spodobało się zabrać klucz.

— Ach prawda, zapomniałem, natychmiast pójdę otworzyć.

Wyszedł i prędko znalazł się w towarzystwie trzech hiszpańskich lekarzy, którzy patrzyli na niego wzrokiem zdradzającym wrogość.

— Senior, — szepnął mu Francas — rozpocząłeś z nami walkę! Staczać ją będziemy dalej i to z taką siłą, że w końcu będziesz musiał ulec i prosić o łaskę. Nie znajdzie pan jednak miłosierdzia.

— Proszę! — odpowiedział jednym słowem.

Niedługo potem, w szczelnie zamkniętym pokoju pobożnej siostry Klarysy siedziało trzech mężczyzn: hrabia Alfonso, doktor Francas i notariusz Gasparino. Dwaj pierwsi starali się opowiedzieć o tym co zaszło.

— O święta Madonno, czy to możliwe? Byliśmy tak pewni, oczekiwaliśmy z całą ufnością powodzenia naszego przedsięwzięcia, a tu nagle zjawia się ten obcy, aby zniszczyć do szczętu nasze dzieło! — rzekła siostra Klarysa, gdy skończono opowiadanie.

— Zniszczyć? — zapytał szyderczo Alfonso. — O tym nie może być mowy, nastąpiła tylko pewna zwłoka.

— Sądzisz, że przy tym zawałdrodze, mamy jeszcze jakieś szansę? — zapytał notariusz doktora.

— Z całą pewnością — odpowiedział. — Naprzód jednak tak zoperujemy tego doktora, że go zmiążdżymy zanim się tego domyśli.

— A ta operacja oczu?

— Może się udać, jeżeli nie przyplącze się jakieś zapalenie.

— Zadaniem naszym więc jest postarać się, aby to zapalenie rzeczywiście nastąpiło — zauważyła pobożna siostra — Bóg zabrał hrabiemu wzrok, bo chciał go ukarać, a jakiegokolwiek odstępstwo od tej kary, byłoby grzechem wołającym o pomstę do nieba.

— Tak, możemy użyć najrozmaitszych środków — rzekł notariusz — ale musimy zachować daleko idącą ostrożność i nie spieszyć się zbytnio. Należy unikać najmniejszego podejrzenia. Nikt nie powinien nas razem widzieć. Jedno jest pewne, że hrabia ani wzroku, ani zdrowia nie powinien odzyskać. Przede wszystkim dlatego, aby nie zobaczył Alfonso, zaś ten lekarz musi albo zginąć przepaść bez wieści.



— Ale w jaki sposób? — zapytała pobożna dama.

— Pozwólcie, że ja się tym zajmą! Mam w górach licznych, dobrych przyjaciół; głupcy nazywają ich rozbójnikami, choć w stosunku do mnie są to najwierniejsi i najrzetelniejsi ludzie, jakich kiedykolwiek spotkałem. Wkrótce ich odwiedzę i przy sposobności zapytam, czyby nie chcieli uwolnić nas od niepożądanego towarzystwa.

Tymczasem ten, którego osobą to zacne towarzystwo tak gorliwie się zajmowało, odpoczywał po nieprzespanej nocy, a gdy później udał się do zamku, pierwszą osobą, którą spotkał była hrabianka Róża. — Witaj, senior — pozdrowiła go na wstępie — Myślę, że pańskie przybycie to wielkie szczęście.

— Przede wszystkim przyniesie ono walkę — odpowiedział wzruszony — Obiecał mi to doktor Francas.

— On może mieć słuszość — a oczy jej zabłyśły. — Walka ta, do której się przymierzamy, skierowana będzie nie tylko przeciwko kłamstwu i zbrodni, lecz toczyć się będzie także o zakazaną miłość. Znajdziesz pan we mnie dzielnego i wiernego sojusznika.

## Tajemnica żebraka

Po wysokich, skalistych górach wędrował samotny człowiek. Wyglądał na starego i bardzo zmęczonego człowieka. Włosy miał już siwe, a twarz pokrytą zmarszczkami. Podarta odzież, rozlatujące się buty, świadczyły o żmudnej pielgrzymce jaką odbył ów starzec po stromych ścieżkach i głębokich wąwozach. Od czasu do czasu męczył go ciężki kaszel, a krwią, jaką wypływał znaczył odbytą drogę. Szedł wolno, siłą woli zmuszając się do dalszej drogi, nareszcie zatrzymał się i badawczo rozejrzał dokoła.

— Tu musi być to miejsce — szepnął. — Tu stało się kiedyś nieszczęście, tu zamieniono dwóch chłopców, stąd udałem się do Meksyku i tu rozpoczyna się ból, które mnie przedwcześnie osłabił i pozbawił szczęścia. Tutaj więc teraz wypocznę.

Usiadł na rozgrzanym przez słońce kamieniu i ukrył twarz w dłoniach. Dookoła panowała złowroga cisza, przerywana tylko kaszlem i ciężkim oddechem jego piersi.

— O Panie! — ciągnął na nowo przerwany. — Jak ciężko zgrzeszyłem i jaka była za tę zbrodnię zapłata! O chlebie żebraczym, przez lądy i morza dotarłem do tego miejsca, aby przebłagać niebo a skołatana, siwą głowę do grobu złożyć. Boże, przebacz mi, nie dopuść abym daremnie wędrował, pozwól znaleźć to czego z takim mozołem szukam.

Zamilkł i co chwila pokaszlując oddał się rozmyślaniu, a po chwili podjął monolog:

— Ciekawe czy jeszcze żyje? Czy może zamordowali, tego chłopczyka, który słodko spoczywał na moich kolanach. To byłoby straszne! Dłużej tego nie wytrzymam. Muszę pójść dalej, tam gdzie rozbójnicy mieli swe schronienie. Tylko, że żaden z nich nie może mnie poznać, ani nawet domyślić się co przywiodło mnie w te góry. Nie odepchną mnie przecież, przyjmą umierającego starca i w ten sposób dowiem się, czy człowiek, którego szukam, żyje jeszcze. Naprzód nogi ociężałe. Zniesiecie jeszcze taką odległość, a potem będziecie miały już spokój na wieki.

Podniósł się z mozołem i szedł dalej na wschód. Nie pozwolił sobie na ani moment odpoczynku, dokąd nie zobaczył przed sobą kawałka zielonej i świeżej murawy. Teraz znajdował się wśród gór porosłych tylko rzadką krzewiną. Tu postanowił odpocząć.

Zalawie jednak usiadł, usłyszał za sobą kroki i zanim się zdążył obrócić, poczuł na swych barkach ciężką rękę i usłyszał surowy głos.

— Co tu robisz, starcze?

— Chcę umrzeć!

Po tej krótkiej odpowiedzi znów opuścił głowę.

— Umrzeć? Dlaczego?

Pytający był młodym, silnym mężczyzną, którego uzbrojenie wcale nie zdradzało spokojnego mieszkańca wsi lub miasta.

— Bo nie mogę już iść dalej — odparł chory.

— Dlaczego przychodzisz właśnie tu? Czego szukasz w tych górach?

— Już długo szukam zioła, które może uśmierzyć me cierpienie, ale nie znalazłem go, niestety.

— Skąd przychodzisz?

— Z daleka, z Portugalii.

— Tak długą drogę przebyłeś mimo swej choroby? Masz przy sobie chleb?

— Niestety, nie.

— Nic, zupełnie nic? Matko Boska, przecież umrzesz z głodu, nim zabije cię choroba. Poczekaj tutaj.

Zniknął za krzakami, ale dość szybko powrócił.

— Jeśli dasz sobie zawiązać oczy, to zaprowadzę cię na miejsce, gdzie będziesz mógł wypocząć i powoli powrócisz do sił, będziesz mógł zostać, jak długo ci się spodoba — rzekł łagodnym głosem.

— Oczy zawiązać? Dlaczego?

— To jest konieczne. Nie możesz zobaczyć drogi wiodącej do nas.

— Kim więc jesteście?

— Jesteśmy brygantami, poza tym ludźmi zupełnie uczciwymi.

— Bryganci? Rozbójnicy? Ale ponieważ jestem ubogi to nie potrzebuję się was obawiać. Zawiąż mi oczy i prowadź dokąd chcesz.

Rozbójnik zawiązał chustką staremu oczy i wziął go za rękę, prowadząc długo przez gęstwinę.

Na miejscu zobaczył, że jest w środku przestronnej, skalistej pieczary, dookoła siedziało blisko dwadzieścia uzbrojonych, dziko wyglądających postaci, bądź to zajętych jedzeniem, piciem i grą w karty, bądź czyszczeniem broni. Zaprowadzono go przed barczystego mężczyznę z długą, czarną brodą, który rozciągnięty na wełnianej kołdrze zajęty był liczeniem pieniędzy i wsypywaniem ich do wielkiego, skórzanego worka.

— Jak się nazywasz? — odezwał się do przybysza, tonem niezbyt przyjaznym.

— Nazywam się Perto, senior.

Pytający był hersztem bandy, zmierzył go ostrym wzrokiem i rzekł, jakby coś sobie nagle przypominając:

— Zdaje mi się, że cię już kiedyś widziałem?  
— Nic mi o tym nie wiadomo.  
— Powiedziano mi, że jesteś z okolic Orenze.  
— Tak jest w rzeczywistości.  
— Czemu nie zostałeś w domu, gdy jesteś chory?  
— Właśnie ta moja choroba była powodem podróży. Szukam, w górach zioła o właściwościach leczniczych na wszelkich dolegliwości.  
— Oho! Takiego zioła nie ma!  
— Owszem, jest: mądra Cyganka, powiedziała mi o tym.  
— A czy nie masz syna, który mógłby cię zastąpić w podróży.  
— Nie ma ani syna, ani córki, nikogo nie mam na świecie.  
— Więc zostań tu i odpocznij. Nie wygląda na to, że długo jeszcze pożyjesz, człowieku. Jeśli potrzebujesz księdza, to powiedz, gdyż między nami mamy braciszka. Opuścić nas bez pozwolenia nie możesz. A jeżeli jesteś zdrajcą, to uważaj! Nie jestem przyzwyczajony, do żartów z takimi ludźmi.

Wskazano mu ustronne miejsce, gdzie otrzymał pokarm i napój, potem zdawało się, że nikt więcej się o niego nie troszczy.

Po dłuższym czasie przyszedł stojący na warcie bandyta i oznajmił kapitanowi, że jakiś obcy chce z nim rozmawiać.

— Któż to jest? — brzmiało pytanie.

— Nie chce powiedzieć, ma na twarzy czarną maskę, zapewne chce zachować *incognito*.

Kapitan podniósł się, zatknął za pas pistolet i opuścił skalistą kryjówkę. Od razu poznał, kim jest przybysz i pośpieszył wyciągając rękę na powitanie.

— Witaj nam senior Gasparino, witaj! Lata minęły od naszego ostatniego spotkania!

— Pst! — przestrzegła koścista postać zamaskowanego. — Po co wymieniać nazwiska? Czy rzeczywiście jesteśmy tutaj zupełnie bezpieczni, nikt nas nie usłyszy?

— Nikt.

— Wiesz to z całą pewnością?

— Naturalnie senior. Spodziewam się, że przynosisz mi jakąś robotę.

— Oczywiście, jeżeli nie będziesz zbyt wiele żądał.

— Mów więc!

— Ile będzie kosztować ciche sprzątnięcie dwóch osób?

— To zależy od tego, kim oni są.

— Jeden jest hrabią, drugi zaś lekarzem.

- Który hrabia?
- Stary Emanuel de Rodriganda–Sevilla.
- Wasz pan? Na świętego Sebastiana, jesteś „wiernym sługą”! Niestety, tego życzenia spełnić nie mogę.
- Nie? A to z jakiego powodu?
- Hrabia znajduje się pod opieką jednego z mych przyjaciół, więc ja mu włosy nawet z głowy zdjąć nie mogę.
- Ba! Ja przecież dobrze płacę.
- To nie zmienia sytuacji. My bryganci jesteśmy w stosunku do naszych przyjaciół zawsze w porządku.
- Wymień jakąś sumę!
- To nic nie pomoże, senior! Gdybyś mi nawet ofiarował dziesięć tysięcy talarów, musiałbym odrzucić twą propozycję. To jest moje ostatnie słowo.
- To bardzo źle.
- Nie mogę inaczej. Kto jest tym drugim?
- Pewien lekarz z Niemiec.
- To już łatwiejsza sprawa.
- A także tańsza?
- Naturalnie. Gdzie on mieszka.
- W zamku, u hrabiego.
- A, to w takim razie bardzo tanio nie będzie. Gdy mieszka u człowieka stojącego pod opieką, łatwo jest skrzywdzić też tego drugiego, a tego uczynić nie można.
- Nie można, mówisz! Kto ma władzę zakazywania czegoś tobie, kapitanowi?
- Ja sam, nie mogę przekraczać praw, które sam ustanowiłem. Dlaczego ten człowiek ma zniknąć?
- Jest wyjątkową przeszkodą w drodze do pewnego celu, to ci musi wystarczyć.
- Dobrze więc, ile masz zamiar dać?
- Ile żądasz?
- On ma umrzeć, czy tylko zniknąć?
- Pierwszy sposób jest pewniejszy.
- Więc zapłacisz równo tysiąc talarów.
- Tysiąc? Czy cię diabeł opętał, kapitanie?
- Kapitan wstał i rzekł spokojnie:
- Więc zaniechajcie całej sprawy. *Adieu*, senior!

— Stój! Ile spuścisz z ceny?

— Nic, ani szeląga. Znasz mnie przecież.

— Niech więc tak będzie. Tysiąc talarów, kiedy płatnych.

— Połowa natychmiast, reszta po wykonaniu zadania.

— A gdyby się nie powiodło?

— Musi się udać! Jak można się dostać do niego?

— Tego na razie powiedzieć nie mogę. Potrzebnych będzie sześciu, może ośmiu ludzi. Każesz im udać się do Rodrigandy, gdzie w parku spotkają się ze mną i otrzymają dalsze wskazówki. Tu masz twoje pięćset talarów, kapitanie — odliczył pieniądze, a na koniec zapytał — Czy masz jeszcze u siebie tego chłopca?

— Mam, ale zdążył już wyrosnąć na dorodnego mężczyznę.

— Czemu jeszcze żyje?

— Zapłaciłeś mi wtedy tylko za to, żeby zniknął. Ale powiedz mi w końcu, kim on właściwie jest?

— Dowiesz się kiedyś. Myśli, że kim jest?

— Synem zmarłego rozbójnika.

— Chętnie bym go zobaczył.

— Wybij to sobie z głowy, senior, nie jesteś przecież członkiem stowarzyszenia. Płacisz mi tylko za robotę, a potem możesz sobie pójść.

— No cóż... Kiedy twoi ludzie będą w Rodrigandzie?

— Jutro wieczorem, senior. *Adieu!*

— *Adieu!*

Na pożegnanie podali sobie ręce. Kupczyli życiem człowieka, jakby zupełnie przypadkowym i bezwartościowym przedmiotem. Lecz zachodzi pytanie, który z nich jest gorszy i bardziej niebezpieczny, czy herszt zbójców, czy też przebiegły notariusz?

Po powrocie do swej jaskini, kapitan długo naradzał się z trzema swymi ludźmi, którzy w końcu otrzymali rozkaz udania się do Rodrigandy i wykonania zbrodniczego zlecenia.

Gdy zapadł wieczór do chorego żebraka zbliżył się jeden z brygantów i zaprowadził go ciemnym korytarzem, w głąb góry.

Po obu stronach korytarza w skale wyłobione były małe cele, służące mieszkańcom jaskini za sypialnie. Nie które z nich były opatrzone drzwiami kutymi z żelaza, tak, że sprawiały raczej wygląd więzienia.

Rozbójnik, który prowadził żebraka był młodym, liczącym może dwadzieścia kilka lat. Był szczupły, lecz silnie zbudowany, a ruchy jego nacechowane elegancją i zręcznością.

— Tu twoja cela, starcze — rzekł wskazując na jedną z cel — Znajdziesz tu całkiem dobre łóżko. Mam ci zostawić światło?

— Tak — odrzekł żebrak. — Kto wie, czy jeszcze kiedyś ją opuścę.

— Dlaczego nie? Człowiek nie powinien poddawać się chorobie. Jesteś wprawdzie bardzo słaby, ale należy mieć nadzieję.

— Ach, nadzieję ja mam, — wyrzekł żebrak wśród napadu kaszlu — ale tylko na nadejście śmierci. Ona będzie moim wybawcą i uwolni mnie od wszelkich cierpień.

— Masz wielkie bóleści? — zapytał rabuś z troską, schyliwszy się równocześnie, aby poprawić starcowi łóżko.

— Życie nie może przejść bez bóleści, ciało broni się od śmierci. Ale czym są bóleści fizyczne wobec cierpień duszy. Cierpienia te są o wiele gorsze, mój synu. Strzeż się, abyś ich nigdy nie zaznał.

— Twa dusza cierpi? Zwróć się do naszego dobrego kapelana. On wysłucha twej spowiedzi i udzieli ci rozgrzeszenia.

— Czy sądzisz, że grzech można przebaczyć? I może to uczynić człowiek? Może to uczynić kapłan, który sam jest grzesznikiem, a na dodatek znajduje się między wami. Nie, to nie jest możliwe.

— Słuchaj starcze. Dominikanin nie przybył do nas, aby razem z nami uczestniczyć w zbrodni, tylko po to, ażebyśmy też mogli zaznać łaski bożej. Jest on bardzo dobrym i pobożnym człowiekiem. Jest także moim nauczycielem, któremu zawdzięczam wszystko, co umiem.

Żebrak słuchał uważnie.

— Jest twoim nauczycielem?

— Tak.

— Ty się więc uczysz?

— Jużci. Musisz bowiem wiedzieć, że kapitan bierze mnie tylko do takich zadań, gdzie potrzeba kogoś umiejącego obcować z wysoko postawionymi osobistościami. Dlatego musiałem uczyć się wszystkiego, co musi umieć i wiedzieć wielki pan.

— Jak się nazywasz?

— Mariano.

— A dalej?

— Mariano i już.

— Musisz przecież mieć po swoich rodzicach jakieś nazwisko.

— Nie znam swej rodziny.

— A jak dostałeś się między brygantów?

— Kapitan znalazł mnie w górach. Jestem znajdu. Wziął mnie do siebie, ale wszelkie poszukiwania jakie rozpoczęto za moją ewentualną rodziną, nie dały rezultatu.

— Ile masz lat?

— Tego nie wiem.

— A jak długo jesteś między brygantami?

— Teraz już osiemnaście lat.

— Osiemnaście lat? — zapytał stary rozmyślając. — O, to ten sam czas. Nie masz jakiś wspomnień ze swego dzieciństwa? Czy nie możesz sobie niczego, ale to niczego przypomnieć?

— Nie. Nic nie pamiętam z tamtych czasów, chociaż często o nich marzę.

— Może uważasz, że coś ci się śniło, coś co rzeczywiście miało miejsce? Czy śniło ci się coś takiego.

— Dużo razy śniłem o małej laleczce. Leżała ona w pięknym, białym łóżeczku, na bokach którego widniał herb, a laleczka ta była żywa.

— Czy wiesz może, jak się nazywała?

— Tak — odpowiedział. — Pamiętam całkiem dobrze, że nazywałem ją Rozitą, Różyczką. Śnił mi się także wielki, wysoki mężczyzna, który wołał do mnie Alfonso. Chodził pięknie ubrany, a mnie brał na swe kolana. W domu naszym była zawsze piękna pani, która bardzo lubiła mnie i małą Rozitę. Całowała nas i rozpieszczała. Pomimo, że byłem mały, cała masa ludzi, słuchała mnie. Pewnego razu kiedy spałem przyszedł jakiś obcy mężczyzna i zawiązał mi usta. Spałem wtedy w jakimś mieście. Gdy się obudziłem, było już po wszystkim a ja leżałem w lesie. Oto cały mój sen.

— I więcej nic nie pamiętasz? I nie wiesz jak się nazywał ów mężczyzna, który nosił uniform?

— Słudzy zwracali się do niego panie hrabio.

— A słyszałeś kiedyś jego imię?

— Nie.

— Słuchaj mój synu, to ci się nie śniło, to była prawda.

— Ja też tak niekiedy myślałem, ale jak wspominałem o tym kapitanowi, to od razu robił się podenerwowany i nakazywał mi milczenie. O herbie wcale nie śmiałem mówić, chociaż przypominałem go sobie całkiem dokładnie.

— Czy możesz go opisać?



— Tak i do bardzo dokładnie. Miała złote zygzaki z perłami, a pod tym były dwa srebrne znaki.

— Jak te znaki wyglądały?

— Początkowo nic o tym nie widziałem, ale kapłan nauczył mnie pisać i czytać to wiem co te znaki znaczyły. Były to dwie litery „S” i „R”.

— Mój synu to był hrabiowski herb. Nigdy o tym nie zapomnij.

— Nigdy nie zapomnę o tym wszystkim, chociaż tylko z księdzem mogę o tym mówić.

— Powiadasz, że ten duchowny jest dobrym człowiekiem.

— Tak, nie jest rozbójnikiem, nigdy nie czyni nic złego, chociaż jest z nami i wiemy, że nas nie zdradzi. Jest to człowiek, któremu można zaufać.

— I mówisz, że on także spowiada i udziela rozgrzeszenia.

— Tak.

— Czy mnie też może udzielić tej przysługi.

— Z pewnością.

— Możesz, go do mnie przyprowadzić.

— Chętnie, kiedy ma przybyć?

— Chcę, abyś ty też był przy tym obecny.

— Ja? Ja nie mam prawa słycać cudzej spowiedzi.

— Proszę. To z czego mam się wyspowiadać, może dotyczyć i ciebie. To szczęśliwy zbieg okoliczności, że to właśnie ty wskazałeś mi tę celę. Chciałbym jednak, aby poza tobą nikt inny nie dowiedział się o mej spowiedzi. Dlatego, tak masz dopasować czas spowiedzi, aby nikt nie zauważył twojej nieobecności.

— To może być możliwe wtedy, gdy wszyscy zasną.

— I jeszcze jedno, chłopcze, czy wśród was nie ma już nikogo innego, kto nie wiedziałby o swoim pochodzeniu.

— Nie. Reszta to sami zbiegowie, albo biedacy dobrze wiedzący, kim są.

— I nie było nigdy tutaj żadnego znajdy, prócz ciebie?

— Nigdy.

— Więc jesteś tym, którego szukam.

Mariano zdziwił się i zapytał:

— Szukałeś mnie? Dlaczego?

— Synu, jeżeli taka będzie wola Boża, to dowiesz się kim jesteś. To co usłyszysz dzisiaj ode mnie ma ci wskazać drogę, o której dowiesz się wszystkiego.

Twarz młodego mężczyzny rozjaśniała i zawołał:

— Czy to prawda? Czy to możliwe?

— Cicho mój synu — przestrzegaj żebrak. — O tym nikt nie może wiedzieć. Gdyby kapitan to usłyszał, zginąłbyś. Właściwie miałeś zginąć, jednak kapitan nie uczynił tego, ale gdyby poznał to, co chcę ci opowiedzieć, musiałby cię pozbawić życia, aby tajemnica nie ujrzała światła dziennego. A więc bądź roztropny i milcz.

— Będę milczał, a kiedy wszyscy zasną przyprawdę do ciebie księdza.

— Powiedz mu, by wziął ze sobą papier, pióro i atrament, gdyż będzie musiał coś spisać. Przynieś więc światło, gdyż pisanie to potrwa dość długo.

Młodzieniec odszedł.

— Dzięki ci Panie, — mruzczał starzec — że dałeś mi dość siły abym mógł dojść do tego miejsca! Może mi kiedyś przebacysz, jeśli postaram się naprawić to, co w swej lekkomyślności kiedyś zniszczyłem.

Rabusie jeden po drugim udawali się na spoczynek. Niektórzy zasnęli w otwartej kotlinie, tak jak siedzieli, a koło północy ostatni przykrył się swym pledem i smacznie zasnął. Wkrótce tylko straż wypełniała swe obowiązki. Mariano podniecony wyszedł ze swej celi. Wreszcie zasłona, która zakrywała jego przeszłość miała zostać uchylona. To było wręcz nieprawdopodobne. Puls bił mu niespokojnie, kiedy skradał się do celi księdza. Siedział on jeszcze przy świetle nad swoimi książkami i z wielkim zdziwieniem spojrzął na wchodzącego młodzieńca.

— To ty? — zapytał. — Co sprowadza cię do mnie o tak niezwykłej porze, mój synu?

— Mów cicho, ojciec — prosił młodzieniec. — Nikt nie może wiedzieć o tym, co mnie tu sprowadza.

— Więc to tajemnica?

— Tak. Musisz udać się do starego żebraka, którego dzisiaj przygarnęliśmy. Chce się wyświadczyć.

— On? Widziałem, że anioł śmierci wyciągnął już po niego zimne ramiona. Ale dlaczego ma to odbywać się w tajemnicy. Czyżby nagle zakazano mi słuchać spowiedzi umierającego?

— Nie, ale przy tej spowiedzi i ja mam być obecny, a o tym nikt już nie może wiedzieć.

— Ty, a to dlaczego?

— Bo będzie mowa o moim pochodzeniu — wyszeptał Mariano.

Ksiądz podniósł się i zapytał niezmiernie zdziwiony:

— O twoim pochodzeniu? W takim razie musimy działać po kryjomu, bo jak się domyślam, kapitan nie chciałby, byś się dowiedział, kim jesteś. W której celi znajduje się chory?

— W ostatniej. Wskazałem tę, aby nie przeszkadzał swym kaszlem pozostałym.

— Chodźmy więc.

Ukradkiem i po ciemku doszli do żebraka, którego kaszel słyszeli już zdała. Kapłan prosił Mariano by zaczekał i sam wszedł do chorego. Zmienili więc celę na tę z zamykanymi drzwiami, a żebrak ułożył się łóżku, a gdy obaj jego towarzysze usadowili się wokół niego zaczął mówić:

— Ojczy, czuję, że nadchodzi nieubłagana śmierć, a chciałbym przedtem zrzucić z mego serca ciężar, jaki noszę lat osiemnaście.

— Bóg jest łaskawy, dla tych którzy wyznają winy i żałują za grzechy — zauważył kapłan.  
— Wyjaw winy, które przygniatają twe serce.

— Są dwa ciężkie grzechy, które popełniłem: krzywoprzysięstwo i zamiana dziecka.

— Wobec kogo je popełniłeś.

— Krzywoprzysięstwo popełniłem wobec kapitana.

— Wobec którego kapitana, naszego?

— Tak. Musicie bowiem wiedzieć, że byłem kiedyś członkiem brygantów.

— Ty? Tutejszych brygantów?

— Tak. Kapitan był moim naczelnikiem. Byłem biednym żeglarzem i nieraz przemyciłem parę bali jedwabnego materiału, przez francuską granicę. Pewnego razu zdołano mnie pojmać. Skonfiskowano moją łódź, towar i wtrącono do więzienia. Zdołałem jednak uciec, a ponieważ nigdzie nie mogłem znaleźć bezpiecznego schronienia, udałem się między brygantów. Pierwsze moje dzieło, jakie musiałem wypełnić, to zamiana dziecka. Te drobne przemyty jakie wcześniej dokonywałem, nie obciążały moje sumienia, ale ten czyn mnie zaniepokoił. A kiedy kapitan zażądał ode mnie, bym zabił jednego człowieka, złamałem przysięgę wierności, którą przed nim złożyłem i uciekłem.

— Opowiedz mi historię zamiany dziecka — rzekł spowiednik.

— Był to, jak już wspomniałem, mój pierwszy zbójcecki czyn. Kapitan poszedł nawet za mną, aby mieć pewność, że wykonam zadanie. Zaprowadził mnie do hotelu w Barcelonie, gdzie spędziliśmy noc. O północy przeszedł do nas mężczyzna, który położył na stole jakiś pakiet. Kiedy rozwinął sukno, był w nim chłopiec, może czteroletni. Płótno było mocno nasączone eterem i z tego wnioskowałem, że dziecko zostało uspię. Miałem tego chłopca zamienić na innego, który leżał w drugim pokoju i spał. Pokój nie był zamknięty, a ja otrzymałem flaszkę z eterem, aby uspić przebywającą tam piastunkę i dziecko. Zamieniłem szatki dziecięce i wróciłem z obcym dzieckiem, które potem kapitan zabrał ze sobą tu, do tej jaskini.

— Wiesz to w stu procentach?

— Tak, przecież szedłem z nim i musiałem nieść chłopca. To nikt inny, tylko ten tutaj obecny młodzieniec.

— I jesteś tego pewien?

— Mógłbym to przysiąc! Młodzieniec ten sądzi, że mu się to śniło, ale myli się, albowiem wszystko to szczerą prawdą. Gdy zamieniałem ubranka, widziałem na sukniach tego chłopca hrabiowski herb z dwiema literami „S” i „R”.

— Niezbadane są wyroki boskie, ale Pan nasz wszystko doprowadza do końca — rzekł kapłan — Może ty jesteś narzędziem boskiego wyroku, synu mój. Nie poznałeś mężczyzny, który wam przyniósł chłopca? Musimy się tego dowiedzieć.

— Nie znałem go, ale słyszałem jego imię.

— Jak brzmiało?

— Kapitan raz się zapomniał i zawołał do niego, senior Gasparino, a przy pożegnaniu, kiedy myślał że nikt ich nie słyszy, wymówił to imię powtórnie. Drzwi nie były przymknięte, słyszałem więc doskonale, prawdopodobnie nawet dziś poznałbym tego człowieka.

— Tak więc przynieśliście obcego chłopca aż tutaj. Co się z nim dalej stało?

— Pozostał w jaskini i dobrze go pielęgnowano. Zawsze mówił o swojej matce i ojcu, o małej Rozicie, dobrym Juanie i Elwirze, aż w końcu kapitan zakazał mu wymieniać te imiona, a potem widocznie zapomniał o nich całkowicie.

— O nie — wtrącił Marino. — Nie zapomniałem! Ostatnie dwa imiona wyleciały mi wprawdzie z pamięci, ale teraz je sobie dokładnie przypominam. Juan nosił mnie bardzo często na rękach. Jaką rolę pełnił w zamku, nie wiem, ale pamiętam, że miał dziwny wąsik pod nosem. Końce tego wąsika ciągle golił i tylko pod samym nosem wisiały dwa długie strzępy. Nie mogłem tego znieść szczególnie wtedy, kiedy mnie całował. Elwira była jego żoną. Była bardzo gruba i zawsze, kiedy wydawała o czymś swój sąd, mówiła: „To samo twierdzi mój Juan!”. Ona tak żywo stoi w mej pamięci, że z całą pewnością bym ją poznał, gdybym choć raz ją zobaczył.

— Dziwne to sprawy, mój synu — rzekł kapłan. — Jestem całkowicie przekonany, że to ty jesteś owym zamienionym chłopcem. Ale wróćmy do naszej opowieści — i zwracając się do chorego zapytał — Jak się naprawdę nazywasz i skąd pochodzisz?

— Właściwie nazywam się Manuel Sertano, tutaj wołano na mnie tylko Manuel. Pochodzę z Mataro.

— To też może mieć dla nas pewne znaczenie. Opowiadaj dalej, przyjacielu!

Kiedy choremu minął kolejny napad kaszlu, kontynuował:

— Kilka tygodni po zamianie dziecka miałem zabić jednego podróżnego. Wzbraniałem się. Kapitan naciskał na mnie i groził mi karą śmierci, jeżeli nie wykonam jego rozkazu. Udawałem więc posłuszeństwo i poszedłem wykonać zadanie, ale nie zrobiłem tego i tutaj już nie wróciłem.

— Czy to jest więc owo krzywoprzysięstwo, które popełniłeś?

— Tak. Przysięgałem wypełniać wszelkie rozkazy kapitana, złamałem więc moją przysięgę.

— Mój synu, jeżeli to obciążało twoje sumienie, to możesz być zupełnie spokojnym. Żyję tu między brygantami, gdyż te zgubione owieczki nie powinny zostawać bez pociechy i boskiej pomocy, dlatego też z czystym sumieniem powiada ci, że bardzo dobrze uczyniłeś, nie chcąc zabić tego podróżnego. Siłą mojego urzędu, jako sługa świętego kościoła zwalniam cię od tej przysięgi i przynoszę ci przebaczenie dlatego właśnie, że jej nie dotrzymałeś.

— Ojcze, jestem ci niezmiernie wdzięczny za te słowa — wyrzekł chory. — Zdejmujesz mi wielki ciężar z serca. Oby mi i drugi grzech też mógł być przebaczony, wtedy spokojnie bym mógł umrzeć.

— Chcielibyśmy usłyszeć to opowiadanie w całości.

— Kiedy stąd uciekłem, udałem się do Sant Jean de Luz we Francji i jako majtek zaokrętowałem się na statek, który płynął na Antyle. Od tego czasu pływałem na różnych statkach, aż raz pewnego w Sant Jean de Callao ciężko zachorowałem. Wyzdrowiałem i wstąpiłem na służbę u bogatego Meksykańczyka, który mnie wziął aż do stolicy. Służyłem u niego wiele lat, dopóki nie umarł. Od tego czasu źle mi się działo. Moje niewielkie oszczędności szybko się rozpląły, zapasy się kurczyły. Czulem, że nadchodzi choroba, a za nią śmierć i wtedy ogarnęła mnie tęsknota i chęć ulżenia swym winom. Poczulem konieczność odszukania porwanego chłopca i uzyskania od niego przebaczenia. Pieniądze na powrotną podróż do Hiszpanii wyzebrałem, choroba zniszczyła moje ciało i nikt nie jest w stanie mnie poznać. Tak więc spokojnie mogłem przybyć do tej jaskini. Bóg chciał, że go od razu spotkałem tego, którego szukałem.

Straszliwy napad kaszlu przerwał na chwilę wypowiedź i wtedy właśnie usłyszeli zbliżające się ciche kroki. Mariano usunął się w ciemny kąt celi.

Drzwi otwarły się i stanął w nich kapitan.

— Co tu się dzieje? — zapytał.

— Nie wchodź tu, kapitanie — poprosił kapłan. — Przeszkadzasz w spowiedzi umierającego człowieka.

— Atak! Dlaczego nie został w celi, którą mu wskazałem?

— A czy spowiedzi umierającego, mogą słuchać inni?

— Jesteście bardzo ostrożni. Mam nadzieję, że ta spowiedź nie niesie z sobą zagrożenia dla naszego towarzystwa.

— Spowiedź żebraka? Kapitanie, sądzę, że stroisz sobie żarty z sakramentu spowiedzi?

Kapitan na te słowa oddalił się, nie zauważywszy Mariano.

— Mój synu, — rzekł kapłan — popełniłeś ciężkie grzechy. Rodzicom zabrałeś dziecko, które przez ciebie zostało rabusiem. Grzech ten jest ogromny, ale większa od niego jest boska łaska. On ci przebaczy, jeżeli przebaczy ci ten, wobec którego zawiniłeś najwięcej.

Chory podniósł ręce z błagającym spojrzeniem ku chłopcu. Ten przystąpił bliżej i wyciągnął doń swą dłoń.

— Manuelu Sertano, przebaczam ci — rzekł.

Głowa żebraka opadła na łożo. Zapadłe oczy zamknęły się, a na twarzy pojawił się wyraz głębokiego spokoju.

— Och, jak lekko i słodko mi teraz! — szepnął starzec. — Mój Boże, dziękuję ci, że mogę już spokojnie umrzeć.

— Tak — powiedział kapłan. — Teraz mocą urzędu udzielam ci rozgrzeszenia.

— Nie sądziłem, że to kiedyś nastąpi, gdyż zniszczyłem szczęście wspianiałej rodziny. Teraz niech stanie się wszystko, aby tylko tę sprawę naprawić. Widzę ojczyźnie, że masz papier i pióro przy sobie. Spisz to dokładnie, a ja to podpiszę.

— Dobrze uczynimy co chcesz — rzekł ksiądz wyciągnawszy przybory do pisania. — Wprawdzie będzie to tylko to co od ciebie usłyszeliśmy, ale sądzę, że Bóg pomoże, aby z czasem dowiedzieć się reszty. Przede wszystkim gdzie można spotkać owego mężczyznę, którego kapitan nazywał Gasparino i tych ludzi, u których zamieniono dzieci.

— Kapitan z pewnością o wszystkim wie — zauważył młodzieniec. — Zmuszę go do tego, aby mi wszystko wyznał.

— Na Boga, nie czyn tego! — przestrzegał mnich. — Nigdy ci się to nie uda, on cię raczej zabije, gdy tylko się zorientuje, że tajemnica jego jest w niebezpieczeństwie. Powinniśmy być jak gołębie, ale roztropni jak węże, mój synu. Podstęp nas daleko łatwiej doprowadzi do celu, niż siła. Jak się nazywał hotel, w którym dokonano zamiany.

— Była to gospoda „Pod wielkim mężem” — odpowiedział żebrak.

— Czy ktoś zauważył tę zamianę?

— Nie wiem, albowiem opuściliśmy dom jeszcze przed świtem, kiedy wszyscy spali.

Kapłan rozpoczął spisywanie tego ważnego dokumentu. Kiedy skończył podał go żebrakowi do podpisania i nareszcie sam, na potwierdzenie prawdy przyłożył na koniec swą sygnaturę.

— Tak — rzekł. — Pismo to będę przechowywał jak najstaranniej, gdyż jest u mnie pewniejsze niż w jakimkolwiek innym miejscu. Teraz idziemy, ale ja wkrótce wrócę, by czuwać przy tobie. To jest moim obowiązkiem.

Tak też się stało. Mariano wrócił wprawdzie do swej celi, ale przez całą noc nie zaznał spokoju. To o czym się dowiedział, miało dla niego ogromną wartość, tajemnica ta zajęła wszystkie jego myśli.

Dotychczas uważał kapitana za swego dobroczyńcę, teraz jednak poznał, że ten dobroczyńca dopomógł zbrodni, która jego, niewinnego chłopca, wyrwała z rąk rodziców i rzuciła między bandę wyjętych spod prawa ludzi. Sympatia w jednej chwili zmieniła się w nienawiść. Na niego padł cały ciężar gniewu młodego mężczyzny, żebrak bowiem był tylko ślepym narzędziem, musiał słuchać, jednak potem srodze za to odpokutował. Teraz zaś stał nad grobem, a to działało na wrażliwe serce Mariano, tak, że nie był w stanie gniewać się na chorego starca. Postanowił nie dawać po sobie nic poznać, i dołożyć wszelkich starań by dojść do prawdy.

W jaskini zbójców jeszcze jeden człowiek nie udał się na spoczynek, był nim kapitan, który z powodu wrażeń nie mógł zasnąć.

— Ten Gasparino Kortejo to wielki drab, o wiele większy od najgorszego bryganta! — mruczał — Czemu każe zabić tego lekarza? Mnie właściwie nie powinno to obchodzić, ale chciałbym wiedzieć. Płaci dobrze, ale głupcem jest ten, kto cytryny nie wyciska dopóty, dopóty nie wysączy się z niej ostatnia kropla soku...

— No, a ta historia z Mariano przyniesie mi jeszcze niezłą sumkę — dodał po chwili rozmyślania. — Miałem chłopca zabić, ale byłbym wielkim głupcem, gdybym to uczynił. Polubiłem nawet tego młodzieńca i pewnie bym nie mógł tego zrobić.

Zaśmiał się szyderczo i przystąpił do skalistej ściany swego pokoju. W jednym miejscu nacisnął czworokątny kamień, ten usunął się na bok i można było ujrzeć wewnątrz ciasnego schowka. Kapitan wyniósł stamtąd jakiś stary, poskładany papier.

— A jak się stary łotr wzbraniał, jak się wił i krzywił, kiedy zażądałem od niego tego poświadczenia — mruczał zadowolony. — Ale musiał, bo miałem go w ręku. Na dodatek o mnie nie ma tu ani słowa, tylko o Manuelu, gdyż to on zamienił chłopców i tylko jego imię należało wpisać.

Rozwinął papier, zbliżył się do światła i po raz nie wiadomo już, który przeczytał:

*Niniejszym zgodnie z prawdą oświadczam, że rybak Manuel Sertano z Matary zamienił dnia pierwszego października 1831 w gospodzie, L'Homme Grand w Barcelonie, za moim poduszczeniem i za zapłatą tysiąca piastrów w srebrze jednego chłopca na drugiego. Zamieniony chłopiec żyje pod dobrą opieką w górskiej grocie.*

*Manresa, dnia 15 listopada 1831.*

*Gasparino Kortejo.*

Kapitan złożył papier i z zadowoleniem głąskał brodę i kontynuując swą wypowiedź:

— Tak więc trzymam starego w garści, a kiesa jego nie będzie mogła próżnować. Szkoda tylko, że tak zawzięcie wzbrania się powiedzieć mi, kim są ci dwaj zamienieni chłopcy. Chociaż można się domyślić! On jest pełnomocnikiem hrabiego Emanuela de Rodriganda, będę go śledził! Młody hrabia ma wkrótce powrócić do domu, a może jest już tutaj. Czy można go kazać śledzić? Czy może lepiej aby umyślni wybadali rodzinne stosunki hrabiego? Tak, to byłby najpewniejszy środek. Ale kto by to mógł zrobić?

Jego zamyślona twarz rozjaśniła się nagle, zaśmiał się krótko i rzekł:

— Ale to doprawdy wspaniała myśli! Na przeszpiegi wyślę Mariano. On jeden zdolny jest do tego. Jest jedynym wśród nas, który może bezkarnie przebywać wśród ludzi wysoko urodzonych. W końcu kazałem go uczyć wszystkiego, co tylko znakomity senior umieć powinien. Notariusz nigdy go nie widział, więc nie ma obawy, że go pozna, nawet się nie będzie domyślał, że ten młody, sprytny i miły mężczyzna jest tym samym chłopcem, którego kiedyś kazał zabić. Ten pomysł przynosi mojej głowie ogromny zaszczyt!

Kiedy rano się obudził, przyszedł do niego kapelan i oświadczył:

— Kapitanie, ten starzec, którego wczoraj w nocy spowiadałem, umarł właśnie.

— Dobrze, pozbyliśmy się go. Czy Mariano już wstał?

— Tak.

— Niech natychmiast przyjdzie do mnie.

Młodzieniec, gdy wszedł, przyjaźnie pozdrowił dowódcę, a w jego postępowaniu nie można było zauważyć żadnych zmian. Kapitan wskazał na krzesło i spytał:

— W jakiej kondycji jest twój wierzchowiec?

Rysy młodzieńca rozjaśniły się, a twarz oblała rumieńcem. Widać było, że troska o konia sprawiała mu przyjemność.

— Jest trudny do oswojenia — odpowiedział. — Musiałem kazać go zabrać od innych zwierząt, gdyż był agresywny.



— Uważaj więc, aby nie było jakiegoś nieszczęścia. Kiedy takie szlachetne i dzikie zwierze nie widzi prze cztery tygodnie jeźdźca, to trudno go potem osiodłać!

— Czy mam gdzieś jechać?

— Tak, do Manresy i zamku Rodriganda.

— To bardzo daleko, kapitanie.

— Masz wiele czasu na przygotowanie się do tej wycieczki. Możliwe, że będziesz tam przebywać przez jakiś czas.

Twarz młodzieńca rozjaśniła się.

— Czy wyjeżdżam z jakimś zadaniem? — zapytał.

— I to bardzo trudnym — odrzekł kapitan. — Czy twoja garderoba jest w porządku?

— Tak.

— Uniform także?

— Oczywiście. Czy mam się przebrać za oficera?

— Za francuskiego oficera. Przecież znakomicie władasz tym językiem. Dostaniesz papiery na nazwisko Alfreda de Lautreville.

— A jakie zadanie mnie czeka?

— Musisz pod jakimkolwiek pretekstem dostać się do zamku Rodriganda i zachowywać się w ten sposób, abyś mógł pozostać tam dłużej. Jeżeli się to uda, masz jak najstaranniej i najdokładniej zbadać stosunki panujące w zamku. Będę od ciebie wymagał bardzo dokładnych wiadomości.

— Może mi podasz jakieś szczegóły, wodzu, które ułatwią by mi sprawę.

— Dużo to ja nie wiem. Ale przede wszystkim jest tam niejaki Kortejo, który jest administratorem hrabiego i jego masz szczególnie dobrze pilnować. Jest też młody hrabia, Alfonso, który przez długi czas przebywał w Meksyku. Muszę też wiedzieć, czy Alfonso jest podobny do hrabiego. Idź i przygotuj się. Pieniądze dostaniesz wraz z paszportem. Musisz uchodzić za człowieka zamożnego, dostaniesz więc znaczną kwotę i służącego który w razie potrzeby może być posłańcem.

Mariano odszedł. Jeszcze nigdy, żadne polecenie jaki otrzymał nie było mu tak na rękę jak to.

\* \* \*

W tym czasie, w zamku Rodriganda, panowała wielka cisza. Hrabia czuł się bardzo źle.

Stary kasztelan Juan Alimpo, chodził na palcach jak kot. Tak samo cicho starała się poruszać jego małżonka, tylko, że z mniejszym skutkiem. Kasztelan bowiem, był bardzo małym i szczupłym mężczyznom, a jego nadobna połowica Elwira było wyjątkowo solidnie zbudowaną kobietą. Jej twarz błyszczała zadowoleniem, z oczu patrzyła dobroć, a ponieważ jej drogi Juan mimo całej różnicy cielesnej posiadał takie same cechy, to żyli jak dwa gołąbki i nikt nigdy nie słyszał żeby się chociaż sprzeczali.

Kasztelan zajęty był porządkowaniem kosztownych przyborów do pisania, jego małżonka poprawiała naderwaną przy dywanie pętelkę.

— No i jak sądzisz Elwiro, spodobają się mu te przybory do pisania? — pytał kasztelan.

— Nawet bardzo. A ty jak sądzisz, co on powie na temat dywanu?

— Powie, że bardzo piękny.

— O tak, dla niego wszystko przygotujemy jak najlepiej.

— Bo on na to zasługuje, droga Elwiro!

— Naturalnie! Jest bardzo dobry.

— I taki skromny!

— Lubię go i czuję przed nim jakiś respekt. Nieprawdaż Elwiro?

— Tak, oczywiście, ja tak samo. Mogłabym mu z oczu wyczytać wszystko, a jednak wydaje się taki wysoki i dumny, jakby był jakimś hrabią, albo nawet księciem.

— Pan hrabia także go lubi.

— Łaskawa panienska także. Ale ci trzej pozostali lekarze, mój Juanie, oni mi się w ogóle nie podobają.

— Mnie jeszcze mniej. Nie życzę źle żadnemu człowiekowi, ale tych trzech drabów mógłby nawet diabeł porwać. Czy zgadzasz się ze mną, Elwiro?

— Tak, niechby ich sobie zabrał! Gdyby ten nowy lekarz nie przybył w samą porę, to uśmierciliby naszego pana, możesz być tego pewny!

— A co sądzisz o młodym panu, Elwiro?

— Hm, tu trzeba być ostrożnym! A co ty sądzisz?

— O tak, tu trzeba być bardzo ostrożnym. Ja sądzę, ja sądzę, hm...

— Co takiego sądzisz....?

— Ja sądzę, żeby go... żeby go... żeby go...

— No więc co? Żeby go...

— Żeby go... żeby...

— Dokończ w końcu! Dlaczego tak się jąkasz. Czy już nawet mnie się obawiasz?

— Nie, wcale nie. Ale jak już powiedziałem, tu trzeba być bardzo ostrożnym, i ja sędzę, żeby... żeby go... żeby go diabeł..., żeby go diabeł, tak jak i tych lekarzy porwał raz na zawsze.

— Aj, aj, Juanie! — groziła kasztelanowa. — Tak nie można mówić o młodym hrabim! To zupełny brak szacunku, chociaż ja też nie miałabym nic przeciwko temu, tak jest, ani troszeczkę przeciw temu, żeby go...

— No co, żeby go...

— No tak, żeby go diabeł porwał!

— A widzisz! — zawołał mąż przygłuszonym głosem — Jesteś zupełnie tego samego zdania, moja Elwiro!

— Ten młody hrabia Alfonso, zupełnie mi się nie podoba. On nawet nie wygląda na prawdziwego hrabiego!

— Właśnie. On nawet nie jest podobny do swojego ojca.

— O, właśnie to. A wiesz do kogo jest on podobny?

— Do kogo?

— Do tego starego Korteja, tego notariusza.

— Myślałem, że powiesz iż podobny jest do siostry Klarysy.

Pocziwa Elwira wyglądała na zaskoczoną, lecz po chwili namysłu powiedziała:

— Naprawdę, masz słuszość. I do tej pobożnej siostry Klarysy także. Jest to właściwie tak, jakby Kortejo i siostra Klarysa byli jego rodzicami! Czyż to nie dziwne, mój kochany Juanie?

— Rzeczywiście — przytaknął żonie, — ale ja już jestem gotów.

— Ja także. Zanieśmy więc te rzeczy do pokoju doktora. Wyszli na korytarz w chwili, kiedy trzech hiszpańscy lekarze szli do komnat hrabiego Emanuela. Mieli bardzo poważne miny. Kiedy dotarli do przedpokoju, doktor Francas zapytał obecnego tam sługę:

— Słyszeliśmy, że jaśnie pan hrabia źle się czuje?

— W istocie — odpowiedział zapytany.

— Chcielibyśmy z nim mówić.

— To niemożliwe, łaskawy pan zabronił wpuszczać do siebie kogokolwiek.

— Nawet nas?

— Tego pan hrabia nie mówił

— Więc proszę nas zameldować. Gdzie jest chory, tam najważniejsze decyzje podejmuje lekarz.

— Do tej pory też tak myślałem, ale dostałem inne polecenia.

— Od kogo?

— Od doktora Sternau'a i od samego hrabiego. Panowie w czasie operacji, która nie doszła do skutku wydaliście mi surowy zakaz wpuszczanie do hrabiego kogokolwiek, a szczególnie hrabianki Róży. Ja posłuchałem tego rozkazu i w zamian za to otrzymałem burę, jakiej nigdy dotąd nie słyszałem.

— Sam sobie jesteś winny. Gdybyś wtedy wykonał polecenie, my też uniknęlibyśmy nieprzyjemności. A więc zameldujesz nas, czy nie?

Służący wahał się przez chwilę, aż w końcu odparł:

— No dobrze, spróbuję.

Po chwili wrócił i otworzył im drzwi.

Hrabia znajdował się w tym samym pokoju, w którym przed kilku dniami miała się odbyć operacja. Wygodnie leżał w fotelu i wyglądał wprawdzie na osłabionego, ale trwogi nie wzbudzał.

Doktorzy ukłonili się głęboko, a hrabia skinął im tylko na powitanie ręką i wskazując na fotele powiedział:

— Zapewne panowie słyszeli, że bardzo potrzebuję spokoju, jednak mimo tego przyjmuję was. Proszę to przyjąć za dowód mej sympatii. Co chcieliście mi powiedzieć?

Francas podniósł się i zaczął mówić:

— Wielmożny panie hrabio, proszę nam uwierzyć, że tylko troska o zdrowie pana hrabiego nas tu przywiodła. Słyszeliśmy wprawdzie, że zalecono wielmożnemu panu zupełny spokój, ale ponieważ my uważamy, że to może tylko pogorszyć pana stan, więc przybyliśmy, aby naszą radą służyć panu hrabiemu.

— O, bardzo wam dziękuję. — odrzekł hrabia grzecznie — Nie widzę żadnego powodu do obaw.

— Łaskawy panie hrabio, — wtrącił doktor Millanos z Kordoby — często słaby człowiek łądzi się i uważa swój stan za dobry, podczas, gdy tylko lekarz może w pełni ocenić stan pacjenta.

— Macie panowie rację — odparł hrabia z uśmiechem. — W tej sytuacji polegam na zdaniu doktora Sternau'a, który zapewnił mnie, że nie potrzebuję się niczego obawiać.

Trzej lekarze wymienili spojrzenia, w których malowała się złość i nienawiść, poczym Francas groźnie marszcząc czoło powiedział:

— Pan hrabia chyba zbyt wierzy temu obcemu człowiekowi. Wielmożny panie, przecież kolega Cielli tak długo był lekarzem domowym pana hrabiego i przez wszystkie te lata cieszył się pełnym zaufaniem, a i my dwaj stawialiśmy się na każde zawołanie. To, że pan

hrabia zechciał z nami rozmawiać wskazuje, że zasłużyliśmy na zaufanie, którego chcielibyśmy okazać się godni. Jesteśmy, nie chwaląc się, najlepszymi przedstawicielami sztuki lekarskiej naszego kraju i jesteśmy gotowi ratować tak nam drogie życie, pana hrabiego, a tu przychodzi jakiś nieznajomy szarlatan i zaskarbia sobie zaufanie, które pan hrabia może i życiem przypłacić.

— Panowie, — odrzekł hrabia — posuwacie się za daleko, doktor Sternau jest tutaj wprawdzie obcy, ale szarlatanem nie można go nazwać. Jest jednym z najslawniejszych lekarzy, o czym miałem się sposobność przekonać. Studiował na najslawniejszych uniwersytetach, które skończył z wyróżnieniami, później jako asystent pracował u najslawniejszych profesorów. Zwiedził prawie cały świat, wzbogacając przy tym swą wiedzę, na koniec rozpoczął pracę u profesora Letourbier w Paryżu, który bezsprzecznie jest uznawany za najlepszego chirurga w świecie.

— Zapewne sam się tym chwalił przed panem hrabią — zauważył doktor Cielli pogardliwym tonem.

— Myli się pan, panie doktorze, Sternau ma za wiele skromności osobistej, aby się chwalić. Moja córka znalazła w bibliotece książki medyczne, których autorem jest doktor Sternau, oprócz tego całą masę broszur i gazet, gdzie napisano o nim same pochwały. Myślę, że każdy lekarz, który chce się dalej kształcić i dalej się rozwijać powinien znać nazwisko doktora Sternau'a. Zapewne ten, który wzbrania się przed postępem i leczy chorych tylko przestarzałymi metodami nie idzie z prądem, nie przyswaja sobie nowych odkryć i wynalazków, uważa za rzecz niegodną dalsze studiowanie, ten zapewne nie zna nazwisk słynnych na cały świat lekarzy i badaczy.

Żaden z lekarzy nie umiał zapanować nad swym gniewem, pierwszy *zapytał* Francas:

— Czy pan hrabia, ma może na myśli nas?

— O nie! — odpowiedział z grzecznością — Ja mówię ogólnie i chciałem tylko, a właściwie miałem obowiązek zaprzeczyć szarlatanowi, gdyż doktor Sternau jako nieobecny nie może się sam bronić.

— W takim razie nie mamy powodu się obrażać — odezwał się Millanos. — Chcę tylko wyjaśnić, że nie każdy, który wyda jakieś dzieło, staje się przez to sławny.

— My możemy mówić o sławie, gdyż cieszymy się zaufaniem i rozgłosem w całej Hiszpanii. A że stanęliśmy przeciwko doktorowi Sternau i musieliśmy skrytykować jego fałszywą diagnozę, to stało się to tylko z troski o zdrowie wielmożnego pana hrabiego. Nasza diagnoza jest niezmienna, tylko szybka operacja może uratować życie pana hrabiego.

— Czy panowie są o tym całkowicie przekonani? — pytał hrabia poważnie.

— Jak najbardziej — odpowiedzieli wszyscy razem. Wówczas poszukał ręką po stole i znalazłszy okrągłe pudełko, otworzył je i podał lekarzom, mówiąc z uśmiechem:

— To proszę sprawdzić zawartość tego pudełka.

Francas wziął do ręki pudełko, rzucił pobieżne spojrzenie i podał Ciellemu.

— Oto proszek — rzekł pogardliwie — jeżeli pan Sternau zamierza proszkami lub miksturami pana wyleczyć, to bardzo się myli i sam sobie wydał już świadectwo.

— Panowie się mylą, ten proszek nie jest przeznaczony do zażywania, przeciwnie, on pochodzi z mego wnętrza.

— A! — zawołał Francas.

— Tak, panowie, dziś rano doktor Sternau zaczął kruszyć kamień i wydobywać, a ten proszek świadczy o pomyślnym skutku przedsięwzięcia.

Francas pierwszy przyszedł do siebie i zapytał:

— A czy pan hrabia jest pewny, że ten proszek jest częścią kamienia?

Hrabia aż zachnął się i zawołał:

— Czy senior myśli, że doktor Sternau oszukuje mnie, jak pierwszy lepszy kuglarz? Takie posądzenia szkodzą tylko panom.

— Ależ te boleści, jakie pan hrabia przechodzić musi! — wtrącił się Francas.

— Boleści nie były tak wielkie, a jedyne cierpienie jakie odczuwam, pochodzi z podrażnienia dróg moczowych i jestem przekonany, że je wytrzymam. Senior Sternau posiada me całkowite zaufanie i dzisiaj przy operacji przekonałem się, że jego metoda jest daleko bezpieczniejsza niż wasza, mam również nadzieję, że uda mu się przywrócić mi wzrok. Zresztą doktor Sternau wyrażał chęć pracować z panami, ale wy tę propozycję odrzuciliście. Pomimo, że to młody człowiek, jest jednym z najzręczniejszych chirurgów, więc proszę abyście panowie przyłączyli się do niego, a wówczas pomoc waszą przyjmę z wdzięcznością.

Francas rzekł:

— Dziękuję łaskawy hrabio, nie mam zamiaru iść do szkoły tego, który jeszcze sam szkoły potrzebuje. Zdołał się wkraść w łaskę pana hrabiego i osiąść pańskie zaufanie. Jednak nie zamierzam asystować temu młodzieniaszkowi, dziękuję i proszę o uwolnienie mnie od dalszych wizyt, bym mógł powrócić do Madrytu.

— Ja również pragnę jeszcze dzisiaj wrócić do Kordoby, gdzie cieszę się większym zaufaniem niż tutaj — odparł z dumą Millanos.

— A ja proszę o zwolnienie mnie z dotychczasowej posady lekarza domowego — zauważył Cielli, — widzę, że nie pozostawię po sobie zbyt wielkiej luki, bo mą rolę od pewnego czasu sprawuje doktor Sternau.

— Ależ to atak, na jaki nie byłem przygotowany — zaśmiał się hrabia. — Zamek Rodriganda otwarł dla was uprzejmie swe podwoje, jeżeli jednak tak koniecznie upieracie się go opuścić, to nie mam prawa zatrzymywać panów, zwłaszcza, że chorzy czekają na waszą pomoc. Proszę więc przedłożyć memu skarbnikowi rachunki i przyjąć moje serdeczne podziękowanie.

— Podziękowanie już odebraliśmy, — zauważył Francas ostro — proszę tylko uważać naszą wizytę za ostatnią i zarazem pożegnalną.

— Jak sobie panowie życzycie, — odrzekł hrabia — szczęśliwej drogi.

Pokłonili się i wyszli. W bocznym pokoju stanęli i spojrzeli po sobie.

— Już po wszystkim! — rzekł Francas.

— Niestety! — dorzucił Millanos.

— Pobic! — zawołał Cielli gniewnie. — Pobic! przez takiego człowieka!

— Jeszcze nie! — rzekł Francas. — Wprawdzie odjeżdżamy, ale jestem przekonany, że wkrótce znów nas przywołają.

Francas udał się do hrabiego Alfonso, gdzie byli także notariusz i siostra Klarysa.

— No i cóż, udało się? — zapytał pierwszy.

— Tak, — odpowiedział zapytany szorstko.

— Bogu dzięki!

— Nie ma za co! — odrzekł lekarz. — Udało się, ale nie nam, tylko temu szarlatanowi.

— Naprawdę?! — wykrzyknął notariusz. — Niech to diabli.

— Wyjeżdżamy. Podziękowano nam i mamy jak najprędzej przedłożyć rachunki.

— Ależ to niegrzeczność! To formalne wyrzucenie za drzwi! — dodał notariusz — Wy nie odejdziecie!

— Nie? Tak pan sądzi?

— Tak.

— Więc się pan myli. Doktor Francas nie myśli zmuszać chorego do korzystania z jego opieki medycznej.

— Tu nie będzie przymusu, lecz hrabia sam będzie was prosił, abyście tutaj pozostali.

— Być może. Ale w jaki sposób chcesz go pan do tego nakłonić?

— Nie ważne, przede wszystkim opowiedzcie mi o waszej rozmowie z hrabią.

— Była krótka i zwięzła. Dało się wyczuć, że sam by nas kazał odprawić, gdybyśmy nie byli tak przezorni i o to nie poprosili.

Zaczął opowiadać, a hrabia Alfonso stał przy oknie z ponurą twarzą, a gdy lekarz skończył opowiadanie zwrócił się do wszystkich ze słowami:

— Więc operację zaczęto bez naszej wiedzy?

— Tak. Sternau odpłaca nam pięknym za nadobne.

— Sądziś, doktorze, że wyjęcie kamienia się uda?

— Jestem o tym przekonany.

— Temu należy przeszkodzić!

— Lecz jakim sposobem? — zapytał doktor z dziwnym wyrazem w oczach.

— Senior Kortejo zajmie się wszystkim.

— Tak, ja to biorę na siebie, ręczę za pomyślne zakończenie — odpowiedział zagadnięty ze stanowczą miną. — Doktorze, czy mógłbyś przynajmniej jeszcze dzień zatrzymać się w Rodriganda?

— Po co? — zapytał Francas.

— Bo jestem przekonany, że hrabia jutro z radością dowie się, że jeszcze nie zdążyliście odjechać.

— No dobrze, ale tylko do jutra rana. Jeśli jednak nie otrzymam wezwania, to zaraz odjeżdżam.

— Proszę polegać na mnie — rzekł Kortejo. — Jednak teraz muszę już iść.

Udał się do parku, gdzie w zaroślach czekał na niego zamaskowany człowiek.

— To wy, senior? — spytał obcy. — Macie wreszcie rozkaz?

— Tak, to musi stać się dzisiaj.

— Kiedy?

— W stosownej chwili, tego łotra nie ma jeszcze w zamku.

— Wiem o tym, widziałem, jak poszedł w stronę lasu. Posłałem za nim jednego z naszych ludzi i stąd wiem, że ze starym leśniczym udał się w góry.

— A więc na polowanie! W takim razie czekajcie aż wróci parku.

— Dobrze, ale jeżeli nadejdzie z drugiej strony?

— To czekajcie na następną okazję. Zdaje się, że ma w zwyczaju gdy zmrok zapadnie chodzić na spacer, wtedy będziecie mieli najlepszą okazję. Spodziewam się, że doprowadzicie sprawę do końca.

— Bez wątplenia, nasze kule nigdy nie chybią.

— Tu lepsze będą noże. Wystrzały byłyby słyszane w zamku i; cała pewnością wszczęto by alarm. Po wszystkim wsadźcie mu: w rękę, żeby to wyglądało na samobójstwo.

— Sądzę, że nóż w tym wypadku to nie najlepszy pomysł. To silny mężczyzna i na pewno nie obejdzie się bez walki.

— Boicie się? — szydził Kortejo z pogardą.



— Nie myślimy nawet o tym! Polecenie wasze spełnimy, a jak się ma sprawa z pieniędzmi? Kapitan rozkazał abyśmy je odebrali.

— Przyjdźcie dziś punktualnie o północy, na to samo miejsce, to ] wypłacę wam całą sumę, co do centa. Ale po co wzięliście ze sobą te i maski?

— Czy uważasz nas za nowicjuszy? — zaśmiał się rozbójnik. — Trzeba być przygotowanym na wszystko.

— Zróbcie to tylko należycie! — napominał notariusz.

Sternau rzeczywiście udał się z leśniczym do lasu, w celu odetchnięcia świeżym powietrzem gór i lasów, a zarazem poznania terenów należących do Rodriganda.

Wycieczka trwała dłużej niż pierwotnie zakładano i Sternau wracał do zamku późnym popołudniem. Powodując się jakimś chwilowym przypiływem romantyzmu postanowił iść ścieżkami wśród dzikiej gęstwiny. Zatopiony w myślach, wolnym krokiem zbliżał się do parku. Nagle przed sobą zobaczył Różę.

Widział jak się zbliżała. Była niezwykle piękna. Na jej białej sukni nie było żadnych kosztowności, tylko jeden czerwony goździk, ozdabiał jej bujne i wspaniale włosy.

— Senior — rzekła szczęśliwa — Zjawiłeś się tak niespodziewanie. Notariusz dopytywał się o pana.

— Przeczuwałem to, muszę się spieszyć.

— Mogę iść z panem? — spytała rumieniąc się.

— Będzie mi miło.

Zarzucił strzelbę, podał jej ramię i tak powoli szli przez park. — Czy wie pan, że ci trzej lekarz odjeżdżają? — zapytała, chcąc rozpocząć rozmowę.

— No cóż! — odpowiedział — Muszę przyznać, że wcale mnie to nie cieszy. Nie byłem usposobiony do nich wrogo, pragnąłem tylko dowieść, że don Emanuel może wyzdrowieć, a nawet odzyskać wzrok.

— Ale ci ludzie jeszcze dziś temu zaprzeczali. Senior wróć memu ojcu wzrok i zdrowie, a będę ci wdzięczna aż do śmierci.

— Należy ufać i wierzyć, że Bóg stosowną pokaże nam drogę.

— Na Boga! Co to znaczy? — krzyknęła przerażona, gdyż nagle rozsunęły się krzaki, a między nimi stanęła czarno zamaskowana głowa.

— Naprzód! Zabić go!

Na Sternau'a rzuciło się kilka zamaskowanych postaci z nożami w rękach.

Na szczęście doktor nie po raz pierwszy w życiu znajdował się w podobnym położeniu. Podczas swych wędrówek po licznych krajach, miał sposobność walczyć z dzikimi Indianami

Ameryki Północnej, z Beduinami pustyni, Malajczykami archipelagu wschodnio-indyjskiego a także z Papuasami w Nowej Gwinei.

Puścił ramię towarzyszki, odskoczył w bok z szybkością błyskawicy. Równie szybko podniósł strzelbę i wymierzył; dwóch napastników runęło na ziemię. W mgnieniu oka obrócił fuzję i kolba spadła z rozmachem na głowę trzeciego, który się zważył na ziemię, nie wydawszy nawet jęku. W tej samej chwili czwarty pchnął go nożem w ramię, jednak napadnięty w sekundzie odrzucił strzelbę, pochwycił go za gardło i uderzył przeciwnika zaciśniętą pięścią z taką siłą w skroń, że upadł bez przytomności. Gdy oglądał się za ostatnim przeciwnikiem, tego już nie było... uciekł w gęstwinę.

Teraz dopiero mógł się zająć Różą, która ze strachu nie mogła zrobić kroku. Była śmiertelnie blada, a oczy miała przymknięte. — Rózo, — rzekł Sternau, kładąc jej rękę na ramieniu — czy mogę ci w czymś pomóc?

Otworzyła oczy, a gdy zobaczyła stojącego przed sobą, rumieniec wypłynął na jej policzki.

— Karlosie! — zawołała radośnie.

— Uspokój się Rózo, unieszkodliwiłem tych zbirów.

Tu wzrok jej padł na krwawiące ramię, cofnęła się ze strachem i zawołała:

— Ale przecież pan jest ranny, pan krwawi.

— Proszę się nie martwić — prosił. — To tylko małe nic nie znaczące draśnięcie. Pchnięcie miało mnie pewnie trafić w serce.

— A cóż to za straszni ludzie! — zawołała przejęta, patrząc na leżące trupy. — Kim oni są? Czym im pan zawinił, Karlosie?

Przytuliła się do niego, a gdy podniosła w górę swe piękne oczy, można był w nich zauważyć miłość i oddanie.

— Ktoś nadchodzi — rzekła.

Rzeczywiście od strony zamku, przybyli dwaj pomocnicy ogrodnika, oraz kasztelan senior Juan Alimpo.

Gdy kasztelan zobaczył co się stało, spytał przestraszony:

— Łaskawa hrabianko! Senior Sternau! Co tu się stało?

— Chciano zamordować pana doktora — odrzekła Róza, jeszcze ciągle zdenerwowana.

— Zamordować? — zapytał Alimpo. — O Boże, czy to możliwe? Muszę zaraz opowiedzieć o tym Elwirze.

— Ale senior Sternau zwyciężył — ciągnęła Róza. — Zabił aż czterech.

— Czterech? Czy to możliwe, czterech mężczyzn naraz!

— Tylko trzech — poprawił ich Sternau. — Tego tutaj ogłuszyłem, będzie trochę otumaniony. Chodźcie tu i pomóżcie mi zdjąć im maski — rozkazał Sternau. — Zobaczymy, czy ktoś ich nie zna.

— Ale senior, czy nie należy najpierw opatrzyć twojej rany? — zapytała Róża.

— Z tym się nie pali — odpowiedział. — Pchnięcie nie jest niebezpieczne.

— Pchnięcie! Rzeczywiście namacalne pchnięcie! — zawołał kasztelan. — To straszne. Ach, gdyby przynajmniej tu była moja Elwira, zaraz by to zabandażowała. Przybliź się senior, ścisnę przynajmniej zranione ramię chustką.

Sternau wyciągnął zranioną rękę, a poczciwy kasztelan zawiązał chustkę tak maco, że krew nie mogła się przedostać.

— Tak, najważniejsze zrobiliśmy — rzekł. — Na świętego Sebastiana napad bandycki na zamek Rodriganda. Czterech morderców, a z tego trzech zabitych przez napadniętego, a czwarty — ciekawe, co na to powie Elwira.

— Czy ma ktoś sznur lub coś takiego przy sobie? — zapytał Sternau, który właśnie opatrywał czwartego bandytę. — Ten tutaj, niedługo odzyska przytomność. Musimy go związać. Powie nam wtedy kim jest i czemu chcieli mnie zabić.

— Tak, musi na to odpowiedzieć — powiedział Alimpo — Inaczej rozedrę go na kawałki. Tak senior, gdy raz wpadnę w złość to staję się niebezpiecznym człowiekiem.

Sternau uśmiechnął się i zapytał:

— Czy wpadłeś już kiedyś w taką złość, senior Alimpo?

— Nie jeszcze nigdy, ale czuję, że wtedy musiałbym być straszny, mniej więcej jak tygrys, krokodyl, albo nawet jak... nietoperz.

Poczciwy kasztelan uważał nietoperze za najgroźniejsze zwierzęta. Wyciągnął sznur i skrępował nieprzytomnemu ręce na plecach.

— Tak, ten jest już związany, — rzekł — czy masz jeszcze jakieś rozkazy, senior?

— Udam się z hrabianką do zamku, aby przysłać wam pomoc — odpowiedział Sternau. — Ten natychmiast dostanie się pod klucz, innych zaś musimy zostawić, aż do przybycia sędziego.

— Mamy solidne więzienie, senior, z którego nie można uciec. — To wspaniale, bo właśnie takie jest nam potrzebne. Ale miejcie się na baczności. Kilku morderców uciekło. Nie wiemy ilu ich jest i całkiem możliwe, że powrócą.

— Powrócą? Uwolnić? — zapytał kasztelan wystraszony. — I ja mam tu zostać?

— Tak.

— A jeśli kłuc będą albo strzelać? To bardzo niebezpieczna rzecz. O gdyby o tym wiedziała moja Elwira.

— Sądzę, że jesteś bardzo odważnym i dzielnym człowiekiem, senior! — rzekł Sternau z uśmiechem.

— Odważny? Oczywiście. Jestem nie tylko odważny, ale nawet zuchwały, a szczególnie w niebezpieczeństwie. Ale ukłucie nożem jest szkodliwe, a strzał jeszcze większe niebezpieczeństwo może przynieść.

— To dobrze. Naładuję i zostawię ci strzelbę, a zresztą są tu noże tych zabitych. To wystarczy do obrony.

Nabił strzelbę i podał kasztelanowi, lecz ten cofnął się i rzekł:

— Ja nie chcę strzelby. Jeśli ją ktoś nieprawidłowo trzyma, a ona wystrzeli, to można łatwo trafić samego siebie. Daj ją ogrodnikom. Dwie lufy są nabite, a więc każdy z nich może raz wystrzelić; ja wezmę noże.

Sternau podał hrabiance ramię i zaprowadził ją do zamku. Poszła do ojca zdać mu relację z wydarzeń.

Doktor spotkał siostrę Klarysę, gdy zauważyła na ramieniu lekarza chustkę, spytała:

— Senior, co ja widzę? Masz obwiązane ramię, a szaty splamione krwią. Na Boga, co się stało?

— Jestem ranny, seniora.

— Ranny! O mój Boże! Czy to możliwe? Kto to uczynił, senior?

— Nikt nie zna tych ludzi.

— Ludzi? Więc było ich więcej?

— Tak, napadnięto mnie..

— Święta Lauretto, więc nawet w Rodrigandzie człowiek nie jest bezpieczny. Ale — dodała rzuciwszy badawcze spojrzenie, — mówi pan, że sprawcy nie są znani, a więc oprócz pana ktoś jeszcze widział tych morderców?

— Tak, kasztelan i dwaj ogrodnicy.

— Udało im się uciec.

— Jeden, albo też kilku uciekło; trzech ja zabiłem, a czwartego kasztelan zaraz go przyprowadzi.

Twarz pobożnej donny pokryła się śmiertelną bielą. Ledwie ze strachu mogła ustać na nogach, aż wreszcie rzekła drżącym głosem:

— Wybacz, senior, lecz wiadomość tak mnie przestraszyła, że zrobiło mi się słabo. Oby Bóg odkrył ten niecny czyn i ukarał jego sprawców.

— Czy wolno mi podać pani ramię i odprowadzić do pokoju? — zapytał Sternau.

Skinęła potakująco głową i oparła się na nim. Odprowadził ją aż do drzwi i pożegnał głębokim ukłonem. Ona zaś szybko doszła do siebie, zadzwoniła po służącą i rozkazała, aby senior Gasparino Kortejo bezzwłocznie się u niej zjawił.

Rzeczywiście przybył bardzo szybko.

— Posyłałaś po mnie, Klaryso. Co jest tego przyczyną?

— Niestety, wielkie nieszczęście! — wołała. — O, jestem tak osłabiona, że ledwie zdobędę się na siły potrzebne do opowiadania!

— Ba! — rzekła spokojnie notariusz. — Przecież możesz mówić, a więc będziesz mogła opowiedzieć, co cię tak zdenerwowało. — Ale to jest zbyt straszne! Chodzi tu o naszą głowę, senior!

— Do diabła! Nie narzekaj pani, lecz mów. Zupełnie bez celu wprowadzasz nerwową sytuację. Chcę w końcu usłyszeć o tym nieszczęściu jakie się wydarzyło.

— Doktora Sternau'a napadnięto.

— Gdzie?

— W parku.

Twarz notariusza rozjaśniła się z zadowolenia. Sądził, że jego zamach udał się, więc rzekł tylko karcącym tonem:

— No i co z tego? Nie widzę w tym wielkiego nieszczęścia. Kto ci opowiedział o tym napadzie?

— To właśnie jest całe nieszczęście, gdybym usłyszała to od kogokolwiek innego, to pewnie w modlitwie jeszcze bym podziękowała Bogu, ale w tym wypadku...

— W jakim wypadku? Mów wreszcie do diabła!

— On sam mi to powiedział

— On? Kto?

— Doktor Sternau.

Notariusz aż cofnął się ze strachu.

— Doktor Sternau? Niemożliwe! — szepnął niepewnym głosem.

— Niemożliwe? O nie tylko, że możliwe lecz nawet pewne.

— Do stu tysięcy diabłów! — zaklął notariusz. — A więc uciekł?

— Miał tylko lekką ranę na ramieniu.

— A te łotry! Będę musiał ich uczyć, jak należy używać noży.

— Niestety, nie będziesz ich mógł tego nauczyć.

— Nie? Dlaczego?

— Gdyż trzech z nich Sternau zabił, a czwartego pochwyił.

— Do diabła! — ponownie zaklął notariusz. — Umarli nie mogą mówić, lecz ten pojmany może stać się niebezpiecznym.

— Czy on może coś zdradzić?

— Oczywiście, te hultaje widzą na czyje zlecenie działali.

— Biada nam! Senior, byłeś bardzo nieostrożny.

— Zaniechaj tych skarg! Nie ma ochoty w tej sytuacji słuchał jeszcze twych wyrzutów. Trzeba znaleźć wyjście z tej matni.

— Tak, tak! Istnieje jedna, ale tylko jedna — zawołała na nowo ożywiona.

— Jaka? — zapytał.

— Należy uwolnić tego więźnia.

— To jest możliwe. Ale trzeba będzie czekać stosownej pory. Zachodzi jednak pytanie, czy on do tej pory będzie milczeć. Sądowa komisja, zjawi się dopiero jutro i zabierze więźnia ze sobą. Przez całą noc zamknięty będzie w zamkowym więzieniu, łatwo więc będzie go uwolnić. Żeby tylko wcześniej niczego nie wyśpiewał.

— Trzeba go więc w jakiś sposób zawiadomić.

— Prawda. Ze zdenerwowania nawet nie myślę. Pójdę do parku i oglądnę miejsce napadu. Ale do diabła! Ten Niemiec drugi raz już nie będzie miał tyle szczęścia.

— Ale co zrobimy, aby go wreszcie usunąć? — zapytała prędko zakonnica.

— Nad tym się jeszcze nie zastanawiałem — odpowiedział godny sprzymierzeniec.

— Doktor Sternau musi zginąć, jeżeli nie mamy zrezygnować z naszego planu — zauważyła dama stanowczo.

— Tego nam nie wolno — dodał notariusz — więc każdy środek będę uważał za stosowny, jeśli tylko zaprowadzi nas do celu. Idę teraz obejrzeć miejsce napadu.

Kortejo ruszył spieszenie do parku, w którym zebrała się już wiedzona ciekawością liczna gromadka.

## Pierwsze ślady

Kortejo spotkał przed zamkiem więźnia, był to ten sam, z którym wcześniej rozmawiał i niepostrzeżenie dał mu znak, aby ten milczał. Skinął tylko głową na znak zrozumienia.

Na wieść, że lekarz i na dodatek jego gość został zaatakowany, hrabia wpadł w wielki gniew i rozkazał, aby śledztwo prowadzono z całą surowością.

Rana Sternau'a rzeczywiście okazało się niegroźna. Mimo krótkiego pobytu, zdobył sympatię prawie całej służby i dlatego nie mógł zrozumieć, kto nastawałby na jego życie. Niestety, więzień milczał uparcie, nie wyjaśnił ani kim sam jest, ani kto go do tego zamachu wynajął.

W mieszkaniu kasztelana toczyła się dyskusja.

— A więc kochana Elwiro, objaśnię ci teraz wszystko dokładnie — rzekł Juan.

— Tak, ale jak najdokładniej! — odrzekła Elwira.

Kasztelan wziął miotłę do ręki, rozglądnął się po całej komnacie i wreszcie powiedział:

— Było ich pięciu. Wyobraź sobie, że pierwszym jest ten oto zegar, drugim szafa, trzecim stół na kwiaty, czwartym lampa, a piątym kufer stojący w rogu. Zrozumiałas?

— Doskonale, kochany mężu.

— Dobrze, a więc pięciu morderców mamy już. Potrzebujemy jeszcze tylko Sternau'a, którego chcą zamordować i wielmożnej panienki. Sternau to ja, ty zaś zastąpisz hrabiankę Różę, moja Elwiro. Zrozumiałas?

— Oczywiście! Ja jestem hrabianką Różą!

Przy tych słowach gruba kasztelanowa wyprostowała się dumnie.

— Teraz ja, doktor Sternau, wracam z polowania ze strzelbą przewieszoną przez plecy. W parku spotykam ciebie, kochana Elwiro, to jest, naszą łaskawą panienkę. Składam głęboki ukłon, — tu skłonił; się przed żoną z całą powagą, a ona spróbowała swe grube ciało zmusić do podobnego ruchu, potem mówił dalej: — Wtem napada nas pięciu morderców. Pierwszy to jest zegar, wyskakuje z zarośli; ja jednak porywam strzelbę i wystrzelam z jednej lufy, zabijam go — puff!

To mówiąc wyprostował miotłę, wymierzył nią naśladując przy tym głos wystrzału i kontynuował:

— Teraz nadchodzi drugi, to jest szafa i rzuca się na mnie z nożem. Zabijam go drugim wystrzałem — puff. Zbliża się trzeci, czyli stół. Nie mogę już strzelić, gdyż nie mam naboju, muszę więc zabić go kolbą.

Obrócił więc miotłę i uderzył nią w stół.

— Wreszcie zjawia się czwarty, czyli lampa. Nie mam już strzału, a lampa jest tak blisko, że kolbą bym już nie dał rady; muszę więc palnąć pięścią, aby go ogłuszyć, mniej więcej tak...

Ujął lampę lewą ręką, prawą wznosił do góry i uderzył... Kawalki szkła potoczyły się po ziemi. Fantazja poniosła poczciwego kasztelana tak daleko, że pomieszał fantazję z rzeczywistością.

— Ależ kochany Juanie — rzekła kasztelanowa. — Co za głupstwa wyprawiasz.

— Cicho bądź, moja droga Elwiro — odpowiedział. — Przecież jesteś teraz wielmożną hrabianką i lampa w ogóle cię nie obchodzi. Musiałem przecież zabić i czwartego, gdyż pchnął mnie nożem.

— Właściwie to masz słuszność — przytaknęła. — Jednak szkoda takiej pięknej lampy, ale ponieważ zabiłeś ją z zapалу dla naszego kochanego doktora, to ujdzie ci to na sucho.

— Tak Elwiro, rozbiłem ją dla niego i dla niego zabiłbym jeszcze i inne rzeczy. Uzbroiłem się przecież w parku aż w cztery noże, aby zakłuć tych łotrów na śmierć.

— Ty? — zapytała zdumiona.

— Tak, ja, twój mąż! — odrzekł dumnie.

— Świata Madonno! Cztery noże! Kogóż to chciałeś zakłuć?

— Zbiegłych morderców, gdyby powrócili.

— O Boże! — krzyknęła załamując ręce. — Człowieku! Jesteś okrutny! Nie mogą cię już zostawić samego, gdyż twój temperament czyni cię nadto zuchwałym.

— Tak i jest mi to potrzebne — odpowiedział gładząc swój wąs. W tym samym czasie do pokoju hrabiego weszła zdyszana Róża.

— Ojczy, przynoszę ci dobrą wiadomość — rzekła.

— Jaką?

— Właśnie otrzymałam list, który muszę ci odczytać.

*Moja droga Różyczko!*

*Muszę ci przesłać kilka wyjaśnień. Ojciec został mianowany gubernatorem w Meksyku. Musi jak najrychlej wyjechać, a ja razem z nim. Pojutrze będę w Rodriganda. Jeśli chcesz się ze mną zobaczyć to czekaj w Pons, gdzie się zatrzymam.*

*Pokłoń się ode mnie hrabiemu i przyjmij serdeczne pozdrowienia od Twej*

*Twoja Amy Lindsay.*



— Czy to nie jest przyjemna wiadomość? — zapytała.

— Masz rację, moje dziecko — rzekł hrabia, a zwracając się do doktora, dodał: — Miss Amy Lindsay jest córką lorda Henry’ego hrabiego Nothingwell, który przez dłuższy czas mieszkał w Madrycie, gdzie obie panny poznały się.

— Czy mogę jutro pojechać do Pons? — zapytała Róża hrabiego.

— Oczywiście! — odpowiedział. — Jeśli dobrze słyszałem, to jutro odbędzie się tam jarmark. Dobrze zrobisz, gdy weźmiesz ze sobą kasztelana, moje dziecko.

— Będę miała bardzo dzielnego obrońcę — zaśmiała się.

Nieco później, gdy już wszyscy udali się na spoczynek, dwóch mężczyzn skradało się do lochu, w którym był zamknięty więzień.

Byli to hrabia Alfonso i notariusz. Przy drzwiach stało dwóch służących. Notariusz pozostał w tyle, podczas, gdy hrabia szedł pewnie tak, że wartownicy musieli go słyszeć. Siedzieli na ziemi, mając przed sobą zapaloną latarnię. Ujrawszy hrabiego, powstali.

— Czy to tutaj siedzi, ten łotr? — zapytał Alfonso.

— Tak — odpowiedział jeden.

— Spodziewam się, że będziecie na niego uważać, gdyby uciekł to nie liczcie na moje pobłażanie. Dajcie latarnię.

Udawał, że chce od jej ognia zapalić zgasłe cygaro i niby przypadkiem wytrącił służącemu latarnię z ręki, tak że spadła na ziemię rozbijając się na kawałki.

— Ofiara — krzyknął ze złością. — Podnieś latarnię i zaświeć ją. Równocześnie schylił się i niepostrzeżenie podniósł ją. Gdy więc służdy daremnie szukali, a on ich głośno łajał, notariusz bez szmeru, za plecami hrabiego wszedł do celi. W kilka minut później Alfonso poczuł dotyk dłoni, znak że przedsięwzięcie się udało, postawił latarnię na ziemi i cofnął się o parę kroków.

— Czy mam wam pomóc? — zapytał gniewnie.

— O nie, już jest! — rzekł jeden ze służących. — Ale olej wylał się całkowicie.

— To przynieście nowy.

Zapalił lampę, potem otworzył drzwi więzienia i oświetlił wnętrze. Zrobił to jednak tak, by służdy nic nie mogli zobaczyć.

— Ten człowiek śpi, albo udaje — rzekł zamykając szybko drzwi. — Najlepiej mu nie przeszkadzać — z tymi słowami odwrócił się i odszedł.

Tymczasem notariusz wyprowadził więźnia i niepostrzeżenie opuścili zamek, a gdy znikła jakakolwiek obawa Kortejo przystanął i rzekł surowo:

— Wyśmienicie spełniliście moje polecenie. Czy mam ci może wypłacić nagrodę?

— Wybacz, senior! — rzekł rozbójnik. — Może się człowiekowi raz coś nie udać.

— Ale nie w tak ważnej sprawie. Zdaje się, że kapitan przysłał samych tchórzów.

Brygant odrzekł cicho, ale wyjątkowo dobitnie:

— Czy chcesz mnie pan może obrazić?

— Gdy tylu jest przeciwko jednemu, a przecież nie dadzą mu rady, to muszą być tchórzami.

— Spróbuj senior sam zabić tego jegomościa. Gdy ktoś przez cały czas z kimś przebywa i przynajmniej dziesięć razy dziennie ma sposobność pozbycia się go, to raczej on jest tchórzem, zapamiętaj to sobie, senior! Nie jesteś ani mym dowódcą, ani kimkolwiek, od kogo mógłbym przyjąć spokojnie takie słowa. Nie jesteś lepszy ode mnie, gdybym powiedział o całym zajściu choć słowo, to jesteś zgubiony, a więc miej się na baczności i nie obrażaj mnie. Między nami nie ma tchórzy.

— Dlaczego więc nie daliście rady temu człowiekowi? Mieliście przecież przewagę.

— Ale wedle twego rozkazu mieliśmy użyć tylko noży, więc winę za to co się stało ponosisz sam.

— Tak myślisz? — zaśmiał się notariusz. — Może nawet ośmielasz się żądać zapłaty?

— Naturalnie. Będziesz musiał za to zapłacić, bo przez ciebie zginęli nasi towarzysze.

— Nie wcześniej, niż ten lekarz zginie!

— Więc spróbuj sam go zabić, jeśli ci się uda.

— Od tego wy jesteście! — rzekł notariusz.

— Już nie! Zrobiliśmy wszystko jak kazałeś więc żądamy zapłaty. I lepiej to zrób, bo nasz dowódca będzie żądał odszkodowania za zabitych — zaśmiał się rozbójnik szyderczo i zniknął.

Tego się notariusz nie spodziewał. Co będzie, gdy bryganci go zdradzą? Wtedy cały plan, nad którym tyle lat i z takim mozołem pracował ległby w gruzach.

Rano i w całym zamku dało się słyszeć niespokojne bieganie. Do pokoju notariusza zapukał służący.

— Senior Kortejo? Proszę szybko wstawać. Don Emanuel chce się z panem natychmiast rozmówić.

— Tak wcześniej? Po co?

— W nocy z więzienia uciekł ten rozbójnik.

— To niemożliwe — zawołał z udawanym zdumieniem. — Powiedz, że w tej chwili przyjdę.

W pokoju hrabiego zastał hrabiankę Różę, siostrę Klarysę i hrabiego, Alfonso.

— Czy słyszałeś już senior o co chodzi? — zapytał don Emanuel.

— Tak, — odpowiedział — lecz sądzę, że jest to jakiś nieporozumienie.

— Ale uciekł, a właściwie zniknął bez śladu w tak niepojęty sposób, że trudno to sobie wytłumaczyć.

— Czy don Alfonso powiedział panu hrabio, że osobiście sprawdzał zabezpieczenie więźnia?

— Tak. Mój syn widział jak brygant spał.

— Więc śludzy musieli mu pomóc w ucieczce, inaczej nie można sobie tego wytłumaczyć.

— Wątpię w to. Ci dwaj ludzie byli tak zdumieni zniknięciem więźnia, że ani przez chwilę nie mogą wątpić w ich niewinność.

— Ja też uważam, że oni w niczym nie zawinili — dodała Róża z naciskiem.

— Ależ łaskawa hrabianko, jak więc rozbójnik mógł opuścić więzienie? — spytał adwokat.

— To wykaże śledztwo.

— Miejmy więc nadzieję, że wszystko się wyjaśni. Zaraz pójde na miejsce wypadku.

Śledztwo jednak nie dało żadnego rezultatu. Po śniadaniu hrabianka Róża pod opieką kasztelana wyjechała do Pons, a ponieważ był to dzień targowy, to wszystkie drogi wiodące do miasteczka były bardzo zatłoczone.

Dwaj mężczyźni szli w stronę miasta od wschodu. Obaj trzymali się z dala głównej drogi, jakby unikając spotkania z ludźmi. Na plecach nieśli długie strzelby, za pasami wetknięte mieli noże sprawiali wrażenie wyjątkowo groźnych ludzi.

I rzeczywiście, jeden z nich był właśnie tym rozbójnikiem, któremu notariusz ułatwił ucieczkę, drugi tym, który uciekł w zarośla. Pierwszy za kierunek ucieczki obrał drogę do Pons, ponieważ był pewny, że jeżeli nawet zarządzono jakąś pogoń, to w zupełnie innym kierunku. Szedł więc spokojnie dalej, gdy nagle w ciemnościach nocy zauważył cień człowieka.

— Stój! dał się słyszeć głos, a równocześnie suche trzaśnięci odwiedzonego kurka strzelby. — Stój i połóż na ziemi broń.

Brygant poznał głos swego towarzysza, i odpowiedział spokojnie:

— Nie strój żartów, Juanito! U mnie nie znajdziesz ani złota, ani srebra, ani nawet złamanego grosza. Te zamkowe lotry wszystko mi zabrały.

— Enrico, to ty? — zawołał drugi, a w głosie jego słychać było pewną radość. — Do wszystkich diabłów, jakim sposobem dostałeś się tutaj? Sądziłem, że siedzisz w lochu i jutro będą cię transportować.

- Taki mieli zamiar, lecz popsulem im zabawę.
- Uciekleś?
- Naturalnie. Sądziłeś, że wypuścili mnie dobrowolnie?
- Aż tak głupi nie jestem.
- Powiedz, co ciebie tutaj sprowadziło? Czemu nie wróciłeś do kapitana?
- Czemu? Ty jeszcze się pytasz? czy miałem cię pozostawić samemu sobie?
- Naprawdę? Więc z mej przyczyny pozostałeś?
- Tak, mówię prawdę. Kiedy ten olbrzym miotał wami, ja ukryłem się w zaroślach i udałem na miejsce, gdzie zostawiliśmy nasze strzelby. Zabrałem je i uciekłem. Potem dowiedziałem się, że ciebie wzięli do niewoli i będziesz odwieziony do więzienia. Postanowiłem urządzić zasadzkę i uwolnić cię. Co teraz robimy?
- Ja wracam do kapitana.
- O tym nawet nie myślę — rzekł Juanito. — I bez mego towarzystwa zginie, a ja nie mam ochoty ponosić odpowiedzialności za nieudane przedsięwzięcie. Zabierze nam nasz udział w łupie.
- Jeśli nawet nie coś gorszego — mruzczał Enrico. — Masz rację, ale przysięgaliśmy mu wierność.
- Wielka rzecz! Przysięgi składanej hersztowi zbójców nie musi się dotrzymywać; uczynię to co uważam za słuszne, odłączę się.
- To znaczy, że odtąd będziesz prowadził interes sam?
- Tak, chyba, że ty się przyłączysz. Zastanów się nad tym. Nasz kapitan zabiera nam lwią część zdobyczy, my pracujemy, narażamy się na więzienie i szubienice, on siedzi w bezpiecznym ukryciu i gra rolę pana. Wiesz dobrze ile otrzymał za śmierć tego lekarza. Jak sądzisz, ile z tego my dostaniemy?
- Kilka nędznych dukatów, to prawda!
- Czy nie możesz sam, dla siebie zarobić takiej sumki? Czy nie możemy złapać jakiegoś bogatego szlachcica, który da nam taki okup, że będziemy panami?
- Do wszystkich diabłów, masz rację! Ale musimy opuścić tę okolicę. Gdyby nas kapitan złapał, byłoby po nas.
- Udamy się na drugi brzeg Ebro, ale najpierw musimy zarobić pieniądze na podróż. Dziś w Pons odbywa się jarmark, więc spotkamy tam dużo ludzi z zasobnymi kieszeniami. Chcesz iść ze mną?
- Niech tak będzie. Masz przy sobie strzelby?
- Mam wszystko, strzelby, pistolety ale tylko dwa noże, jeden mogę ci dać.

— Tylko, że idąc z takim uzbrojeniem będziemy wzbudzać podejrzenia.

— Głupi jesteś! To czego nie potrzebujemy zostawimy na dogodniejszą porę. Teraz przede wszystkim zabezpieczymy samych siebie i znajdziemy miejsce na bezpieczną noc.

Spędzili ją w lesie, rano zakopali wszystko co było zbyteczne i udali się drogą do Pons.

Ze względów bezpieczeństwa nie mieli zamiaru wchodzić do miasta, chcieli tylko, gdzieś w pobliżu napaść na kogoś bogatego.

Leżeli ukryci w krzakach, gdy nagle usłyszeli za sobą tętent koni. Henryk wyciągnął głowę.

— Któż to taki? — spytał Juanito.

— Do pioruna, przestraszyłem się! — odrzekł zapytany. — To nasza hrabianka!

— Jaka hrabianka?

— Z Rodrigandy. Ta sama, która była z lekarzem w czasie napadu.

— Naprawdę? Do stu diabłów, musimy ją mieć.

Podniósł strzelbę i wyjrzał zza krzaków, wkrótce schował się z zawiedzioną miną.

— Tak, to była ona — rzekł. — Jednak przejechała tak szybko, że nawet nie mogłem złożyć się do strzału.

— Do strzału? — zapytał Enrico. — Chyba nie miałeś zamiaru jej zastrzelić?

— Głupiec jesteś, konie chciałem zastrzelić.

— Chyba, że tak! Z eskortą szybko sobie poradzimy. Woźnica nie wyglądał na bohatera, a ten drugi to kasztelan, który nawet muchy nie skrzywdzi. Hrabianka ma z pewnością dużo pieniędzy przy sobie, może tak zaczekać na jej powrót?

— Owszem — mruknął Juanito, — lepszej zdobyczy na pewno nie upolujemy. Ty zastrzelisz lewego, ja prawego konia, a reszta sama się już zrobi.

Powóz hrabianki Róży zajechał przed najlepszą w mieście gospodę i tam w pokoju, który zawsze zajmowała w czasie swego pobytu w mieście, Róża czekała na swą przyjaciółkę.

Godzinę później przed budynkiem pocztowym zatrzymał się dyliżans, z którego wysypał się cały tłum. Na samym końcu wysiadła z niego dama, ale tak zawoalowana, że trudno było zgadnąć kim jest. Kasztelan domyślił się raczej niż poznał w niej przyjaciółkę swej pani.

— Jakże się cieszę! Sługa uniżony, przecież mam przyjemność mówić z *miss Amy, seniora, lady Lindsay*?

Krótki ale wesoły uśmiech, jakby trele słowika zabrzmiał spod welona i zaraz dał się słyszeć miły głos:

— Tak, jestem Amy Lindsay, z kim mam przyjemność?

— O! *Donia, lady, seniora*, nazywam się Juan Alimpo i mam zaszczyt przedstawić się jako kasztelan zamku Rodriganda, co może potwierdzić moja droga Elwira.

— A któż to jest, ta droga Elwira?

— Moja żona, o pani, *miss Amy seniora Lindsay!*

— Raczysz mi pan wyjaśnić, czy sam przyjechałeś po mnie?

— O nie, *lady Lindsay, donia!* Łaskawa hrabianka także jest tutaj! Czeka na panią w swym pokoju.

— To proszę mnie tam zaprowadzić, senior Alimpo! Kasztelan dał znak woźnicy, by zaopiekował się bagażami, sam zaś z wielką pompą pomaszerował, by wskazać drogę angielskiej lady.

Róża stała w oknie i ujrawszy przyjaciółkę pospieszyła jej naprzeciw.

Kasztelan nie mógł oderwać od nich oczu i gdy ponaglony ostrym wzrokiem swej pani odchodził wciąż mruczał pod nosem:

— O święta Madonno, toż to piękność.

— Która? — zapytał woźnica, który nadszedł z bagażami.

— A oczy?

— Co za oczy?

— A włosik, co? Co za włosik?

— Co? Jeden włosik? Gdzież ten włos?

— Jak złoto, co ja gadam, złotszy od złota! A ten całus! Boże cóż bym dał za to, bym go zamiast mej pani mógł otrzymać! Hm! Cóż tak stoisz i gapisz się na mnie. Idź z tymi pakunkami i umieść je na wozie, a nie podsłuchuj o czym mówię.

Pierwsze słowa powitania miały już panny za sobą. Stały teraz obie przy oknie, spoglądając na jarmarczny ruch miasteczka, wtem Amy wzniosłszy palec do góry i wskazując na jakiegoś mężczyznę, zawołała:

— Patrz Różo, kto to jest?

— Jakiś oficer!

— Znasz go?

— Nie, to nie Hiszpan, po stroju sądząc musi być Francuzem. Był to Mariano, który w drodze do Rodriganda przejeżdżał przez Pons. Nikt, nawet gdyby wiedział, kim jest ten młodzieniec nie mógłby się domyśleć, że ten pewny siebie młodzieniec, jest wychowankiem zbójckiej bandy.

Jechali w kierunku hotelu, bo chcieli odpocząć sami i dać odpocząć koniom. W poprzek ich drogi stał wózek, a właściwie budka kramarza, który sprzedawał czerwone pomarańcze.

Zamiast ją ominąć, nie namyślając się ani chwili spał konia ostrogami i przesadził przeszkodę z takim wdziękiem, jakby skakał przez niski płot.

— Pysznie! — zawołała Róża klaszcząc w dłonie.

— Co za jeździec! — zauważyła Amy nie spuszczać oka z młodzieńca.

Ten oglądał dom, a wzrok jego zatrzymał się na oknie, w którym stały obie dziewczęta.

— Widziałaś? — zapytała Amy, której policzki się zarumieniły.

— Co, moja droga?

— Wszak patrzył na ciebie?

— Na mnie? O nie. Ten wzrok był skierowany na ciebie.

— To niemożliwe — odparła nieco zakłopotana Amy. — Ty jesteś tak piękna, że tylko na ciebie każdy musi kierować swój wzrok.

— Och, moja kochana Amy, ty jesteś daleko piękniejsza, nie wierzysz? No dobrze, może zdołam cię przekonać.

— Jakim sposobem, jeśli wolno spytać. Budzisz we mnie ciekawość.

— Całkiem prosto, oddam tę sprawę do rozjemcy.

— A to paradne — zaśmiała się Amy, — kto ma być tym rozjemcą! Chyba nie ten poczciwy kasztelan, który tytułuje mnie *miss, seniora, lady, donna*.

— Nie, moja droga. Juan do tego urzędu nie jest on stworzony, gdyż bez swojej Elwiry nie jest w stanie wypowiedzieć nawet własnego zdania, ale w zamku Rodriganda jest ktoś kto powie prawdę.

— Kto to taki?

— Nasz lekarz.

— Lekarz? Co do jego umiejętności medycznych nie mogę mieć trafnego wyroku, ale przecież kobiety — to zupełnie coś innego.

Amy wymówił to z taką kokieterią, że Róża, chcąc nie chcąc musiała wybuchnąć śmiechem, zaraz jednak dodała:

— Lekarz nie musi być tylko znawcą maści i o nich tylko myśleć. Doktor Sternau jest...

— Sternau? — przerwała jej przyjaciółka — To jakieś niemieckie nazwisko. Wspominałaś mi kiedyś, że wasz lekarz nazywa się Celli.

— Tak, ale on został odprawiony, czy wiesz, że mój ojciec może odzyskać wzrok.

Amy spojrzała na nią i w jej oczach zamiast radości ujrzała promień podziwu.

— Czy to możliwe? — zawołała. — Opowiadaj wszystko po kolei.

— Opowiem, ale podczas jazdy, mój ojciec czeka na nas. Bardzo chce cię zobaczyć.

Wydała rozkaz by zaprzęgano i w parę minut potem opuściły pokój.

Na podwórzu stały dwa konie huzarów. Mariano wstąpił do gospody i kazał sobie podać wino, ale nie pił tylko rozmyślał o tych pięknych oczach, które patrzyły z góry na niego. Myśli te przerwał tętent kopyt, wyrzał przez okno i zobaczył zajeżdżającą karetę, na której lśniły złote litery „R” i „S”.

W oka mgnieniu przypomniał sobie swe sny, poczuł więc w piersi radość i nieznane dotąd szczęście, lecz zapanował nad sobą i dał znak gospodarzowi, aby ten się zbliżył.

— Czyj to jest powóz? — zapytał.

— To karetka hrabiego Emanuela de Rodriganda — brzmiała odpowiedź.

— Rodriganda — szepnął powoli, — a co znaczy litera „S”.

— Hrabia nazywa się Emanuel de Rodriganda–Sevilla, ta dama, która właśnie wsiada do powozu to jego córka.

— A ta druga?

— Kasztelan pana hrabiego powiedział mi, że jest Angielką, przyjaciółką hrabianki i właśnie jedzie w odwiedziny do nich.

Gospodarz wybiegł na dziedziniec, by pożegnać wsiadające do powozu damy, a Mariano prędko rzucił złotą monetę na stół i wybiegł z gospody.

— Naprzód! — krzyknął wskakując na swego wierzchowca.

— Tak szybko? — spytał służący ze zdziwieniem.

Nie dostał żadnej odpowiedzi i musiał się spieszyć, by dogonić swego pana, który dopiero, gdy zobaczył przed sobą powóz, zwolnił trochę bieg konia.

Nagle rozległ się donośny strzał, a po nim następny, za zakrętem unosiły się dwa obłoczki dymu.

Spiął konia ostrogami i popędził jak szalony. W jednej minucie znalazł się na zakręcie i ujrzał co się zdarzyło. Powóz hrabiny stał na środku drogi, konie leżały na ziemi, woźnica pod wozem, a kasztelana nie było. Przy powozie stał zakapturzony mężczyzna, trzymając skierowany w stronę dam pistolet. Obok niego drugi, ze strzelbą gotową do strzału. Usłyszawszy tętent konia obaj spojrzeli za siebie.

— Nieszczęście — zamruczał Enrico, który poznał Mariano.

— Co nas to obchodzi? — zawołał Juanito. — Strzelaj do niego. Sam przyłożył strzelbę do oka i wypalił, lecz młody oficer był szybszy, w jednej sekundzie pochylił się na bok i kula tylko świsnęła koło niego. Wyciągnął szablą i... jednym ciosem powalił rabusia tak, że ten upadł, a szabla złamała się na dwie części, natychmiast chwycił za pistolet, zeskoczył z konia i wymierzył wprost w pierś drugiego opryszka.

Huzar stał przed damami, trzymając w dłoni dymiący jeszcze pistolet.



— Tak! — zawołał — Odebrali swą nagrodę — i skłoniwszy się grzecznie, począł wypytywać, czy im się nic nie stało.

Amy milczała, tylko rumieniec na twarzy zdradzał wzruszenie. Róża zaś odpowiedziała:

— Bogu dzięki, przybył pan w samą porę. Proszę przyjąć nasze najserdeczniejsze podziękowania. Jestem hrabianka de Rodriganda, a to Amy Lindsay, moja przyjaciółka.

— Alfred de Lautreville, będę wielce zaszczycony mogąc nadal służyć paniom.

— Z chęcią skorzystamy, gdyż moi służący zniknęli bez śladu — odparła ze śmiechem Róża.

— O! — zaśmiał się Mariano. — Jeden siedzi pod powozem. No, wyłaź, chłopie!

Woźnica z zakłopotaną miną wygramolił się na drogę.

— Czemu się kryjesz, zamiast bronić panie — zapytał oficer.

— Ach senior, ja leżałem pod powozem — brzmiała odpowiedź.

— Tak, ale dlaczego tam leżałeś? Przecież tak silny chłop jak ty, mógłby dziesięciu łotrów pobić.

— O senior, nie wahałbym się ani przez moment, ale myślałem, że może jakaś zabłąkana kula mnie trafi, zresztą brałem przykład z senior Alimpo.

— Kto to jest?

— Kasztelan.

— A gdzie jest teraz?

— A, tam, za krzakiem.

Woźnica wskazał na rosnący w pobliżu krzak, za którym rzeczywiście coś się ruszało i ostrożnie wyglądając zza niego kasztelan, gdy ujrzał, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane, złożył obie ręce w pięści, wyskoczył i biegnąc ku powozowi krzyczał:

— Hrabianko, sądzę, że te draby chciały nas napaść! Łotry, dajcie mi ich, ja im pokażę na kogo się porywają, ja ich zmiażdżę, poćwiartuję!

Mariano chciał coś powiedzieć, lecz na widok Alimpo słowa zamarły mu na ustach. Gdzie on widział już tego człowieka? Ten malutki człowieczek, ta przestraszona twarz, ten dziwaczny wąsik?

Róża odpowiedziała zamiast niego:

— Spóźniłeś się nieco, zamiast uciekać należało walczyć.

— Uciekać? Ja uciekałem? — pytał zmieszany.

— Naturalnie, przecież się ukryłeś.

— No, ukryć ukryłem, to pewne, ale przecież byłem do tego zmuszony.

— Tak? A to dlaczego?

— No, bo się bałem, aby mnie nie zastrzelili, więc musiałem uciec i schować się, by potem móc przyjść z pomocą.

— A to rzeczywiście szczególna metoda bronienia! — odparła śmiejąc się Róża. — Jak widzisz, przychodzisz za późno, obaj opryszkowie leżą pokonani, popatrz co to z jedni!

Tymczasem służący Mariano począł ściągać kaptury z głów opryszków. Gdy kasztelan ujrzał twarz jednego zawołał:

— Santa Laretta, toż to nasz zbieg, poznaję go, hrabianko.

— Tak — rzekła Rozita — Szybko spotkała go zasłużona kara. Właśnie kiedy byli zajęci tym odkryciem, oficer schylił się do trupa, a służący szepnął do niego:

— Do stu diabłów! Wszak to nasi!

— Pst! Nie daj nic poznać po sobie — przestrzegwał Mariano, następnie podniósł się i zapytał hrabiankę — Czy zna pani tego człowieka?

— Tak, należał do zbójckiej bandy, która wczoraj napadła na jednego z mieszkańców zamku. Czterech zabito na miejscu, jeden uciekł, a jednego złapano, lecz zbiegł.

— Pewnie to ten łotr. Trzeba koniecznie poinformować policję.

— Ale co my pocniemy, co robić z powozem i końmi?

— Panie nie potrzebują się tym martwić, proszę tylko bym mógł zawieźć panie na miejsce.

— No tak, ale my nie mamy koni.

— Zaprzęgniemy moje konie, a tym czasem mój służący i pani ludzie zostaną tutaj, by poinformować o wszystkim policję. Potem wynajętym wozem mogą za nami podążyć.

— To rzeczywiście znakomity pomysł — odparła Róża.

— Prędko chłopcy, zaprzęgnijcie konie.

Uporawszy się z zaprzęgiem oficer wskoczył na kozła, a kasztelan podszedł do powozu i zapytał:

— Czy zechce mi pani, hrabianko wyrządzić łaskę?

— Jaką?

— Proszę powiedzieć mojej Elwirze, że nie jestem zastrzelony i że zwyciężyliśmy.

— Z przyjemnością — odpowiedziała.

Kasztelan jeszcze długo patrzył za odjeżdżającym powozem, poczym zapytał służącego:

— Jak nazywa się ten oficer?

— Porucznik Alfred de Lautreville.

— Jest Francuzem?

— Tak, nasz pułk stacjonuje w Paryżu.

— Dziwne, mówicie obaj katalońskim, tak jak byście się tutaj urodzili, co porabiacie w Hiszpanii?

— Hm, jakby to powiedzieć — odrzekł dumnie, — przyjechaliśmy właściwie w ważnej dyplomatycznej sprawie.

— A! — zawołał kasztelan — To wasz porucznik jest dyplomata?

— Tak.

— Do stu piorunów, co to za człowiek! Taki młody a już dyplomata, a do tego oficer, — a zwróciwszy się do woźnicy rzekł: — Czy przyjrzałeś się dobrze temu porucznikowi?

— A jakże.

— A co spostrzegłeś?

— Nic.

— Ale przecież musiałeś coś spostrzec. Jak długo służysz u naszego hrabiego?

— Przeszło trzydzieści lat.

— To musiałeś przecież zapamiętać coś z dawnych lat.

— Oczywiście.

— No to przypomnij sobie naszego hrabiego, jak był jeszcze młodym chłopcem i porównaj z nim tego porucznika, co znajdujesz?

— Nic — odparł stangret kiwając głową.

— Osioł jesteś. Rozumiesz?

— Może być — odpowiedział niedbale i wyszczerzył zęby uśmiechając się, jakby mu wielki komplement powiedziano.

Tymczasem powóz toczył się w stronę Rodriganda. Róża zastanawiała się nad tym co zaszło, a Amy nie spuszczała wzroku z mężczyzny, który siedział na koźle. Do zamku przybyli w milczeniu.

Przed wysoką bramą stał chudy mężczyzna, który zdziwionym wzrokiem otoczył przybyłych.

— Kim jest ten człowiek? — spytała Amy.

— To senior Gasparino, nasz zarządca — odrzekła Róża.

Oficer aż pobladł, przecież to imię nosił człowiek, na rozkaz którego został zamieniony. A tu w górze właśnie, nad portalem zamka zobaczył wielki herby z koroną i inicjałami „R” i „S”. Widok tego ogromnego gmachu dziwne na nim wywarł wrażenie.

## Rabunek

Notariusz, który stał koło wejścia, bacznie i z pewnym niepokojem przyglądał się przybyłym.

— Co to jest? — mruzczał. — Kim może być ten człowiek? Co za podobieństwo, wykapany hrabia Emanuel sprzed trzydziestu laty! Czy to przypadek, czy coś za tym kryje? Trzeba wszystko dokładnie sprawdzić.

— Cieszy mnie niezmiernie, że pierwszy mogę powitać hrabiankę, czy mogę prosić, by przedstawiła mnie pani gościom?

— Oczywiście — odrzekła Róża.

Gdy hrabianka wymieniła nazwisko notariusza, oficer znowu spojrział na niego z zainteresowaniem, a Gasparino zupełnie odwrotnie, usłyszawszy francuskie nazwisko oficera, znacznie się uspokoił i twarz jego przybrała obojętny wyraz. Oficer był Francuzem, podobieństwo więc musiało być czysto przypadkowe.

W zamku zauważano w końcu przyjazd powozu i wkrótce zjawił się hrabia Alfonso, doktor Sternau i siostra Klarysa, by powitać gości. Spostrzeżono obce koni zaprzęgnięte do karety, więc Alfonso spytał o przyczynę tej niecodziennej zamiany.

— Senior de Lautreville był tak dobry, że pożyczył nam swe konie, gdyż nasze zostały zastrzelone — wyjaśniła Róża.

— Zastrzelone? — spytał adwokat ze zdziwieniem. — Jak to się stało i kto się ważył na taki czyn?

— Ten sam, który uciekł dzisiejszej nocy z naszego więzienia. Gdy opowiedziała całe zdarzenie, wszyscy dziękowali młodemu oficerowi za pomoc, nawet Kortejo podał mu rękę, z tym większą radością, że śmierć opryszków była mu na rękę, nie było już bowiem żadnego świadka jego winy i nie potrzebował obawiać się zdrady. Z ulgą malującą się na jego twarzy powiedział:

— Ten napad będzie bardzo dokładnie zbadany i to zaraz, bo komisja śledcza, na czele której stoi prokurator już przyjechała z Barcelony i właśnie przebywa u hrabiego.

Hrabiego, z radością przywitał przyjaciółkę córki i bardzo serdecznie podziękował młodemu oficerowi za ratunek i pomoc. Ten wzbraniał się jak mógł pomniejszając znaczenie swego czynu, lecz Róża rzekła:

— O nie! Rzeczywiście uratował nam pan życie, bardzo więc prosimy, aby dom nasz za swój pan uważał i wygodnie się rozgościł, gdyż nie prędko pana wypuścimy z zamku Rodriganda.

Mariano odpowiedział skromnie:

— Uczyniłem tylko to co należało do mego obowiązku i towarzyszyłem paniom do zamku z czystą przyjemnością, jednak z dobroci państwa nie mam prawa korzystać.

— A to dlaczego — zapytał szybko hrabia. — Róża zaraz wyda odpowiednie polecenie, by przygotowano dla pana odpowiedni pokój, gdzie będzie pan mógł spokojnie i wygodnie wypocząć.

Nie była to czysta grzeczność ze strony hrabiego, był niewidomy, więc nie mógł widzieć, ale dźwięk głosu budził w nim tak dziwną sympatię, wiązał mu serce jakby uroczą melodią.

Notariusz porównywał rysy twarzy obydwóch mężczyzn, i musiał przyznać w duchu, że łączyło ich zadziwiające podobieństwo. Postanowił zatem mieć się na baczności.

Lokaj zaprowadził oficera do przeznaczonych dla niego pomieszczeń. Było to małe mieszkanie składające się z przedpokoju, pokoju i sypialni. Gdy wszedł do sypialni, aby poprawić swą garderobę zastał tam żonę kasztelana, porządkującą pokój. Na odgłos kroków, grzecznie się ukloniła, ale gdy spojrzała na twarz francuskiego oficera, szeroko otworzyła oczy ze zdumienia:

— O Boże! Wszak to hrabia Emanuel!

Okrzyk ten zatrzymał młodzieńca w drzwiach, spojrzał na kobietą, która wydała mu się znajoma.

— Elwira? Nieprawdaż? Wszak pani jest żoną kasztelana, Elwirą?

— Tak — odparła z ulgą. — Pan mnie zna?

— Owszem.

— A skąd?

— Mąż pani opowiadał o niej, ale dlaczego nazwała mnie pani, hrabią Emanuelem?

— Senior wybaczy, ale wygląda pan kubek w kubek jak hrabia Emanuel, kiedy liczył dwadzieścia lat.

— Rzeczywiście? Co za dziwny zbieg okoliczności.

— Ale jakby z fotografii zajęty, ach, gdyby pana zobaczył mój Juan.

— On mnie już widział.

— A, prawda.

— Czy hrabianka przekazała pani już pozdrowienia, od niego?

— Pozdrowienia. Nie jeszcze nie, więc kazał mnie pozdrowić?

— Jak najbardziej.

Radość z tego powodu rozjaśniła jej twarz, a oczy nabrały blasku, gdy mówiła:

— Jakże to piękne, że kazał mnie pozdrowić, cóż jeszcze powiedział?

— Że go nie zastrzelili.

— O Boże! Słyszałem już od jednego służącego, że i jego napadli, jak to dobrze, że hrabianka Róża znajdowała się pod jego opieką.

— O tak! — uśmiechnął się Mariano. — Kazał nawet powiedzieć pani, że dzielnie się bronił i zwyciężył.

— O wierzę! Mój mąż jest dzielnym i odważnym człowiekiem, tak, że nawet odwagę swoją często za daleko posuwa. Ile to ja razy musiałam go powstrzymać. Ale prawda, muszę pana zaprowadzić do galerii obrazów, gdzie wisi portret hrabiego. Kazał go namalować właśnie w tym roku, kiedy don Alfonso przyszedł na świat. Będzie pan widział to uderzające podobieństwo, jak kropla wody podobny jest pan do niego. Naprzód jednak musi pan spocząć, bo to nie żarty taka walka z rabusiami, pewnie pan porządnie zmęczony.

Chciała się wycofać, lecz zatrzymał ją i rzekł:

— Proszę zostać, czy ma pani na tyle czasu, aby odpowiedzieć na parę pytań.

— Dla pana zawsze czas znajdę, panu i doktorowi Sternauowi nie mogłabym niczego odmówić.

— Mówi pani o tym niemieckim lekarzu?

— Tak.

— Co to za człowiek?

— Wspaniały człowiek, a co za mężczyzna, można go porównać tylko z moim Juanem. Przyjechał z Paryża i musieli przed nim ustąpić nasi sławni lekarze, ma naszemu hrabiemu nawet wzrok przywrócić, wczoraj napadli na niego rabusie.

— Słyszałem już o tym, czy nikt nie domyśla się powodu, dlaczego ktoś miałby czyhać na jego życie?

— Nie wiem.

— A może ma jakiegoś wroga?

— On wroga? Nie może być, jego każdy musi kochać.

Ten napad na doktora dał mu wiele do myślenia, bez wątpienia kapitan maczał w tym ręce, ale przecież ktoś musiał sobie życzyć śmierci lekarza i dobrze za to kapitanowi zapłacił. Tak ten zamek zawiera w sobie dużo tajemnic.

— Będę musiał jakiś czas w tym zamku pozostać — rzekł do Elwiry, — dlatego chciałbym dobrze poznać jego mieszkańców, czy mogę panią o nich pytać?

- O proszę senior, z przyjemnością wszystko panu objaśnię.
- Bardzo się cieszę! Po pierwsze jest tutaj nijaki pan Gasparino Kortejo. Co to za człowiek?
- Jeżeli mam powiedzieć prawdę, senior, to tego człowieka najzwyczajniej nie lubią. Jest on prawą ręką hrabiego. Przy tym jest dumny i zamknięty w sobie. Ten człowiek najlepiej pracuje dla własnych interesów.
- A donia Klarysa? — zapytał Mariano.
- Ta siostra została sprowadzona z klasztoru by towarzyszyć hrabiance, najwięcej jednak przestaje z Gasparinem i również nie jest lubiana, pomimo swej pobożności.
- A młody hrabia?
- Ten od niedawna jest z nami, przed kilku dniami przyjechał z Meksyku.
- Jak długo tam przebywał?
- Był jeszcze chłopcem, gdy go tam wysłano.
- To dziwne, że hrabia swego jedynego syna wysłał do Meksyku, gdzie tyle niebezpieczeństw czeka na człowieka.
- Tak się złożyło, że hrabia musiał...
- A czy wolno zapytać o powody tego kroku.
- Wszyscy wiedzą, co może potwierdzić nawet i mój Juan. Wuj hrabiego, któremu na imię było Ferdynand, jako młodszy syn został wyłączony z majoratu, a więc zabrawszy część majątku jaka na niego przypadła, udał się do Meksyku i tam osiedlił. Po paru latach dorobił się ogromnej fortuny. Ponieważ nie był żonaty chciał drugiego syna hrabiego uczynić swoim spadkobiercą, wówczas hrabia miał jeszcze dwóch synów, warunek jaki postawił był jednak dość ostry. Chłopiec miał być wychowywany pod jego okiem. Hrabia, któremu zależało na tym, aby ten kolosalny majątek nie przepadł wyraził zgodę.
- I chłopca wysłano do Meksyku?
- Tak.
- Kiedy?
- Tę datę zapamiętałam doskonale, gdyż był to dzień urodzin mojego męża.
- Tym chłopcem był Alfonso?
- Tak.
- Zabrano go?
- Oczywiście.
- Kto go zabrał?
- Człowiek, którego w tym celu przysłał sam hrabia Ferdynand.

— Jak się ten człowiek nazywał?

— Petro Arbellez, zapamiętałam jego nazwisko bo brzmi wyjątkowo śmiesznie.

— Czy przy dziecku był ktoś jeszcze?

— Tylko jego mamka.

— A ona jak się nazywała?

— Maria Hermoyes.

— Czy wie pani, gdzie wsiadł na okręt Petro Arbellez?

— W Barcelonie. Hrabina i hrabia odwieźli dziecko aż tam, ja również byłam z nimi.

— Odprowadzili dziecko aż na okręt?

— Nie, z powodu burzy okręt odpłynął dwa dni później, przez ten czas Petro z chłopcem zamieszkali w hotelu.

— Jak nazywał się ten hotel?

— „Pod olbrzymem”.

Wszystko się zgadzało z tym co opowiedział żebrak. Mariano musiał użyć wszystkich sił, by zapanować nad sobą. Siłąc się na obojętność pytał dalej:

— Czy senior Kortejo był już w tego w służbie u hrabiego?

— Oczywiście.

— Czy on jest żonaty?

— Był.

— Czy ma dzieci?

— Nie.

— A czy nie wie pani przypadkiem, może któryś z jego krewnych ma dzieci?

— On nie ma ani krewnych, ani przyjaciół.

— A czy hrabia Ferdynad żyje jeszcze?

— Nie, zmarł w Meksyku przed dwoma laty.

— Majątek po nim odziedziczył Alfonso?

— Tak senior, i to ogromny.

— Pani powiedziała, że don Emanuel miał dwóch synów.

— Tak jest, ale starszy wkrótce potem jak Alfonso wyjechał do Meksyku, zmarł. Przebywał w Madrycie i chciał zostać oficerem, ale nabawił się febry, która okazała się śmiertelna.

— Alfonso jest więc jedynakiem, który po śmierci ojca dziedziczy tytuł hrabiowski. Czy nie wydaje się pani, że don Alfonso jest bardzo podobny do doni Klarysy i Gasparino?

— To senior także to zauważył?



— Myślę, że każdy musi to zauważyć.

— To samo mówi mój mąż.

— Czy don Alfonso cieszy się sympatią?

— Co to, to nie. Jako mały chłopiec był bardzo przez wszystkich lubiany, ja też często nosiłam go na rękach, ale w Meksyku zmienił się nie do poznania. Teraz najczęściej przebywa u Korteja i Klarysy.

— Dziwne, a ta seniorita Amy Lindsay?

— To Angielka i przyjaciółka naszej hrabianki. Ojciec jej jest podobno bardzo bogatym człowiekiem, to wszystko co o niej wiem.

— Dziękuję pani, przynajmniej pobieżnie wiem z jakimi ludźmi będę miał do czynienia.

— Czy pozwoli pan, że również o coś zapytam?

— Proszę.

— Czy senior jest spokrewniony z hrabią Rodriganda.

— Nie, nazywam się Lautreville.

— No to może spokrewniony jest pan z rodziną Cordobilla? Pani hrabina pochodziła z tego rodu?

— Raczej też nie.

— Proszę mi jeszcze powiedzieć, kiedy wróci mój Juan?

— Z całą pewnością jeszcze dzisiaj.

— Dziękuję senior, teraz muszę odejść, ale jeśli będzie pan potrzebował mnie albo służącego, proszę tylko zadzwonić.

Gdy odeszła, Mariano cały zdenerwowany zaczął chodzić po pokoju. Historie, o których słyszał przed chwilą przesuwały mu się przed oczami z podwójną szybkością. Więc jeśli przecucie go nie myli, to on jest prawdziwym synem hrabiego Emanuela, on jest spadkobiercą rodu Rodrigandy, on bratem hrabianki Róży. A ten Alfonso to podrzutek, o którego pochodzeniu, chyba tylko notariusz może coś wiedzieć. A może i kapitan?

Lecz dlaczego w takim razie wysłał go do zamku Rodriganda? Jeśli właśnie on jest synem hrabiego, to przecież mieszania go w tę sprawę jest czystym szaleństwem, pierwszy lepszy przypadek mógł spowodować wykrycie tajemnicy.

Podczas, gdy Mariano rozmyślał nad tym, czego się dowiedział, w pokoju Korteja Klarysa prowadziła z notariuszem podobną rozmowę.

— Kamień mi spadł z serca, — odezwał się Kortejo — gdy się dowiedziałem, że ci dwaj rabusie nie żyją. Ten porucznik nie mógł mi sprawić większej radości, niż mordując tych zbirów.

- Ale to dziwne podobieństwo wiele daje do myślenia — zauważyła Klarysa.
- Wręcz uderzające, gdy go zobaczyłem pierwszy raz, to aż osłupiałem.
- Ja również. Gdyby ktoś porównał jego i Alfonso z hrabią, to musiałby stwierdzić, że synem hrabiego jest ten oficer.
- Jest to dla mnie wielką niewiadomą. Taki czysty przypadek natury, chyba nie jest możliwy.
- A może ten kapitan...?
- Gdzie tam, to niemożliwe. Bandyta nie byłby przecież aż tak nieostrożny. Mam tylko jedno podejrzenie.
- Jakie?
- Tego chłopaka, którego oddaliśmy bandzie ponownie podmieniono. Kapitan pewnie myśli, że ma jeszcze mojego, gdy ten tymczasem...
- Więc tym dwa razy podmienionym ma być porucznik?
- Możliwe.
- Ale w jaki sposób, to dziecko trafiłoby do Francji, do rodziny Lautreville?
- Kto to może wiedzieć, w świecie dzieją się rzeczy, o których ani się nie śni.
- Trzeba użyć podstępu i wybadać tego porucznika — zauważyła Klarysa z wielce uczoną miną.
- Myślę, że do tego nie trzeba wielkiego podstępu. Już ja potrafię zaskarbić sobie jego przychylność, by go potem za język pociągnąć.
- Czy kapitan wie, czyj syn został wówczas podmieniony?
- Ależ skąd.
- W takim razie jest możliwe, że ten porucznik jest rzeczywiście Rodriganda. Kapitan mógł mieć swoje powody, aby go pod maską oficera do zamku przysłać.
- To niemożliwe. Ten porucznik nie mógł wychowywać się wśród bandytów. By to poznać, nie potrzeba wielkiej bystrości. Jego cała powierzchowność, elegancja, szyk zdradzają coś zupełnie innego. Tego u bandytów nie można sobie przyswoić. Zdaje się również, że ma całkiem niezłe wykształcenie. Nie, to nie może być zwykły rabuś.
- Muszę ci przyznać słusność. Gdyby był tym dzieckiem, które oddaliśmy kapitanowi, nie zabiłby swoich towarzyszy.
- Tak, i to również mnie uspokaja. Dobrze się stało, że nie żyją. Trup nie może ani mówić ani szkodzić.
- Ale zaszkodzić może papier. Jak taki wytrawny prawnik jak ty, mógł palnąć takie głupstwo i podpisać hersztowi bandytów dokument.

— Musiałem, byłem całkowicie od niego zależny, droga Klaryso.

— W to nie wierzę. Rabuś przecież nie pójdzie do sędziego.

— Do sędziego nie, ale może pójść do hrabiego i wydać mu jego syna. Ten dokument był mu potrzebny do ewentualnego wyciągnięcia ode mnie większej sumy pieniędzy.

— Jak mógłby hrabiemu przyprowadzić jego dziecko, skoro nie wiedział, czyje dziecko zamienił.

— Tak, nie wiedział, to znaczy ja mu tego nie powiedziałem, ale on jest bardzo domyślny, mógł się dowiedzieć, a może coś przeczuwał. Zresztą co mi zrobi? Gdyby tylko groził, to nie będę bawił się w zbędne uprzejmości, przy pierwszej lepszej sposobności palnę mu w łeb.

— Słusznie mój drogi, to nasz obowiązek. — odrzekła Klarysa. — Ale co myślisz, o tej angielskiej pannie, czy nie jest ona piękną?

— Oczywiście, bezsprzecznie.

— Oho! Z takim entuzjazmem to mówisz, że zaczynam czuć się zazdrosna.

— Nie masz się o co obawiać najdroższa, jesteś jedyną kobietą, dla której straciłem głowę.

— Na co ja z chęcią przystałam, uważam, że nie wolno stać miłości na drodze — i z wielką namiętnością objęła notariusza.

W zamku zapanowało ożywienie. Goście wyraźnie spowodowali, że monotonne życie mieszkańców uległo zmianie. Nawet hrabia stał się weselszy, co pozytywnie wpłynęło na jego stan zdrowia. Jego zdrowiem zajmował się teraz tylko doktor Sternau i to z takim skutkiem, że w kilka dni kamień był usunięty’.

Teraz należało czekać na powrót rekonwalescenta do sił, by móc rozpocząć operację oczu.

Tak minął tydzień, w którym całe towarzystwo miło się bawiło: czytając, grając chodząc na długie wycieczki. Mariano we wszystkim odznaczał się szykiem i elegancją, stronił tylko od muzyki, otwarcie przyznając, że grać na fortepianie nie umie.

Pewnego dnia, gdy Róża wyjechała z bratem, a doktor przebywał u hrabiego, Mariano poszedł oglądać galerię obrazów, by po raz kolejny przyglądać się portretowi hrabiego. Wracając wszedł do czytelni, lecz w panującym tam mroku nie zauważył siedzącej na fotelu koło okna Amy.

Amy pogrążona była w marzeniach, słysząc kroki odwróciła się, ale najmniejszym ruchem nie zdradziła swej obecności, myśląc, że młodzieniec ma zamiar tylko przez salę przejść.

On jednak podszedł do okna, by spojrzeć na cudowny zachód słońca, a gdy chciał już wyjść na przeciwległej ścianie zobaczył wiszącą gitarę.

Była to ulubiona gitara Róży, młodzieniec wziął instrument począł grać z taką werwą, że Amy mimowolnie się podniosła.

Często słyszała piękną grę, ale tak jak porucznik, nie grał do tej pory według niej nikt. Gdy skończył ręce Amy same zaczęły klaskać.

— Bravo! Co za mistrzowska gra, a mówił pan, że nie umie grać.

W pierwszej chwili się przestraszył, potem jednak podszedł do Amy i rzekł:

— Ach, seniorita, nie wiedziałem, że pani tu jest. Powiedziałem tylko, że nie umiem grać na fortepianie.

— A dlaczego się pan nie przyznał, że umie grać na gitarze i to tak mistrzowsko?

— Bo mam swoje własne zdanie na temat muzyki.

— Czy można je poznać?

— Muzyka jest bezsprzecznie sztuką uczucia, serca, a własne uczucia rzadko kto publicznie wypowiada. Słuchając koncertu zachwycam się tonami, ale sam nie potrafię swych własnych myśli i uczuć muzyką wyrazić tylko w tym celu, aby je inni słyszeli.

— Pan mówi o własnych kompozycjach?

— Nut w ogóle nie znam, gram tylko to, co mi fantazja nasuwa i i tylko dla siebie.

— Ależ to egoizm! Czy śpiewa pan także?

— Tak.

— A co?

— Co mi serce dyktuje.

— Czy nikt nie może się przysłuchiwać?

— Nikt.

— Zupełnie nikt, nie zmieni pan zdania? — pytała powoli i z naciskiem — Czyli, że i ja nie?

Milczał, zbliżyła się do niego, położyła mu swą małą rączkę na ramieniu i rzekła:

— Powiem coś panu, czego nikomu innego bym nie powiedziała.

— Tak, słucham.

— Pan umie wszystko i wszystko wie, obserwowałam pana i odkryłam pewną wadę.

— Jaka? — zapytał z uśmiechem.

— Byłam zawiedziona, pana brakiem zainteresowania muzyką, a teraz z radością stwierdzam, że się pomyliłam. Powiada pan, że nikt, nie śmie pana słuchać! Senior proszę, pozwól mi być wyjątkiem.

— Dobrze, zaśpiewam dla pani, ale co? — zapytał szczęśliwy.

— Proszę zaśpiewać coś o miłości.

— Dobrze, ale do tego potrzebuję myśleć o jakiejś pannie, której tę pieśń poświęcę.

— Naturalnie — rzekła wesoło.

- A jeśli takiej nie znam?  
— Nie zna senior żadnej panny, wartej tego?  
— Znam jedną i tej teraz zaśpiewam — rzekł po chwili.

*W twojej miłości spoczywa ma wiara  
Spoczywa ufność ma, siła,  
Choć los mi ciebie wyrwać się stara,  
W Bogu nadzieja, ma miła!*

*Ja przecież niebo oglądać będę  
Tak oko twe mi przyrzeka,  
Bo serce i miłość twą zdobędę —  
Wszystko co szczęściem człowieka!*

*Chciałbym wyśpiewać w mojej piosence  
Całą mą miłość co serce czuje  
I los mój złożyć na twojej ręce,  
Bo ciebie tylko dusza miłuje!*

Pieśń przebrzmiała i dopiero po paru minutach Mariano powiesił instrument na ścianie i zapytał:

- Czy ta ma wada nadal pani przeszkadza?  
— Ależ skąd! — odpowiedziała — Czy pieśń tę sam pan ułożył?  
— Tak.  
— W takim razie jesteś senior zarazem doskonałym poetą, jak i kompozytorem. Czy mogę jeszcze o coś zapytać?  
— Oczywiście.  
— Komu pan poświęciłeś tę pieśń?  
— Pani — rzekł. — Bóg mi świadkiem, miss Amy, że kocham cię bardziej, niż mogę to wyrazić, tylko przy tobie mogę znaleźć szczęście.

Poczuła na swych ustach długi, serdeczny pocałunek, któremu poddała się z radością. Wkrótce potem Mariano opuścił bibliotekę, a ona usiadła i zakryła płonąca twarz, łzy szczęścia popłynęły jej po policzkach.

Róża i Alfonso przywieźli ze sobą listy i wręczyli je adresatom. Jeden z nich, z Barcelony otrzymał notariusz.

*Senior*

*Właśnie przy płynąłem na „Pendoli”. Podróż była niezwykle owocna. Oczekuję na wasz szybki przyjazd, gdyż przy tak sprzyjającej porze roku, chciałbym wkrótce chciałbym znów wypłynąć.*

*Henryk Landola*  
*kapitan statku.*

List bardzo adwokata ucieszył, zaraz pobiegł do Klarysy i zamknąwszy drzwi zawołał z triumfem:

— Klaryso, wspaniała wiadomość! Podniosła się z sofy i spytała:

— To dobrze, bo dosyć niepokojów przeżyliśmy w ostatnim czasie. Co takiego się stało?

— Landola przybył.

— Kapitan okrętu? Wylądował szczęśliwie w Barcelonie i doniósł mi, że zrobił bardzo dobry interes.

— Czy był w Meksyku?

— Chyba tak.

— A w Afryce?

— Tego nie wiem, ale gdy go zobaczę to o wszystko zapytam.

— Pojedziesz do Barcelony?

— Nie, zawiadomię go, by przybył do Rodriganda. Tu panuje teraz taka niepewność, że ani na jeden dzień nie mogę się oddalić. Zresztą kapitan brygantów dał mi znać, że chce ze mną mówić.

— Kiedy?

— Prawdopodobnie jak zwykle, o północy.

— A! — zawołała. — Przyszła mi do głowy dobra myśl. Musimy się dowiedzieć, czy ten porucznik nie jest z nim w zмовie?

— W jaki sposób?

— Zwyczajnie, jeżeli należy do bandy, to kapitan z całą pewnością będzie chciał z nim mówić. Musimy więc uważać tylko na to, czy i on nie pójdzie dzisiaj do parku.

— Tak, masz całkowitą rację.

— No widzisz, jak opatrność czuwa, by nic złego się nam nie stało. Idź zaraz i dowiedz się co on robi.

— Najpierw poszukam jego służącego, bo jeśli kapitan zechce z nim mówić, to z pewnością zwróci się z tym do służącego, by odsunąć wszelkie podejrzenia.

Udał się w kierunku ich mieszkanek i właśnie w tej chwili ujrzał służącego, który z wielkim pośpiechem zniknął w pokoju porucznika.

— To chyba wystarczy — mruknął adwokat — taki niecodzienny pośpiech, zdradza coś nadzwyczajnego.

Wyszedł na schody prowadzące do parku, które oświecały dwie wielkie latarnie. Koło wejścia stało wiele roślin w wielkich gazonach, wśród których łatwo można było się ukryć. Mógł z tego miejsca widzieć każdą osobę opuszczającą zamek.

Po upływie pół godziny usłyszał kroki. To porucznik de Lautreville, zszedł ze schodów, rozglądał się bacznie na wszystkie strony i zniknął w parku.

— Aha! — wyrwało się mimo woli z ust adwokata — Więc tak się sprawy mają, teraz muszę sprawdzić, gdzie się spotykają.

Cichutko pobiegł za porucznikiem. Ten nie stał się wcale stąpać po cichu, dlatego też notariusz bez większych trudności szedł za nim.

Po chwili oficer skierował swe kroki ku bocznej alei, która prowadziła prosto do brzozonej altany.

Kortejo nie poszedł prosto za porucznikiem, tylko skierował swe kroki na tyłu altanki, i wkrótce rzeczywiście usłyszał głos kapitana, który półgłosem pytał:

— Więc mieszkasz w zamku?

— Tak — brzmiała odpowiedź.

— A w jaki sposób ci się to udało?

— Miałem szczęście, a ty kapitanie wprost przeciwnie. Musiałem obronić hrabiankę i jej przyjaciółkę, na które napadli w drodze dwaj rabusie.

— Tak. A kim oni byli, czyżby oprócz nas była tu jeszcze jakaś banda? Oj zaraz bym ukrócił jej działanie.

— To zupełnie zbyteczne, bo po pierwsze, sam to uczyniłem, a po drugie to byli nasi ludzie.

— Któż to taki, do stu diabłów?

— Enrico i Juanito.

— Niemożliwe i oni odważyli się napadać na hrabiankę? — Coś z nimi zrobił?

— Jednego zastrzeliłem, a drugiemu łeb szablą rozplątałem.

— Naprawdę? — a po krótkiej pauzie odezwał się z gniewem — Więc zabiłeś dwóch swoich towarzyszy? Czy wiesz jaka kara jest za to?

— Śmierć — odrzekł spokojnie. — Jednak ja nie potrzebuję się jej obawiać.

— A to dlaczego? Czy myślisz może, że będę cię oszczędzał tylko dlatego, że zawsze ci pobrażałem?

— Ja nie proszę o łaskę, chcę tylko sprawiedliwości. Czy to ty rozkazałeś zabić im hrabiankę?

— Nie.

— No to nie zamordowałem ich, tylko po prostu ukarałem.

— A czy masz do tego prawo? Nie wiesz, że tylko ja mogę karać.

— Ja nie wiedziałem kogo zabijam, byli zamaskowani.

— Jak.

— Mieli na twarzach nasze, czarne maski.

— Czyli powinieneś ich poznać.

Znowu nastąpiła cisza. Mariano odchrząknął i rzekł stanowczo:

— Mówiąc prawdę, nie byli to moi towarzysze.

— Tak, a to dlaczego?

— Bo nie jestem członkiem waszej bandy. Wychowałeś mnie wprawdzie i zawsze byłem z wami, ale zapomniałeś zażądać ode mnie przysięgi, więc nie mogę być ciągnany do odpowiedzialności.

— Dobrze, tak więc w najkrótszym czasie złożysz przysięgę.

— Bardzo wątpię, czy to uczynię.

— Chłopcze! — syknął rozzłoszczony tym niespodziewanym uporem herszt — Czy tak ma wyglądać podzięką za te wszystkie dobrodziejstwa, jakie ci wyświadczyłem?

— Lepiej się tymi dobrodziejstwami nie chwal! — gorzko odparł porucznik. — Jak można nazywać szczęściem, przemocą wydarcie dziecka rodzicom i umieszczenie go między rabusiami?

Notariusz zaczął nasłuchiwać jeszcze uważniej.

— Aha, to on! I do tego wszystko wie! — pomyślał.

Kapitan nie spodziewał się tego. Wyraźnie było słyhać, jak ze zdziwienia aż westchnął, potem jednak zapytał gniewnie:

— Wydarty rodzicom? Przemocą? Do kogo to odnosisz?

Mariano zorientował się, że nie postąpił zbyt rozważnie, ale ponieważ już dał się ponieść rozgoryczeniu, to brnął dalej.



— To odnosi się do mnie, a do kogóż by innego?

— Hm! Sądzisz, że ciebie porwano? — zapytał kapitan ostrożnie.

— Porwano i podmieniono.

— Tak, to możliwe. Ale co ja mam z tym wspólnego? Znalazłem cię pod gołym niebem i do dziś nie mam pojęcia, kto cię podrzucił.

— Nie kłam, kapitanie. To ty mnie porwałeś — zawołał gniewnie młodzieniec.

— Ja? Udowodnij to! Przysięgam, że nie byłem tym, który cię porwał rodzicom!

— Prawda, to możesz przyrzec z czystym sumieniem, gdyż wykradł mnie ktoś inny. Ale stało się to z twojego rozkazu.

— To musisz udowodnić.

— Czy znasz człowieka, który nazywa się Manuel Sertano? Pochodzi z Mataro.

— Do stu diabłów! Kto ci o tym powiedział?

— A czy znasz gospodę „L’Homme Grand” w Barcelonie?

— Do stu diabłów! Kto ci o tym powiedział?

— To moja tajemnica.

— Żądam odpowiedzi! Posłałem cię do Rodriganda, byś śledził Gasparina Kortejo, a nie, byś kopał pode mną dołki. Te oskarżenia mają najmniejszej podstawy. Chcę wiedzieć, kto ci nagadał tych bzdur?

— Tego się nie dowiesz!

— Dowiem się, zmuszę cię do mówienia.

— Taak?!

W tym jednym krótkim słowie brzmiało tyle pogardy i lekceważenia, że kapitan z gniewem zawołał;

— Sądzisz, że zdołasz mi się przeciwstawić?

— Tak właśnie sędzę!

— Rozkazuję ci natychmiast wrócić do groty!

Młodzieniec zaśmiał się krótko i odrzekł:

— Nie uczynię tego.

— Sprzeciwiasz się moim rozkazom? — zasyczał kapitan.

— Nie inaczej! Muszę zostać, bo co pomyślałby hrabia o panu de Lautreville, gdyby ten jak zwyczajny bandyta zniknął w środku nocy? — A poza tym tutaj bardzo mi się podoba i — dodał z naciskiem — czuję się tu jak u siebie w domu.

— Człowieku! Albo natychmiast będziesz posłuszny moim rozkazom, albo cię zabiję.

— Kapitanie, nie czuję do ciebie nienawiści — zaczął Mariano spokojnym tonem. — To ty mnie wprawdzie wyrwałeś z korzeniami z mej gleby, ale ty też pozwoliłeś mi przy pomocy owego księdza, przyswoić sobie wszystko to, co mi potrzebne, by móc zająć należne mi stanowisko. Dlatego nie pragnę zemsty, rachunki nasze są wyrównane. Co teraz będę robił jeszcze nie wiem, ale wiem z całą pewnością to, że do was już nie wrócę. Zmusić mnie do tego nie jesteście w stanie. Przewyższam was zručnością i siłą, ale podstęp także ci nie pomoże.

— Naprawdę? — z szyderstwem w głosie odezwał się kapitan. — A gdybym tak powiedział hrabiemu Rodriganda, że jesteś rabusem?

— Podejrzewam, że zapyta cię wtedy, gdzie można znaleźć takich kamratów, jak ja?

— A czy ty byś nas zdradził?

— Tak.

— Człowieku? — wybuchnął kapitan.

— Uspokój się kapitanie! Dopóki mi nic złego z waszej strony nie zagraża, dopóty będę milczał. Znasz mnie i wiesz, że możesz na moim słowie polegać. To wszystko co miałem do powiedzenia.

— Czy twoje postanowienie jest nieodwołalne? — zapytał kapitan.

— Nieodwołalne! Kapitanie! Mam znakomity wzrok i mimo ciemności widzę bardzo dobrze, że wyciągasz nóż. Ty zaś nie widzisz, że podczas całej naszej rozmowy trzymam w ręce rewolwer gotowy do strzału. Wyrosłem już kapitanie i mówię, że będę działać według własnego zdania. Bądź zdrow, kapitanie!

— Mariano! — zawołał za nim herszt rozkazującym tonem.

Odpowiedzi nie było.

— Mariano! — zawołał raz jeszcze, ale ton jego głosu był wręcz bojaźliwy. — Na Boga, on odchodzi! Chce się uwolnić, ale to się mu nie uda. Kogo raz złapałem, mocno trzymam. To był głupi pomysł! Kto mu zwrócił uwagę na pochodzenie?

Wolno odszedł z głową zaprzątniętą myślami. Notariusz opuścił swą kryjówkę i udał się wprost do Klarysy. Hrabia Alfonso przybył także i oboje przestraszyli się nie na żarty.

— Mój Boże, co tu począć? — zawołała Klarysa. — To znaczy, że ten człowiek domyśla się kim jest?

— To przynajmniej mogłem wnioskować — odrzekł adwokat.

— Więc stoimy na wulkanie, który w każdej chwili może wybuchnąć.

— Skomlenie nic nie pomoże? Tu trzeba działać — wtrącił Alfonso.

— Ale jak? — spytała Klarysa.

— Przede wszystkim szybko. Musimy natychmiast unieszkodliwić tego człowieka.

— Co rozumiesz mój synu, pod słowem unieszkodliwić? — spytał notariusz.

— Tylko trup milczy. A nam na tyle na tym zależy, że słabością byłby oszczędzić tego człowieka. Zresztą nie jest on niczym innym, jak bandytą, więc usunięcie go powinno się uważać raczej za zasługę.

Klarysa potakiwała zgodnie głową. Adwokat jednak rzekł pełen wątpliwości:

— Rozumie się, że musimy go unieszkodliwić, ale w jaki sposób, o tym zadecyduję, po rozmowie z kapitanem.

Na krótko przed północą udał się notariusz do parku na umówione spotkanie.

— Cieszę się, że sam się tutaj pofatygowałeś — rzekł — Inaczej musiałbym szukać was w górach.

— Masz do nas jakąś sprawę?

— Jeszcze pytasz? — rzekł notariusz z udanym zdziwieniem. — Przecież zleciłem wam zadanie, którego dotychczas nie wykonano.

— No tak. — odparł herszt. — Nie będziemy się bawić w ciuciubabkę, senior, tylko postaram się tę sprawę jak najszybciej rozwiązać.

— Jest to też i moim życzeniem.

— Dobrze, a więc ja stawiam warunki.

— Warunki? Sądzę, że warunki zostały już przyjęte.

— Od tego czasu okoliczności uległy zmianie. Na lekarza napadnięto z nożami?

— Tak.

— Na wasz wyraźny rozkaz?

Notariusz zawahał się, a potem odrzekł:

— Nie. Całą sprawę zaplanował Enrico.

— Nie kłamcie! — zauważył kapitan ostro. — Moi ludzi nie palnęliby takiego głupstwa. Chcieliście uniknąć wszelkiego hałasu i dlatego zakazaliście strzelać. Mam rację?

— Nie. I to was nie powinno obchodzić. Przyjmujecie tę sprawę?

— No cóż, trzeba się namyślić.

— To namyślajcie się szybko! Jeżeli nie będę mógł na was polegać, będę się musiał zwrócić do kogoś innego.

— Nie znoszę konkurencji i mówię o tym otwarcie. Zresztą, tego Francuza też mam już na oku, zabił dwóch moich ludzi, a kto mi psuje rzemiosło, ten ma ze mną do czynienia. Zapamiętajcie to sobie.

— Czy to znaczy, że ten drab znajduje się pod waszą opieką?

— Nie — odparł kapitan. — Przeciwnie, zemszczę się na nim, za tych dwóch. Już niedługo zginie.

— To znaczy, że ten człowiek ma zginąć?

— Zginąć? W żadnym wypadku. Mam co do niego zupełnie inne zamiary. Ale daję wam słowo, że nie będzie wam przeszkadzał.

— Zaufam wam kapitanie. Dostaniecie po tysiąc dukatów za każdego zabitego, ale wymagam za to, aby lekarz zginął a porucznik zniknął.

— Będzie według waszej woli, ale macie mi potem zapłacić za tych obydwóch dodatkowo po pięć setek.

— Złodziej z was.

— Ba! — zaśmiał się brygant. — Gdy ktoś chce żyć, to musi dać żyć innym.

— Dobrze! Dostaniecie żądane pieniądze. Kiedy to zrobicie?

— Wkrótce. Dokładnej daty nie mogę powiedzieć. Czy macie do mnie coś jeszcze?

— Nie.

— Więc na dzisiaj załatwione. Bądźcie zdrowi, senior.

— Wy też.

Bandyta zniknął, a notariusz zaśmiał się szyderczo:

— Ha, ha, ha! Sądzisz, że ja dam się oszukać, ty stary obłudniku. Nie uda ci się to. Muszę cię uprzedzić i wziąć całą sprawę w swoje ręce.

\* \* \*

Na drugi dzień rano, do pokoju doktora weszła kasztelanowa z poranną kawą.

— Dziękuję seniora — rzekł lekarz. — Dajcie mi raczej szklankę mleka, gdyż kawy pić nie mogę.

— Nie? — zapytała zdziwiona. — Może pan chory?

— Nie. Chodzi o to, że przy mojej pracy muszę być bardzo spokojny, a kawa działa pobudzająco.

— To musi być coś bardzo ważnego.

— Rzeczywiście, proście Boga, seniora, by się tylko udało. Dziś będę operować oczy hrabiego Emanuela.

Elwira upuściła z wrażenia filiżankę i przestraszona załamała rękę.

— Operować oczy? — zawołała. — O Boże, czy to prawda?

— Tak. Ale co do tego ma filiżanka?

— Przecież nie mogę załamywać rąk, trzymając w nich filiżankę. Tego samego zdanie jest mój Juan.

— Mogłaś ją pani położyć wcześniej na stole. Proszę przekazać kasztelanowi, aby czuwał nad tym, by w zamku panowała bezwzględna cisza. Okna w pokoju chorego muszą być natychmiast po operacji zasłonięte. Bardzo proszę powiedzieć o tym hrabiance. A teraz proszę o moje mleko.

— Dobrze, dobrze, zaraz je przyniosę. Ach, cóż na to powie mój mąż. Spieszę, biegnę, lecę już! Oby operacja przebiegła pomyślnie.

Rozbite naczynia zostawiła na ziemi i oddaliła się ruchem, które sama nazywała lataniem, ale raczej wyglądało ono na „toczenie się kuli”.

Kiedy po jakimś czasie lekarz wszedł do salonu, obecni tam; zasypali go pytaniami.

— Czy to prawda, że łaskawy pan hrabia będzie dziś operowany?

— Tak — odrzekł Sternau.

Młody hrabia podszedł do niego z zachmurzoną miną i rzekł ostrym tonem:

— Senior, rozważ raz jeszcze całą sprawę. Czy jesteś przekonany, że cięcie się uda?

— Nie, ale spodziewam się...

— Spodziewam się! A więc na podstawie pustej nadziei podejmujesz się pan tak ważnej rzeczy? Czy możesz za to odpowiedzieć przed Bogiem i własnym sumieniem?

— Oczywiście — brzmiała poważna i pewna odpowiedź.

— A więc żądam od pana, jako syn chorego, byś raczył przyjąć asystę pierwszorzędných chirurgów.

Sternau spojrział nań z uśmiechem i powiedział:

— Nie mam najmniejszej ochoty ponownie przechodzić przez to samo. Zresztą, dla mnie życzenie hrabiego jest wystarczające i nie zamierzam uwzględniać innych poglądów.

— Pan mnie chce obrazić? — zasyczał hrabia.

— Ależ nie miałem takiego zamiaru — odparł z zimną krwią Sternau.

— A ja też obstaję przy tym, aby powołano innych specjalistów — zawołał notariusz.

— Ja także! — dodała Klarysa.

— W tej sprawie podjąłem już decyzję i nie zamierzam jej zmieniać — oznajmił Sternau.

— Kto ma tu prawo o czymkolwiek decydować? — zapytał Alfonso. — Sądzę, że znaczę tutaj daleko więcej niż każdy inny!

Sternau machnął ręką i rzekł z wielkim naciskiem:

— Panowie, tutaj tylko lekarz ma prawo rozkazywać. Operacja rozpocznie się za dziesięć minut. Z całą mocą usunę wszelkie przeszkody.

— Będziemy przy tym! — zauważył hrabia Alfonso.

— Będę potrzebował kilku rąk do pomocy, ale o tym kto mi się może przydać, zadecyduje ja. Odnoszę wrażenie, że wśród nas są osoby, którym nie zależy na wyzdrowieniu hrabiego. Panno Rózo, czy mogę prosić o pomoc przy operacji?

— Chętnie, jeżeli tylko leży to w mojej mocy — odrzekła.

— Nie będzie to nic ponad pani siły. Czy miss Amy byłaby łaskawa dołączyć się do nas, potrzebna jest mi pomoc kobieca.

— Dziękuję panu za zaufanie — odpowiedziała Amy, tym samym godząc się na zaproszenie.

— A ja? — zawołała Klarysa.

— Pani nie śmiem trudzić — odrzekł Sternau krótko i zimno.

— Dlaczego? — spytała ostro.

— Pani jest zbyt wrażliwa. Ujrzawszy moją małą ranę, zasłabła pani, i to nią należało się zająć. Jak więc chce pani wytrzymać podczas długiej operacji?

— Ale ja obstaję przy tym, aby być obecnym podczas operacji! — zawołał Alfonso.

— Stanowczo nie są mi panowie potrzebni. Tylko..., panie de Lautreville czy mogę pana prosić?

— Jestem na pańskie rozkazy! — zawołał prędko Mariano.

— Zna pan okna, które znajdują się w komnacie hrabiego?

— Tak jest.

— Proszę więc, aby w czasie operacji przechadzał się pan pod tymi oknami. Pańska obecność będzie najlepszą poręką, że z tej strony nie muszę się spodziewać niczego złego.

Porucznik skłonił się i odpowiedział:

— Odgaduję, co ma pan na myśli i poczytuję to sobie za zaszczyt.

— Zaszczyt? — zapytał szyderczo Alfonso. — To raczej hańba, zwyczajna hańba, dać się wykorzystywać przez lekarza jako pies łańcuchowy.

Mariano zrobił dwa szybkie kroki do przodu i zapytał:

— Czy odwoła pan te słowa w tej chwili?

— Nie! — brzmiała gniewna odpowiedź. — Powtórzę je nawet.

— Dobrze, czekam więc na odpowiedź.

— Pan czekasz? Pan ma czelność? — zawołał hrabia. — Pan jesteś przecież...

Nie mógł nic więcej powiedzieć, gdyż notariusz i zasłonił mu usta.

— Stój hrabio! — przestrzegał. — To nie miejsce, ani czas tego rodzaju rozmowy.

— Jestem tego samego zdania! — powiedział lekarz. — Zresztą senior de Lautreville, jeżeli pan będzie potrzebował sekundanta, jestem do usług. Proszę teraz pana i damy aby się ze mną udali.

Obie panny były tak przerażone, że bez słowa udały się za lekarzem, a porucznik wyszedł, nie rzuciwszy nawet okiem na pozostałych.

— Alfonso! Jak można być takim nieostrożnym Mogłeś wszystko zdradzić! — rzekł notariusz, gdy zostali sami.

— W czym by to zaszkodziło? — spytał zagniewany Alfonso. — Co by to była za radość widzieć oblicze tych ludzi, na wieść, że porucznik jest rabusiem.

— A co za radość, gdyby on potem oznajmił, że należy mu się twoje miejsce. On nie musi się tego domyślać, on już wie i wydaje się, że czeka na okazję, aby odkryć z jakiego ty pochodzisz rodu. Postaram się o to, żeby nam więcej nie przeszkadzał.

— A ten drugi, ten lekarz? — dodała Klarysa. — Czyż nie zachowuje się, jakby to on był tutaj panem. Oj tak, ci grzesznicy chodzą po bożym świecie jak lwy szukające łupu.

— Musimy przeszkodzić tej operacji — mówił gniewnie notariusz. — Sternau powiedział, że hrabiemu może zaszkodzić najmniejsze nawet wzruszenie. Musimy więc się o to postarać.

Tymczasem u hrabiego rozpoczęły się przygotowania.

— Kogo ze sobą przyprowadzasz, senior?

— Hrabiankę Różę i miss Amy, na których pomoc mogę w pełni liczyć.

— Dziękuję, doktorze. A gdzie jest mój syn?

— Został w salonie. To ja nie chciałem jego towarzystwa.

— A czy damy dadzą sobie radę?

— Sądzę, że pod tym względem może być pan zupełnie spokojny, hrabio. Proszę mi powiedzieć, w jakim pan hrabio, jesteś dziś usposobieniu?

Na twarzy hrabiego ukazała się pełen ufności uśmiech i składając ręce powiedział:

— W nocy śniłem, że przywrócił pan mym oczom blask. Ujrzałem piękny świat. Ujrzałem też moje drogie dziecko, pana, porucznika... ale — dodał z westchnieniem — nie zobaczyłem mojego syna, tylko kogoś obcego, którego twarzy ani mowy nie mogłem poznać. Co tutaj tak brzęczy?

— To instrumenty.

— Czy wolno mi je dotknąć?

— Oczywiście.

Podał narzędzia hrabiemu, ten jedno po drugim brał do ręki, a potem rzekł spokojnie:

— Kiedy możemy rozpocząć?

— Natychmiast. Jednak wcześniej muszę zrobić próbę? Sprawdził, czy przypadkiem ręka mu nie drży, a potem ustawił łożo hrabiego w stosownym położeniu, poukładał narzędzia i objaśnił damom na czym ma polegać ich pomoc.

Minęło już pół godziny, jak Mariano stał na swoim posterunku, gdy naraz ukazał się Alfonso. Ubrany był w strój myśliwski i prowadził dwa psy. Wszyscy się mocno dziwili, jak można tak nie mieć serca, żeby w chwili operacji ojca iść na polowanie.

Właśnie, kiedy przechodził obok porucznika, ujrzał siedzącą na szczycie drzewa wronę. Szybko zrzucił strzelbę z ramienia i wycelował:

— Piękny cel! Baczość na ptaka, Pluto, Poluz!

Chciał wypalić lecz mu się to nie udało.

— Drabie! — zagrzmiało mu za uchem.

Potem nie słyszał już nic więcej tylko szum. W oczach mu poczerniało, a w piersiach brakło tchu.

Mariano przyskoczył, chwycił go jedną ręką za gardło. Pod strasznym uściskiem, młody hrabia upadł. Nawet psy nie rzuciły się by go bronić.

Kilkoro sług widziało to i nadbiegło na miejsce wypadku. Między nimi był i kasztelan.

— A Panienko Najświętsza! On chciał strzelać! — żalił się poczciwy Alimpo. — On chciał przeszkodzić panu doktorowi w operacji! To przewidywała już moja Elwira. Czy on żyje?

— Tak. Stracił tylko przytomność.

— Byłoby lepiej gdyby... ach, gdyby... no, byłoby bardzo szkoda młodego pana!

Widać było, że kasztelan chciał powiedzieć coś wręcz przeciwnego.

Porucznik zaniósł Alfonso do piwnicznych cel zamku, umieścił go w jednej z nich, zamknął i ponownie udał się na swoje stanowisko.

Parę chwil później hrabianka przywołała kasztelanową. Kiedy weszła do izby chorego, hrabia siedział w swoim fotelu, a lekarz był zajęty zawiązywaniem mu oczu.

— Proszę pozasłaniać wszystkie okna — rzekł lekarz. — Dotychczas potrzebowałem światła. Teraz należy pozakrywać nawet jasne ściany, tylko proszę zrobić to cicho.

— Doktorze, będzie pan ze mną szczery? — zapytał hrabia.

— Tak, panie hrabio — odpowiedział Sternau.

— Czy ta... ta... ta operacja się udała?

— Będzie pan miał siłę usłyszeć prawdę?



— Będę, senior. Ale pańskie pytanie mówi mi dość wyraźnie, że niczego dobrego nie mogę się spodziewać.

— Nie, don Emanuela, nic takiego nie powinien pan wywnioskować. Ale szkodliwa jest także radość.

— O mój Boże, a więc mogę mieć nadzieję?

— Tak. Jednak zależy to od tego, jak się pan będzie zachowywać. Musi pan zachować spokój. Jutro będę mógł powiedzieć więcej.

Róża chwyciła lekarza za rękę i szepnęła:

— Proszę być ze mną szczerym.

Na twarzy lekarza zabłysła duma i radość, gdy odpowiadał:

— Udało się.

— O mój Boże! On odzyska wzrok?

— Tak, ale cicho! Radość jest tak samo szkodliwa jak inne wzruszenie.

Ale Róża nie mogła się już powstrzymać. Pomimo obecności przyjaciółki i kasztelanowej, zarzuciła mu ręce i na szyję i na jego ustach odcisnęła gorący pocałunek...

Pocziwa Elwira o mało co nie krzyknęła, widząc co się dzieje. *Miss Amy* także była zaskoczona, ale nie mogła nie przyznać słuszności przyjaciółce. Pocałowała ją serdecznie nie mówiąc ani słowa. Sternau zaś wyszedł z pokoju, by na parę chwil zastąpić porucznika.

— Już po wszystkim, senior? — zapytał Mariano ujrzawszy go.

— Tak.

— No i jak, udało się... ale po co ja pytam. Wystarczy spojrzeć na pana.

— Operacja udała się znakomicie. Jednak choremu nie należy o tym teraz mówić. Co to za strzelba?

— Don Alfonso, którego aresztowałem — odrzekł zachmurzony.

— Aresztował go pan? Dlaczego?

Porucznik opowiedział cały wypadek, a gdy skończył, doktor rzekł:

— Co za człowiek! Co za bezczelność! Musiał mieć w tym jakiś zamiar. I to ma być syn! Co pan chce z nim uczynić?

— To już musi rozstrzygnąć pan. Pan przecież wie najlepiej, czy zamiar jego był szkodliwy, czy nie.

— Gdyby zdążył wystrzelić, to hrabia mógł się przebudzić z narkozy. Teraz jednak hm... proszę mnie do niego zaprowadzić.

Udali się do piwnicy. Hrabia Alfonso, gdy usłyszał zbliżające się kroki stanął za drzwiami, chcąc z pięściami rzucić się na Mariano, ale w tej samej chwili lekarz złapał go za ręce i trzymał tak mocno, że ten ledwie mógł się poruszyć.

— Rabusie! Bandyci! — krzyczał.

— Krzycz pan ile tylko chcesz! — rzekł Sternau. — Nie wzrusza nas to zupełnie, gdyż według nas jest pan małym człowiekiem. Puścimy pana, jednak wcześniej musimy porozmawiać.

— Zabierajcie się stąd, draby! Każę was wyrzucić!

— Ciszej kochany, ciszej! Nie wypuszczę pana wcześniej, dopóki mnie nie wysłuchasz!

— Więc mów! — krzyknął hrabia.

— Muszę powiedzieć, że pańskie zachowanie jest bardzo podejrzane. Nie mogę wprawdzie domyślać się przyczyn, takiego postępowania, ale jeżeli zbliżysz się pan do hrabiego, zanim na to pozwolę, albo podejmiesz najdrobniejszą rzecz, która mogłaby ojcu zaszkodzić, i publicznie ogłoszę zarzuty i pozwę pana przed sąd.

— Uczyni to! Proszę! — wołał. — Ja was obu każę wysmagać!

Porucznikowi było już tego za wiele. Podsunął mu pod nos pięść i rzekł:

— Jeśli jeszcze raz ponowisz swoje groźby, to zabiję cię jak psa. Sądzisz, że nie potrzebujesz się obawiać sądu, ty ani twoi zacni rodzicie? To czy masz prawo do tytułu hrabiego de Rodriganda–Sevilla — rozstrzygnie sąd! Zabieraj się, kanalio!

Wymierzył Alfonso taki straszny policzek, że ten poleciał do tyłu. Zerwał się jednak szybko i wybiegł na schody.

— Mój Boże, o co tu chodzi! — zapytał Sternau. — Ten człowiek nie jest synem hrabiego Emanuela?

Teraz dopiero Mariano zrozumiał swój błąd. Położył rękę na rozpalonym czole i rzekł:

— Senior, umiesz zachować tajemnicę?

— Tak — odparł Sternau.

— Lubię pana, jesteś szczerzy i prawy. Czy chcesz być moim przyjacielem?

— Bardzo chętnie, senior. Oto moja ręka.

— Więc mam do pana wielką prośbę — prosił Mariano, podając lekarzowi rękę — Proszę nie mówić na razie nikomu, o tym co tu słyszałeś.

— Dobrze, ale czy powiedziałeś pan prawdę?

— Sądzę, że tak. Potrzebuję jednak czasu, by dokładnie zbadać tę zawiłą sprawę, a do tego czasu trzeba zachować milczenie.

— Będę milczał.

— Zostawmy więc tę sprawę na boku. Teraz muszę spieszyć do hrabiego, by strzec go przed niespodziewanym postępkim Alfonso.

Na szczęście jednak młody hrabia udał się wprost do Klarysy.

— Matko! — zawołał — Szybko pošlij po ojca. Stało się nieszczęście.

Karmelitanka podniosła się z krzesła.

— Na Boga, jak można być tak nieostrożnym! Krzyczysz tak, jakby wszyscy mieli cię usłyszeć. Mów, co się takiego stało?

— Zbrodnia, a drugiej takiej nie ma na świecie, podłość wyjątkowa. Idę po ojca.

Wkrótce wrócili obaj, a opowiadanie hrabiego wywołało we wszystkich strach.

— Co mam czynić, mówcie! — krzyczał Alfonso w największym rozdrażnieniu.

Na to wszystko surowym tonem przemówił notariusz:

— Milczeć, masz przede wszystkim milczeć. Popełniłeś straszny błąd. Kto kazał ci strzelać pod oknami hrabiego, co? Zagroziłeś przez to nam wszystkim i omal nie zniweczyłeś całego planu. Nic tutaj nie wymyślimy. Muszę jechać natychmiast do Barcelony, do kapitana Landoli.

— Kiedy wyjeżdżasz? — zagadnęła Klarysa.

— Za pół godziny. Żądam jednak bezwarunkowego posłuszeństwa, gdy jeszcze raz usłyszę o jakiegokolwiek nieostrożności, pozostawię cię samemu. Zrozumiałeś? Teraz idź!

Tego się Alfonso nie spodziewał. Tym tonem jeszcze nigdy ojciec do niego nie mówił.

W trzy dni później doktor Sternau i porucznik przechadzali się rano po parku. Do tej pory doktor nie opuścił hrabiego ani na chwilę.

Przed jednym z krzewów spotkali kasztelanową, zajęętą zrywaniem kwiatów.

— Dzień dobry, panom! — wołała już z daleka. — Patrzcie, jakie piękne róże; dziś muszę zerwać najpiękniejsze, tak samo uważa mój Juan.

— A co to za dzień, dzisiaj? — zapytał Sternau.

— Jak to, panowie nie wiecie? — zapytała zdumiona.

— Nie.

— Dziś są urodziny naszej ukochanej hrabianki.

— Rzeczywiście? Muszę jej zaraz złożyć życzenia.

— Panienska Róża wstała dzisiaj bardzo wcześnie, także pan hrabia już nie śpi. To on właśnie wysłał mnie do ogrodu, gdyż chce córce sprawić niespodziankę.

— Nic mi o tym nie powiedziano — rzekł lekarz.

— Może to miała być niespodzianka, także i dla pana. Prezenty przysłano wczoraj, chodźcie panowie ze mną.

Pięć minut później Sternau był już u hrabiego i razem z kasztelanową pomagali mu w przygotowywaniu niespodzianki. Gdy wszystko było już gotowe, pani Elwira poszła przyprowadzić hrabiankę.

— Elwira powiedział mi — rzekła Róża zwracając się do lekarza, — że i pan przyczynił się do uświęcenia mych urodzin. Sternau ucałował podaną rękę i dodał:

— Wszystko co zrobiłem było tylko drobnostką, lecz jeśli będzie mi wolno na ten dzień mam inny, rzeczywisty dar. Czy wolno?

Zrumieniła się lekko, odrzekła jednak spokojnie:

— Z pańskiej ręki najmniejsza rzecz jest dla mnie cenna.

— A więc spróbujemy! Niech bóg nas przy tym ma w swojej opiece.

Przystąpił do hrabiego i zdjął zasłonę z jego oczu.

— Panie hrabio, proszę się odwrócić od okna! — prosił drżąc w oczekiwaniu tego co ma nastąpić. — Czy widzi pan swoje dziecko?

Hrabia jeszcze nie zdążył otworzyć oczu. Stał przy stole i dziwne uczucie owładnęło nim. Wreszcie oprzytomniał i szepnął:

— Jakież to wielki dzień! Mój Boże, spraw by się powiodło. Cały drżał i wreszcie otworzył oczy. Sternau stał z tyłu i nie mógł widzieć jego twarzy; zobaczył jednak jak ramiona hrabiego uniosły się, zrobił kilka kroków i w końcu rzekł:

— Czy to możliwe? Czy to przypadkiem nie jest sen? Ja widzę. Widzę anioła tak pięknego, tak pełnego blasku i jasności! Doktorze, czy to prawda?

— Tak, panie hrabio — potwierdził Sternau.

— O Boże, a więc to prawda! Kim jest ten anioł?

— Ojczy, ty mnie masz na myśli, ty mnie widzisz! Poznają to po twoich oczach! — wołała Róża radośnie.

— Ale ze szczęścia zupełnie zapomniałem o panu. Podejdz proszę, bym mógł zobaczyć tego, któremu zawdzięczam to wszystko.

Sternau zbliżył się i padał hrabiemu rękę. Hrabia długo nic nie mówił, patrzył tylko w twarz lekarza, aż wreszcie odezwał się:

— Tak. Tak właśnie sobie pana wyobrażałem. Wiedziałem, że jest pan mocnym, otwartym i pełnym prawdy mężczyzną. Senior, nie wiem jak mam panu dziękować, do końca życia, będę pana dłużnikiem — przyciągnął Sternau'a do siebie i uścisnął jak rodzzonego syna.

— Teraz kolej na pozostałych, senior — poprosił lekarza.

— Don Emanuelu, tymczasem to musi wystarczyć — odrzekł lekarz. — Musi się pan oszczędzać, proszę poczekać do południa. Cierpliwość ta opłaci się z całą pewnością.

— Nawet syna mego ten zakaz dotyczy?

— Jego także — prosił Sternau, któremu nagle przysłała do głowy pewna myśl. — Hrabiankę Różę już pan zobaczył, resztę ujrzysz wieczorem, gdy słońce nie będzie tak silne. Posłuchaj mnie, proszę!

— Jestem posłuszny — rzekł hrabia. — Ale nie chcę cieszyć się sam. Rózo zadbaj, by cała Rodriganda wiedziała o tym. Odbyć się ma wielka uroczystość, a gdyby ktoś miał jakieś życzenie, niech je tobie wyjawia. Wszyscy moi urzędnicy dostaną dziś dodatkową pensję, jako prezent. O ja chcę... ja chcę...

Chwilę rozmyślał, a potem zwrócił się do doktora:

— Czy masz jakichś krewnych, senior?

— Siostrę i matkę — brzmiała odpowiedź.

— W Niemczech?

— Tak.

— Czy sądzisz, że jestem w stanie czytać?

— Tak, ale jeszcze nie teraz.

— A pisać? Jeden lub dwa wiersze, więcej nie.

— Czy jest to niezbędne?

— Tak.

— Więc proszę, lecz tyłem do okna, panie hrabio.

Hrabia przystąpił do biurka, wyjął blankiet i wypełnił go. Potem zwinął i podał córce.

— Rózo, — rzekł — poproś senior Sternau'a, aby przyjął tych kilka słów na pamiątkę dzisiejszego dnia, nie dla siebie, lecz dla swej matki i siostry. Czyn jego nie może pozostać bez nagrody, lecz krewnym jego możemy powiedzieć, jak drogi jest on naszemu sercu.

Wzięła kartkę i podała ją doktorowi. Ten cofnął się, robiąc ręką odmowny ruch.

— Wiedziałam, że tak będzie — rzekła rumieniąc się Róza. — Jednak zechciej mnie dobrze zrozumieć, pan wyświadczasz nam przysługę i nie przystoi panu odrzucać tego, co przeznaczone jest dla innych.

A gdy mimo to nie ustawał w swym uporze, zbliżyła się do niego, wcisnęła mu papier do ręki i szepnęła:

— Karlosie, weź to, proszę!

Tej prośbie nie mógł się oprzeć. Ścisnął obojgu ręce z podziękowaniem i zaraz odszedł.

Róza zaś powiedziała do ojca:

— Ojczy, czy wiesz, że go obraziłeś!

— Sadzę, że nie, moje dziecko. To nie chodzi o pieniądze, ale o tych ludzi, którzy je mu dają. Nie mogłem postąpić inaczej. To nie ma być zapłata czy jakieś tam honorarium. Różo powiedz mu raz jeszcze, że wszystko co mam jest też jego własnością. A teraz idź dziecko i zajmij się tym, o co prosiłem.

Gasparino Kortejo od trzech dni przebywał w Barcelonie, gdzie w porcie, między innymi okrętami, stał na kotwicy trójmasztowiec o nazwie „La Pendola”, czyli „Pióro”. Nazwa ta dla takiego wielkiego, ciężkiego okrętu laikowi, mogła wydawać się dziwna. Natomiast żeglarz od razu zauważał, że kadłub okrętu wznosił się ponad taflę wody, spód był wydłużony i ostry, a omasztowanie tego rodzaju, że okręt śmiało mógł stawić czoło burzom oraz szybko i lekko jak piórko pruć fale oceanu. Statki takie wymagają nadzwyczajnej czujności i niezwykłego kapitana.

Henryk Landola zaliczał się do najlepszych w swoim fachu i wszyscy, którzy go znali zgodnie twierdzili, że mimo hiszpańskiego nazwiska jest Amerykaninem, prawdziwym Jankesem, który i diabła się w razie potrzeby nie ulęknie. Znał wszystkie morza, porty i miał opinię człowieka nie zważającego na jakość ładunku, byle tylko można było zarobić. Mawiano nawet, że nie wzdrygał się przed przewożeniem z Afryki żywego towaru, choć niewolnictwo zostało zniesione.

Właśnie ten człowiek zamknął się w kajucie, na pokładzie „Pendoli” z notariuszem Gasparinem Kortejo, który skończywszy liczyć stosy rachunków leżące przed nim odłożył pióro i powiedział:

— Jestem z was zadowolony, kapitanie. Udział mój wynosi trzydzieści tysięcy, to jest suma, którą zamierzałem zarobić.

Na twarzy kapitana nie drgnął ani jeden mięsień. Zapytał tylko:

— Jak sprawa stoi? Mam płacić natychmiast, czy zostawia pan pieniądze do dalszego handlu?

— Zatrzymaj je.

— Dobrze, czy masz pan jeszcze jakieś życzenie?

— Tak.

— No ta najpierw o interesach.

— Hm. Czy nie potrzebowałbyś pan nowego majtka?

— Potrzebuję ich zawsze. Jakiego?

— Takiego, którego można się będzie pozbyć podczas podróży.

— W wodzie? — zapytał Landola ze znaczącym uśmiechem.

— Obojętne. Chodzi tylko o to, by nie wrócił.

— Tak jak swego czasu don Ferdynand de Rodriganda–Sevilla?

— Pst! — rzekł notariusz przestraszony. — Gdyby to ktoś usłyszał! Nie powtarzaj nigdy więcej tego nazwiska!

— Dlaczego?

— Przecież don Ferdynand umarł!

— Tak, a nawet gorzej niż umarł... zgubiony, mogę na to przysiąc. Kto jest tym nowym majtkiem?

— Człowiek, który udaje oficera, a rzeczywiście jest awanturnikiem.

— Cieszy mnie to! Tacy są najlepsi. Gdzie go mogę spotkać?

— W Rodriganda.

— A! W jaki sposób sprowadzisz go do nas?

— Wy sami musicie wyprawić się po niego.

— Niech i tak będzie. Jest silny?

— Bardzo.

— Odważny?

— Nad wyraz.

— Młody?

— Ma dwadzieścia lat.

— To dobrze. Będzie się bronić?

— Na pewno.

— Przeszkadzimy mu w tym. Ile płacisz, senior?

— Ile żądasz, kapitanie?

— Trzysta duros za wszystko. Porwanie bez hałasu, zniknięcie bez śladu i bez możliwości powrotu.

— Zgoda, choć wiem, że jego sprzedasz przyniesie ci znacznie więcej. Dokąd go przewieziecie?

— Nie wiem jeszcze. Może na Borneo albo Celebes. Malajczycy dają za białych złoto, a nawet klejnoty. Ludzi ci są przeznaczeni na ofiarę bogom.

— Jesteś diabelnie przebiegły, kapitanie. Żeglarz zaśmiał się złośliwie i rzekł:

— A wam właśnie brakuje tej przebiegłości. Kiedy mam się wyprawić po tego młokosa?

— Czy możesz przybyć jutro wieczorem?

— Do Rodriganda? Mogę. Przyjadę powozem, gdzie mam czekać?

— Wyjdę wam naprzeciw. Urządźcie się tak, abym spotkał wasi punktualnie o dziesiątej na granicy posiadłości.

— Dobrze, resztę formalności pozostawiam wam. Drab ten musi być nadzwyczajnej siły.

— Dlaczego?

— Bo w innym wypadku, nie zadałbyś sobie tyle trudu. Wystarczyłaby odrobina trucizny.

— Nienawidzę trucizny, a łatwo może zdradzić.

— Nie można jej ufać? Ha, ha, ha! Odkryłem nową, wyborną truciznę.

— Gdzie?

— W starej księdze. Pokaże ci zaraz.

Otworzył szafkę znajdującą się w ścianie kajuty, odsunął mnóstwo ciężkich zwojów pieniędzy i wyciągnął bardzo stary zeszyt.

— Przepyszna księga! — rzekł. — Kupiłem ją od starego, niemieckiego sternika, który Bóg wie, gdzie ją znalazł. Są tu wszystkie możliwe środki i lekarstwa, a między nimi także i trucizna.

Otworzył na odpowiedniej stronie i przeczytał przepis:

*Oto trucizna znamienita, gwoli śmierci i wariactwu zgotowana.*

*Weź garnuszek soku santaris tbcicaria, który zwykle mienią anczarem, pół garnuszka strichnos tieute, co nazywa się orzechem z Jawy, ćwierć garnuszka soku alpina galanga, który jest indyjskim galgantem, oraz tyle soku zingiber cassamumar czyli jadowitego ingweru. Gotuj o wszystko aż do wrzenia, przelej potem do flaszki. Pięć kropli czynią człowieka nieżywym, dwie przygotowują go o szal. Postrada on rozum i nie będzie wiedzieć, kim był przedtem.*

*Szal ten da się uleczyć następującym trunkiem:*

*Roztucz miarkę caprium, co się zwie krzaczaste jagody wilcze, do tego dodaje się pół miarki śliny człowieka załaskotanego na śmierć; to zostawia się cały tydzień, by się zleżało, do tego nalewa się ostrego octu i przelewa flaszki. Dwie krople tego pysznego lekarstwa usuną szal w przeciagu trzech dni.*

*Sporządzić je można tylko w krainach Azji, a wypróbowane jest przez wielu.*

— Pan umie to odczytać? — zapytał notariusz.

— Znam niemiecki — odrzekł kapitan.

— A truciznę tę pan masz?

— Mam.

— Naprawdę?

— Oczywiście.



— Czy mógłbym otrzymać parę kropli?

— Dla kogo?

— To już pana nie obchodzi.

— Może dla młodzieńca, którego miałem sobie zabrać?

— Nie.

— To co innego. Ale to diabelnie droga sprawa.

— Ile?

— Kropla pięć duros.

— Do stu diabłów! A czy działa jak należy?

— Na to moje słowo.

— Mogę dostać dziesięć kropli?

— Tak, czyli za pięćdziesiąt duros.

— Daj mi pan truciznę, a pieniądze przepisz sobie na konto. Kapitan sięgnął do tej samej szafki, wyjął flaszeczkę z lekarstwem i drugą pustą, do której przelał odliczone krople.

— Proszę, senior. Ta ilość wystarczy na uśmiercenie dwóch osób. Mam nadzieję, że będzie pan zadowolony.

Notariusz wracając do Rodrigandy dziwił się bardzo, widząc całą miejscowość w odświętnej szacie. Domy były ozdobione wieńcami, mieszkańcy włożyli odświętne stroje. Dopiero w zamku dowiedział się, co było tego przyczyną.

Kiedy zapadł zmierzch doktor i Róża przebywali u hrabiego. Ten ponownie zechciał zobaczyć syna.

— Poślę po niego — rzekł Sternau wychodząc do przedpokoju. — Hrabia Alfonso i porucznik Lautreville mają tu przyjść i równocześnie wejść do pana hrabiego — polecił służącemu.

Mariano nie miał pojęcia o podstępie doktora. Nie był w mundurze i spotkał się z młodym hrabią tuż przy drzwiach.

Hrabia Emanuel oczekiwał syna z niecierpliwością. Kiedy obaj i weszli, rzucił okiem na Alfonso, ale rychło zwrócił się do porucznika i przystąpiwszy doń z otwartymi ramionami zawołał:

— Synu! Ja znów widzę! Chodź i raduj się ze mną!

Porucznik z trudem zapanował nad sobą. Nie zdążył powiedzieć nawet słowa, bo Alfonso odpowiedział zamiast niego:

— Pomyliłeś się ojcze, ja jestem twym synem.

Badawczy wzrok hrabiego zastygł na mówiącym

— Kto tutaj żartuje sobie ze mnie? Pan nie jesteś moim synem!

— A właśnie, że nim jestem — odparł Alfonso. — Nie poznajesz mnie po głosie.

Don Emanuel patrzył się na mówiącego i po chwili rzekł:

— Ten głos, ach ten głos! Tak znam go, ale gdy go po raz pierwszy usłyszałem, nie myślałem, że należy do mego syna. Kim jest ten drugi młodzieniec?

— To porucznik de Lautreville — odpowiedział Sternau.

— Porucznik! O senior, powiedz mi, czy to prawda? Mariano czuł, że serce mu łomocze, ale odpowiedział:

— Tak w istocie jest, panie hrabio. Hrabia odwrócił się i spokojnie powiedział:

— Rózo, powiedz panom, że mogą odejść. Tylko senior Sternau niech ze mną zostanie.

Alfonso i Mariano wyszli. Nie dowiedzieli się o czym mówiono w pokoju hrabiego.

Gdy Alfonso dotarł do pomieszczeń Klarysy zastał tam już notariusza. Oboje oczekiwali na niego z wielkim niepokojem.

— I co? — zapytał Kortejo.

— Nie chce mnie widzieć! — brzmiała odpowiedź.

— Przeczuwałem to! I co!

— Chciał uściskać porucznika.

— A ten był u niego?

— Wszedł równocześnie ze mną.

— Do wszystkich diabłów. Toć to wygląda na zamierzone. Co powiedział do niego hrabia?

— Uważał go za swojego syna.

— A gdy mu wyjaśniłeś?

— Kazał się nam obu oddalić. Teraz u niego jest ten Sternau.

— Czy on może się czegoś domyślać? To szczęście, że dzisiaj się to wszystko zmieni. Jutro byłoby za późno.

— Dzisiaj, co się ma stać dzisiaj, mój kochany? — spytała pobożna siostra.

— O tym dowiedzie się później.

Wieczorem Amy z porucznikiem wybrali się na spacer. Odwiedzili gospodę, gdzie tańczono przy dźwięku piszczałek, a gdy wracali, Amy spytała swego towarzysza:

— Gnębi cię jakaś tajemnica, senior?

— Tak — odpowiedział po chwili.

— Czy mogę się dowiedzieć jak?

— Teraz nie.

— Nie masz do mnie zaufania?

— Przeciwnie, mam ogromne. Ale są rzeczy, o których się nawet boję myśleć.

— Ale później dowiem się o tym, prawda?

— Amy, o tym się pani dowie z całą pewnością, zaraz gdy...

— Gdy...? Co chciałeś senior powiedzieć?

— Kiedy..., kiedy będę mógł już nazwać panią, moją.

— Będę na to czekała.

— Jak długo? Ach, jak długo? Powiedz mi, proszę? Położyła głowę na jego piersi i odrzekła:

— Jak długo żyć będę, gdyż umrę, gdy ty nie przyjdiesz.

Nie odpowiedział nic, ale długo trzymał ją w objęciach, aż w końcu, musieli wracać.

Notariusz na godzinę przed umówionym terminem przybył na miejsc spotkania, Landola zjawił się punktualnie. Wziął ze sobą dwukonny wóz i sześciu silnych majtków. Wóz pozostawiono w cieniu drzew i oddano pieczy jednego z ludzi, a reszta wybrała się w drogę ku Rodriganda.

— Co słyhać? — spytał kapitan.

— W porządku — odparł notariusz. — Teraz prawie cała służba znajduje się we wsi na zabawie. Tylne schody nie są pilnowane. Dojdziemy nimi do jego komnat, a ponieważ drzwi tam nie są zamknięte to wejdziemy, wy schowacie się w sypialni, a potem, schwytaście go.

— To brzmi nawet ciekawie. A jak się stamtąd wydostaniemy?

— Tą samą drogą. Wszystko jest przygotowane.

Wszystko odbyło się według słów notariusza. Ukryci czekali na porucznika. Ten, nie przeczuwając nic złego, wszedł i zaryglował drzwi. Zaledwie jednak zrobił krok, został uderzony i stracił przytomność.

— Przynieście światło! — rozkazał Landola — Musimy go obejrzeć. Całkiem ładny chłopak! Dziwnie podobny do kogoś, kogo nie mogę sobie teraz przypomnieć. Zakneblujcie mu usta i zawiążcie go.

Wkrótce światło zgaszono i po kilku minutach usłyszeli lekkie pukanie, to pukał notariusz.

— Macie go? — spytał. — Bronił się?

— Ba! Jeszcze czego. Ręka majtka jest pewna.

— Stracił przytomność?

— Odzyska ją, ale lepiej będzie, gdy jak najszybciej się stąd oddalimy.

Poprowadził ich tą samą drogą, którą przyszli. Dwóch ludzi niosło porwanego aż do wozu, a notariusz musiał się mu jeszcze raz przyjrzeć. Zapalił więc latarkę i ujrzał otwarte oczy.

— Ty łajdaku, już oprzytomniałeś? Twój rachunek z Rodrigandami zakończony. Nie będziesz teraz już nikomu szkodził.

Tu uderzył bezbronnego, po czym dał znak, by załadowano go na wóz. Kapitan wziął go na stronę i spytał:

— To jak senior, ma umrzeć, czy...

— Naturalnie, najpraktyczniej będzie, jeśli zginie!

— Wiele na tym stracę.

— To proszę dwieście duros więcej przypisać na swoje konto.

— A tak, to co innego. Za tę cenę można mu skrócić głowę. No, moi chłopcy już gotowi. Dobranoc, senior, sądzę, że się jeszcze zobaczymy, nim okręt odbije?

— Tak. Do widzenia.

— Do widzenia.

Wóz potoczył się w dal, a adwokat wrócił do zamku z przekonaniem, że obecnie jego sprawa wygra.

## Obląkany

Następnego poranka *miss Amy* obudziła się bardzo wcześnie. Szczęście nieraz, tak jak nieszczęście spędza sen z powiek. Wychodząc ze swego pokoju, spotkała panią Elwirę, która trzymając w ręku koszyczek schodziła ze schodów. Skinęła życzliwie głową i powiedziała:

— Widać, że pani kasztelanowa bardzo wcześnie zabiera się do pracy?

— O tak, ma śliczna *donia Amy lady* — odpowiedziała gosposia, która widocznie od swego męża nauczyła się mieszać tytuły hiszpańskie z angielskimi. — Muszę naprawić jeden błąd.

— Czy wolno spytać jaki?

— Dlaczego nie! Proszę sobie wyobrazić, wczoraj, gdy ustroiliśmy wszystko kwiatkami, to zapomnieliśmy o tym, który był twórcą tego święta. Nie wstawiłam mu do pokoju nawet jednego bukietu. To wyjątkowa niewdzięczność, tak powiada i mój Juan.

— Ma pani na myśli doktora Sternau'a?

— Tak jest, łaskawa panienko! Proszę przecież wziąć pod uwagę, że on nie tylko naszemu panu wzrok przywrócił, ale i od tej niebezpiecznej choroby wyleczył. Musimy mu być bardzo wdzięczni, dlatego też hrabianka Róża poleciła mi zaraz rano zerwać świeże kwiaty'.

— Czy doktor przez cały czas czuwał przy don Emanuełu?

— Tak mi się wydaje, on raczej nie dowierza pewnym osobom, podejrzewa je nawet o niecne zamian —. Oto, że chcą mu przeszkodzić w całkowitym wyleczeniu hrabiego. To bardzo energiczny lekarz, tak powiada mój Alimpo. Nawet dzisiaj czuwał przy łożu hrabiego, dopiero teraz poszedł się przejść po parku.

— Pójdę z panią, może spotkamy go w ogrodzie.

— O jaka pani łaskawa, droga *seniora, miss Amy donia*.

— Będzie to dla mnie zaszczytem.

Amy miała rację, zaledwie zerwały parę kwiatów, gdy ujrzały nadchodzącego lekarza. Zdjął kapelusz, uklonił się i chciał wyminąć obie panie, lecz Amy podbiegła ku niemu pytając:

— Czy mogę panu towarzyszyć, sir Sternau?

— Będzie mi bardzo miło, myślałem właśnie o pani.

— O mnie? — zapytała radośnie.

— Tak, a właściwie o dalekim kraju, który niedługo stanie się pani ojczyzną.

— Myśli pan o Meksyku, zna pan ten kraj?

— Bardzo dobrze. Konno przejechałem prerie Ameryki Północnej : Teksas, Nowy Meksyk, potem przepравиłem się przez pustynię do stolicy Meksyku i innych dużych miast, by bliżej poznać życie i obyczaje tamtejszych ludzi.

— Byłeś więc pan w Meksyku? Musi mi pan o nim opowiedzieć! Dotychczas, muszę się panu przyznać ogarnia mnie strach na myśl o wyjeździe.

— Dlaczego?

— Bo okrucieństwa i gwałty przewijają się przez jego historię.

— Tak, historia jest rzeczywiście zapisana krwią i stosunki tam panujące nawet dzisiaj nie są uregulowane, ale nie jest tak źle, jak pani myśli. Meksyk jest jednym z najpiękniejszych krajów i życie tam może być piękne, zaręczam pani, że będzie się jej tam podobać.

— Ale prowincja, sir, to nie stolica. Słyszałam, że dzieją się tam straszne rzeczy. Ludzie opowiadają o bandytach, od których tam się aż roi.

— Tak — uśmiechnął się Sternau — Można by nawet przypuszczać, że każdy Meksykanin ma w sobie coś ze zbójcy i lubi takie niezależne, choć szalone życie, ale do tego można się z czasem przyzwyczać.

— Przyzwyczać się? — zawołała. — Jak można przyzwyczać się do rabusiów i bandytów?

— Bardzo łatwo, miss Amy. Ci rabusie to zwykli ludzie. Pozna pani na przykład jakiegoś wyższego rangą oficera, który swą elegancją oczaruje panią; sędziego, którego sprawiedliwość panią ujmie: uczonego, który zachwyci panią swą wiedzą itd. Pewnego dnia napadną panią zbójcy i okaże się, że ich przywódcą jest właśnie ten elegancki oficer lub sędzia a może i nawet uczonego, czy duchowny. Na początku zdziwi to panią, no i taki napad będzie trochę kosztował, ale będą się z panią obchodzili bardzo grzecznie, a gdy któregoś dnia spotkacie się w jakimś salonie poda pani swe ramię i poprosi tylko, by w swej łaskawości raczyła pani zapomnieć o owym incydencie.

— To rzeczywiście zadziwiające, więc taki napad to tylko rabunek?

— Jak najbardziej. W dalszych, prowincjach jest co prawda bardziej niebezpiecznie, kto usiłuje się bronić, może łatwo swą odwagę przypłacić życiem. Dlatego jeździ się tam w towarzystwie eskorty. Zresztą to drobnostki w porównaniu z dziką sawanną, gdzie żyje się w ciągłej obawie o życie. Kto nie posiada dostatecznych umiejętności na przykład strzeleckich albo posiada za mało sprytu i doświadczenia, ten nie powinien zapuszczać się w te kraje.

— Czytałam o tym. Czy to prawda, że tamtejsi mieszkańcy umieją rozróżniać ślady każdego człowieka lub zwierzęcia i po tych śladach go wytropić?

— Tak. Do tego potrzeba nie tylko doświadczenia, ale i wrodzonego sprytu. Musi się uważać na każde ździebelko, każde ziarnko piasku, każdy krzaczek, zważać na tysiące okoliczności, na które inni nawet nie zwracają uwagi.

— Czy pan próbował tego?

— Sytuacja mnie do tego zmusiła — odpowiedział.

— To znaczy, że byłeś pan tropicielem, to musi być bardzo romantyczne.

— Tak, pani, byłem nim.

— Ach, żeby mogło się zdarzyć coś takiego, aby spryt i wytrawne oko człowieka prerii można było wypróbować!

— To pani życzenie, łatwo może być w Meksyku spełnione, tu moja droga...! No cóż, może i tu jest to możliwe, bo właśnie widzę ślady, które nam mogą służyć za przykład.

Zwyczajne oko nie zdołałoby nic odkryć, lecz oczy lekarza, do tego pobudzony rozmową natychmiast rozróżnił ślady stóp, które przechodziły przez park.

— Ślady stóp? — pytała piękna Angielka — Ja nic nie widzę.

— Wierzę, miss Amy — orzekł Sternau. — Do tego trzeba rzeczywiście oka Indianina lub doświadczonego myśliwego, by po położeniu pojedynczych ziarenek piasku móc zbadać, że tę mało uczęszczaną ścieżką dzisiaj w nocy deptało parę osób.

— Dzisiejszej nocy? Ależ to zakrawa na jakąś awanturę.

— To nie jest tak oczywiste — odrzekł śmiejąc się i podtrzymawszy ją za ramię mówił dalej: — proszę uważać.

Wskazał na prawie niewidoczny ślad i zapytał:

— Proszę się bacznie przyglądać. Czy rozpoznaje pani w tym miejscu, że piasek został zgnieciony stopami?

— Rzeczywiście, widzę odcisk w piasku. Więc pan myśli, że to ślad stopy?

— Tak, nawet pani powiem, że pochodzi on od buta o niskim, a bardzo szerokim obcasie. Takich butów używają ludzie mieszkający nad wodą, rybacy lub żeglarze. A tu jest widoczny odcisk drugiego buta, zupełnie taki sam, jak pierwszy. Dalej na prawo widzi pani wiele innych odcisków, co dowodzi, że przechodziło tędy kilku mężczyzn. Jeżeli się zaś bacznie spojrzy na odciski krawędzi, można wywnioskować, że stało się to zaraz po zapadnięciu zmierzchu.

— Ależ takich butów nie nosi żaden tutejszy służący — zauważyła dziewczyna.

— Można więc wnioskować, że byli to ludzie obcy; rzeczywiście historia ta zaczyna wyglądać podejrzanie.

— Czy to możliwe? — zapytała przestraszona.

— Nie inaczej. Wyszli z zamku, zbadajmy przez które drzwi.

Idąc za śladem, doszli do tylnego wyjścia zaniku, przez które wczoraj wchodzili i wychodzili majtkowie.

— Aha! Proszę patrzeć! — zawołał Sternau. — Nie myliłem się, w zamku byli obcy. To daje coraz więcej do myślenia, teraz przyspieszymy kroku musimy jeszcze zbadać dokąd odeszli.

Pospieszili śladem w głąb parku. Amy była coraz bardziej zaciekawiona. Podziwiała bystrość oka swego towarzysza, którego uwagi nie uszedł nawet najdrobniejszy szczegół. Gdy doszedłszy do miejsca w który ścieżka rozszerzała się a piasek pokryty był jeszcze rosą, zawołał:

— A, to ciekawe, jakiś mieszkaniec zamku był z tymi obcymi, proszę tylko spojrzeć, ten odcisk pochodzi z eleganckiego męskiego buta. Musze go wymierzyć.

Wyjął kartkę z gazety, którą miał przy sobie i odrysował dokładnie całą stopę.

— Tak, to było jedno — rzekł — a teraz proszę spojrzeć tutaj. Tędy szło dwóch ludzi; jeden za drugim i całkiem wyraźnie widać, że obcasy ich butów o wiele głębiej wbiły się w ziemię, niż podeszwy.

— Rzeczywiście, sir!

— Stąpali tędy ciężej i mocnej niż inni, musieli więc nieść jakiś ciężar i to nie lada, ale dalej.

Kroczył za śladem w milczeniu, nagle przystanął i zawołał ze zdumieniem:

— A tu stał wóz.

— Cóżby tu, pomiędzy krzakami robił wóz? — zapytała.

— To dość dziwne, ale nie ma wątpliwości, ślady kół są wyraźne? Tutaj właśnie kończy się park. Do wozu były zaprzęgnięte dwa konie, a tu przed wozem zrzuciono ciężar.

Pochylił się nisko, by dokładnie zbadać odcisk ciężaru, jednak mech podniósł się już prawie zupełnie i zdawało się, że już nic nie odkryje. Wtem jego wzrok padł na krzak tarniny, wyciągnął więc rękę i zdjął coś delikatnie z kolca, zbladł i przerażony wykrzyknął:

— Czy nie widzi pani co to za ciężar z zamku nieśli i tutaj na wóz wyładowali?

— Pan mnie przeraża! — odpowiedziała Amy. — Co to było?

— Człowiek.

— Człowiek... to niemożliwe.

— Ale właśnie tak jest. Widzi pani tych kilka włosów, które zaczepiły o kolce krzaków, gdy go tutaj rzucili. Proszę zobaczyć j długie i czarne, prawie takie jak porucznika.

Teraz z kolei zbladła Amy.



— Seniora de Lautreville? — zapytała przerażona. — Sir, miłość Boga, spieszmy, może rzeczywiście jakieś nieszczęście, jakaś zbrodnia została popełniona. Musimy to sprawdzić!

— No cóż — odpowiedział. — Jest to bezsprzecznie bardzo podejrzane, ale o zbrodni nie można jeszcze wyrokować. Nie znajdujemy się przecież na dzikiej amerykańskiej prerii, tutaj panują zupełnie inne stosunki i myślę, że to tylko poszukiwania za ślad tak panią rozgorączkowały.

— Czy to aby zupełnie inne stosunki, jeżeli w parku zamkowym napadają na pana, a na mnie i na hrabiankę na drodze?

— Słusznie — odrzekł. — Chodźmy zbadać te dziwne okoliczności.

Pospieszyli do zamku, w którym wrzało już życie, myślano, że wszyscy już wstali.

— Proszę, miss Amy, niech pani o naszym odkryciu nikomu nie wspomina. Przede wszystkim musimy uważać na hrabiego, którego nie wolno denerwować. Proszę się udać do salonu i tak długo zachować milczenie, dopóki ja się nie zjawię.

Otrzymawszy obietnicę, udał się do portiera, gdzie, jak wiedział, o tej porze znajdować się powinno obuwie wszystkich mieszkańców, zostawione do czyszczenia. Wkrótce znalazł but, który znakomicie pasował do sporządzonego rysunku.

— Czyje to buty? — zapytał portiera.

— Seniora Gasparina Kortejo — brzmiała odpowiedź.

Teraz Sternau udał się do kasztelana, by razem poprowadzić dalsze poszukiwania. Dowiedział się, że wszyscy, oprócz porucznika dawno wstali.

— Chodźmy, panie kasztelanie, musimy go zbudzić — rzekł rozkazującym tonem.

— Zbudzić? — spytał Juan zdziwiony. — Czy nie weźmie nam tego za złe, że przeszkadzamy mu w odpoczynku?

— Nie.

Mieszkanie porucznika znaleźli otwarte i puste. W sypialni stało nietknięte łóżko a wszędzie panował nieporządek. Na podłodze leżał kawałek silnego sznura, którego używają marynarze.

Sternau miał pewność, że porucznika musiało spotkać coś złego. Nie namyślając się długo udał się do pomieszczeń Korteja i bez zapowiedzenia się zapukał do pokoju. Adwokat właśnie palił ranne cygaro i zdziwiony tak wczesną wizytą, zapytał:

— A. senior Sternau, czym mogę służyć?

— Pewnym wyjaśnieniem — odpowiedział.

— Proszę mówić, ale krótko, gdyż nie jestem przyzwyczajony, by zakłócano mi spokój.

W słowach tych brzmiała nienawiść. Sternau jednak nie dał się onieśmielić, wbił badawczy wzrok w notariusza i rzekł:

— Nie będę pana długo trudził, proszę tylko równie krótko odpowiedzieć, gdzie jest porucznik de Lautreville?

Na to pytanie adwokat nie był przygotowany. Zbladł i parę sekund trwało zanim przyszedł da siebie.

— Senior Sternau, mnie się zdaje, że pan pomyli się co do pokoju. Cóż mnie może obchodzić Lautreville? — odrzekł.

— W każdym razie tyle co każdego innego mieszkańca zamku, przepadł bowiem i nie można go znaleźć.

— Przepadł? To proszę go szukać, senior. Jeżeli rzeczywiście zniknął, to mnie to nie dziwi. Już na początku uważałem go za awanturnika — brzmiała szydercza odpowiedź.

— Tu byli i inni awanturnicy, nie tylko porucznik Lautreville — odparł Sternau spokojnie. — Co to za ludzie byli, z którymi go napadliście i zanieśliście do wozu czekającego w parku?

Gdyby piorun spadł z nieba nie przeraziłby bardziej adwokata. Był pewny, że nikt go nie widział. Przestraszony oparł się ręką o krzesło, a umysł pracował mu z natężeniem. W momencie uświadomił sobie, że nikt go nie mógł widzieć, więc pytanie Sternau musiało opierać się tylko na przypuszczeniach. Myśl ta uspokoiła go i odparł z udaną obojętnością.

— Pan zwariował, senior. Skąd taka myśl przyszła panu do głowy? Proszę odejść, inaczej będę musiał poradzić sobie z panem inaczej!

Sternau uśmiechnął się na tę groźbę i odparł:

— Senior Kortejo, bądźmy szczerzy. Od pierwszej chwili jak pana poznałem, to pokochałem. Po dłuższej obserwacji doszedłem do przekonania, że pan całkowicie na tę miłość zasługuje. Nie chcę teraz omawiać wszystkich powodów tego uczucia, dodam tylko, jeżeli ta miłość wzrośnie i nie będę mógł się pohamować, to proszę mi nie wziąć za złe, jeśli w przyływie nadmiernego uczucia, tymi oto rękami obejmę pana i... uduszę. Jak mi Bóg miły, ja nie żartuję!

Skłoniwszy się opuścił pokój.

Notariusz pozostał w usposobieniu nie do pozazdroszczenia.

— Co to znaczy? — pytał sam siebie. — Ten człowiek mnie przejrzał. Muszę go unieszkodliwić. Skąd on wie, że ktoś obcy był w zamku, że zanieśli porucznika do wozu i że ja byłem przy tym? Muszę mu jeszcze dziś podać te truciznę. Znowu nad moją głową gromadzą się chmury, ale będę umiał je rozpędzić. Hrabia również dostanie parę kropel. Właściwie powinienem go zabić, ale muszę się przekonać, czy ta trucizna rzeczywiście ma

takie działanie o jakim opowiadał kapitan. Zresztą obłąd jest lepszy od śmierci. Takiego obłąkańca będzie należało oddać pod kuratelę i wtedy Alfonso obejmie po nim ten ogromny majątek. Muszę zwyciężyć!

Tymczasem doktor Sternau zebrał w salonie prawie wszystkich mieszkańców zamku i wyjaśnił co zaszło. Wieść o tym, że porucznik został najprawdopodobniej porwany wywołała panikę. Podejrzenia co do współudziału w tym porwaniu notariusza doktor zostawił dla siebie.

Najbardziej przeraziło to Amy. Ze łzami w oczach prosiła doktora, by wszelkimi sposobami starł się wyjaśnić tę tajemnicę. Postanowiono, że hrabia nie może się o niczym dowiedzieć i ustalono zasady działania.

Sternau przystał na to, jednak postanowił niczego nie zaniedbywać. Pozostawił hrabiego opiece Róży, a sam udał się na jeden dzień do Barcelony. Rozkazał osiodłać sobie konia i w pośpiechu opuścił zamek.

Notariusz, Alfonso i Klarysa też byli obecni na zebraniu i dowiedzieli się, dlaczego Sternau rzucił podejrzenia na adwokata. Notariusz postanowił go śledzić. Przekonał się, że lekarz skierował swe kroki w stronę wioski, a potem zawrócił z drogi do miejsca, gdzie odkrył ślady wozu. Kortejo postanowił działać.

Zawrócił i gdy wszedł do zamku zauważył służącego niosącego czekoladę hrabiemu. Pospieszył do swego pokoju i porwał flaszeczkę, którą otrzymał od Landoli, zabrał także teczkę z aktami i udał się do hrabiego.

Emanuel Rodriganda siedział przy stole i jadł śniadanie, wyglądał dobrze i był w znakomitym humorze. Skoro tylko zobaczył notariusza zawołał:

— Dzień dobry Kortejo, przychodzisz jak na zawołanie, właśnie po śniadaniu miałem po ciebie posłać.

— Jestem zawsze gotowy, na każde skinienie wielmożnego pana — odrzekł najpokorniej, jak tylko można, nisko się przy tym kłaniając.

— Jestem o tym przekonany, Kortejo, długo i uczciwie służysz mnie i memu domowi, sądzę, że przyjdzie czas, kiedy będę mógł ci się odwdzięczyć. Musiałem nie raz być przykrym, ale to z powodu mych dolegliwości, ale pamiętaj, że zawsze byłem ci przychylny. Powiedz, czy masz jakąś prośbę?

— Tak, łaskawy panie.

— Powiedz tylko, a ja chętnie wyświadczę ci tę przysługę.

— Don Emanuelu, nie mam życzeń dotyczących mojej osoby — odpowiedział dumnie. — Moja prośba dotyczy tylko interesów. Czy mogę odczytać program kontraktu dla dzierżawcy?

— Hm! Chciałbym sam spróbować odczytać. Doktor Sternau wyjechał do Barcelony, więc nie będzie widział, że nie jestem posłuszny. Podaj mi kartkę.

Kortejo podał tekę z aktami lekko drżącą ręką. Słowa hrabiego przeraziły go. Więc lekarz pojechał do Barcelony? Dlaczego? Czyżby wiedział, że to tam przetransportowano porucznika? Kortejo postanowił, że pojedzie za nim, a gdy nadarzy się okazja to go zgładzi.

Hrabia przekonał się, że rozróżnia litery i z tej radości czytał głośno, jakby chciał usłyszeć własny głos.

Kortejo prędko wydobyl z kieszeni flaszeczkę i delikatnie odliczywszy dwie krople trucizny wlał ją do filiżanki z czekoladą.

Hrabia gdy skończył czytać umowę rzekł:

— W zupełności zgadzam się z tym kontraktem.

Następnie podszedł do stołu, by kontynuować śniadanie. Podniósł filiżankę do ust i opróżniwszy jej zawartość do ostatniej kropli postawił na stole.

Notariusz odetchnął i spytał słuźalczym głosem, czy hrabia aby nie ma jeszcze jakiś życzeń.

— Tak mam małą pracę do ciebie, senior Kortejo — odpowie dział. — Chodzi o przygotowanie umowy dla doktora Sternau. Chciałbym go wszelkimi możliwymi sposobami zatrzymać, więc przygotuj umowę, w której wyznaczysz pensję na trzy tysiące duros.

— Jeszcze dzisiaj będzie gotowa, łaskawy panie hrabio. Czy; mogę się ośmielić spytać, czy do tej pensji ma być wliczone i mieszkanie w zamku?

— Oczywiście. Czy uważasz, że to korzystne warunki?

— O tak..

— Senior Sternau zasłużył na to, ale zachodzi pytanie, czy zgodzi się i zostanie u nas? Teraz to już wszystko, możecie odejść, senior.

Adwokat oddalił się, a gdy tylko znalazł się u siebie z gniewem rzucił aktami o stół i zawołał szyderczo:

— Trzy tysiące duros, mógłby żyć sobie jak baron, gdybym mu tylko taką umowę przygotował. Muszę teraz pędzić za nim do Barcelony. Podczas mojej nieobecności trucizna zacznie działać, a ja jako nieobecny będę poza podejrzeniami.

Po jakimś czasie kasztelan wszedł do pokoju hrabiego. Widok jaki tam zastał przejął go taką grozą, że chciał uciekać.

Hrabia kulił się w najciemniejszym kącie pokoju i z wielkim przerażeniem w oczach skomlał jak pies:

— O nie róbcie mi nic złego — błagał. — Niczego... tak niczego... ja... ja... ja nie wiem, nie wiem kim jestem!

Kasztelan nie był bohaterem, ale miłość do hrabiego powstrzymała go od ucieczki.

— Łaskawy panie! Hrabio! Don Emanuelu! — wołał. — To ja, przychodzę zapytać...

— Nie pytajcie mnie o nic — błagał hrabia nie dając mu dalej mówić. — Ja nic nie wiem, nic nie wiem!

— O Boże mój! Co tu się stało? — zawołał kasztelan — Mój drogi panie, don Emanuelu, proszę wstać, albo proszę pozwolić, że panu pomogę!

Podszedł ku hrabiemu, ten jednak jeszcze bardziej wsunął się w kat i wyciągając obie ręce, krzyczał:

— Zostańcie tam, tam daleko! Nie róbcie mi nic złego, niczego ja nie wiem, niczego, nic nie wiem!

— Ależ wielmożny panie hrabio, czy pan hrabia mnie nie poznaje, ja jestem przecież pański kasztelan, Alimpo!

— Alimpo? A... a... lim... po? — pytał hrabia z namysłem i powoli dodał: — Alimpo, aha, całkiem słusznie, ja jestem kasztelan Alimpo. O tak teraz już wiem, jestem Alimpo.

Jego oczy nabrały żywszego blasku, po czym powoli zaczął spacerować po komnacie, nie zważając zupełnie na obecność kasztelana, powtarzając tylko co jakiś czas to samo zdanie:

— Tak, tak, ja jestem wierny Alimpo. Teraz wiem dokładnie, nazywam się Alimpo.

Kasztelan nie mógł dłużej wytrzymać i uciekł do swej Elwiry. Nie miał nikogo innego, komu mógł opowiedzieć o tym, co ujrzał. Zastał ją przy prasowaniu bielizny, ale nie zważając zawołał:

— Elwira!

— Czego chcesz?

— O moja Elwiro!

Teraz dopiero podniosła oczy, a widząc swego męża upuściła żelazko na ziemię.

— O Boże! — poczęła zawodzić. — Co się stało, dlaczego jesteś taki wystraszony, mój drogi mężu.

— Ja jestem całkowicie zrozpaczony — jęczał.

— Ale dlaczego?

— Ach, łaskawy nasz pan hrabia...

— Co jest? Co mu się stało?

— On, on... och, on dostał pomieszania zmysłów!

Elwira stanęła jak wryta, otworzyła usta, ale słowa nie mogło przecisnąć się jej przez gardło, stała więc z otwartymi ustami nie poruszając nawet palcem.

— Tak, mówię prawdę, chwyciło go obłąkanie.

Teraz dopiero Elwira odzyskała mowę i zawołała oburzonym tonem:

— Mój drogi Juanie, czy to aby tu nie zwariowałeś?

— Ja? — zawołał już prawie ze złością. — Moja droga Elwiro, grubo się mylisz, bo to hrabia postradał zmysły.

— Któż ci takich głupstw nagadał? — pytała z miną egzaminatora.

— Nikt. Sam widziałem. Chodź tylko moja droga, przekonasz się, że mówię prawdę.

Gdy weszli do apartamentów zastali hrabiego chodzącego po pokoju cichym, niepewnym krokiem i ciągle powtarzającego jedno, i to samo:

— Tak, tak, nie róbcie mi niczego, bo ja już teraz wiem kim jestem, jestem Alimpo.

Wyglądał przy tym tak strasznie, że nie można było wątpić, iż to obłąkanie. Gdy Elwira to zobaczyła, załamała ręce i poczęła krzyczeć:

— O Boże! To prawda, on postradał zmysły.

Hrabia usłyszał jej krzyk, odwrócił się i popatrzywszy szklanymi oczami rzekł:

— Zwariował? Kto? Ja jestem Alimpo, tak Alimpo.

I znowu rozpoczął swą wędrówkę po pokoju.

— Biegnij, biegnij co tchu, Juanie — jęczała kasztelanowa — Natychmiast zawołaj naszą panienkę, niech przychodzi natychmiast.

Zastał hrabiankę w pokoju przyjaciółki. Dziewczęta natychmiast poznały, że stało się coś złego. Róża spytała:

— Skąd ten pośpiech? Czy stało się coś nowego?

— O moja dobra, łaskawa hrabianko, proszę się tylko nie przestraszyć!

— Boże, co za wstęp? — spytała przestraszona. — Mów prędko, Alimpo, co się stało?

— Coś strasznego, coś bardzo strasznego. Ktoś, ktoś zwariował... — wyszeptał wreszcie.

— Chcesz powiedzieć, że dostał pomieszania zmysłów? — pytała z niedowierzaniem.

— Tak, pomieszania zmysłów dostał — potwierdził potakując.

— To niemożliwe, pomieszanie zmysłów nie przychodzi z niczego i nagle.

— Ale tak jest, moja Elwira powiada to samo — odrzekł przekonująco.

— Ale o kim ty mówisz?

— O, moja droga panienko! Proszę wybaczyć, że muszę to pani powiedzieć. Wiem, że to panią bardzo zaboli, ale muszę wreszcie powiedzieć. Ja mam na myśli hrabiego Emanuela.

— Co? Mojego ojca? — pytała drętwiejąc ze strachu. — Alimpo. tu musiała zajść jakaś niewybaczalna pomyłka!

— Nie, nie! — obstawał przy swoim. — Don Emanuel dostał pomieszania zmysłów. Moja Elwira jest teraz przy nim.

— Jak się to pomieszanie objawia? — pytała Róża uśmiechając się niedowierzająco.

— On skomlał jak pies w samym kącie pokoju. Gdy wszedłem do niego miał oczy pełne strachu jęczał i prosił mnie bym mu niczego nie robił, zapomniał zupełnie kim jest, teraz zaś zdaje mu się, że jest mną, chodzi i powtarza, że jest kasztelanem Alimpo, wiernym Alimpo.

Nadal patrzyła z niedowierzaniem, aż nagle chwyciła przyjaciółkę za rękę i nie mówiąc słowa szybko wybiegła. Gdy weszli do pokoju, kasztelanowa siedziała bez ruchu, a hrabia chodził po pokoju, powtarzając ciągle te same słowa.

Czarne płatki zaczęły jej skakać przed oczami Róży, rękoma szukała oparcia. Opanowała się jednak i podbiegła do ojca.

— Na miłość boską, ojczy? Co z tobą? — wołała.

Stanął i patrzył na nią swym mglistym, zmartwionym wzrokiem.

— Co jest z tobą? — pytał — Ja nie wiem, nie rób mi tylko niczego złego, ja jestem wierny Alimpo.

Wypowiadał te słowa monotonicznie, bez żadnego uczucia.

— Ojczy, ojczy! Co się stało? Słaby jesteś? Czy mnie nie poznajesz?

— Poznawać? — pytał po cichu kręcąc głową. — Ja nie znam nikogo, ja jestem Alimpo.

— Nie ty nie jesteś Alimpo! Ty jesteś mój kochany, drogi ojciec! Chodź do mnie.

Z głośnym płaczem rzuciła mu się na szyję, poczęła rękami gładzić potargane włosy, całowała twarz i jego zimne ręce. Chciała przelać na niego całą swą miłość i rozpacz, daremnie. Pozostał zimny, a w końcu odtrącił ją od siebie i rzekł:

— Nie potrzebujesz mnie dusić! O, nie czyń mi niczego, ja wiem, tylko ja wiem kim jestem. Ja Alimpo, tak kasztelan Alimpo.

Róża z płaczem upadła na sofę. Amy również płacząc usiadła obok, kasztelan wraz z żoną szlochali na uboczu jak małe dzieci.

Hrabia stanął przed nimi, popatrzył znowu swym zimnym, bezdusznym okiem i rzekł:

— Nie płaczcie, ja wam przecież nic złego nie zrobiłem. Ja jestem wierny Alimpo.

— Boże, Boże, co czynić? — łkała rozpaczliwie Róża, nie mogąc się opanować.

— Może poprosić doktora Sternau? — powiedziała Amy. Róża jakby zelektryzowana porwała się z miejsca.

— Sternau, — zawołała — ach, jak mogłam o nim zapomnieć, przecież tylko on jeden może pomóc, ale pojechał do Barcelony. Juanie, wyślij za nim posłańca, niech zaraz wraca.

— Do Barcelony? — rzekł kasztelan biegnąc — Ale gdzie go tam znajdzie?

— Boże, sama nie wiem! Poślij trzech, czterech, pięciu posłańców, nich pędzą choćby konie miały paść pod nimi. Tylko prędko, każda minuta to życie.

Hrabia Alfonso stał przy oknie w pokoju Klarysy, gdy zauważyli pośpieszną eskapadę.

— Musiało się stać coś niezwykłego, matko, gdyż hrabia wysłała aż trzech kurierów.

— Dokąd?

— Tego nie wiem, ale jadą w kierunku Barcelony lub Mataro.

— Bądź tak miły, synu i dowiedzieć się o przyczynę. W naszym położeniu wszystko może być ważne.

Alfonso otworzył okno i skinął na kasztelana.

— Kto wysłał tych jeźdźców? — zapytał.

— Ja, łaskawy panie — odparł Alimpo.

— Dokąd?

— Do Barcelony, hrabianka kazała.

— A cóż ta trójka ma do roboty w Barcelonie?

— Mają szukać senior Sternau.

— A po co go mają szukać? — pytał hrabia dalej.

— Wielmożny pan hrabia, don Emanuel zasłabł nagle.

— A co się stało?

— Sądzę, że dostał pomieszania zmysłów.

— Pomieszania zmysłów? Do stu piorunów! — zaklął udając zmartwionego. — Dobrze, natychmiast tam idę.

Zaledwie Alfonso zamknął okno, gdy „pobożna siostrzyczka” schwyciwszy hrabiego za rękę, poczęła krzyczeć w radosnym uniesieniu:

— Wygraliśmy, Alfonso wygraliśmy! Wiesz kto zrobił, że hrabia zwariował.

— Kto taki?

— Twój ojciec.

— To niemożliwe, jak można człowieka, który jeszcze przed godziną był zupełnie zdrow, tak nagle zrobić wariatem?

— Można. Twój ojciec nie powiedział mi wprawdzie szczegółów, ale powiedział tylko, że dziś się stanie coś z hrabią.



— Do stu diabłów. To dopiero osiągnięcie! Bez morderstwa stałem się spadkobiercą całego majątku.

— Tak. Idź zaraz na dół, mój synu i obejmij władzę, która się tobie tylko należy. Panu niech będzie chwała!

Alfonso udał się do pokoju hrabiego. Róża przyszła już do siebie i usiłowała choć jedno rozumne słowo wydobyć z ojca. Amy starała się jej pomóc, a kasztelanowa siedziała na uboczu zalewając się łzami.

— Co tu się stało? — zapytał Alfonso wchodząc.

— Wyobraź sobie drogi bracie, ojciec zasnął tak nagle i cały czas mówi od rzeczy — odrzekła podchodząc do przybyłego.

— To rzeczywiście bardzo nieszczęśliwy wypadek — rzekł tonem, który miał wyrazić synowskie uczucie, ale zabrzmiał tak zimno, że Róża opuściła wyciągnięte w jego stronę ramiona.

— I dlatego wysłała się posłańców do Sternau, a syna nie uważa się za stosowne nawet zawiadomić?

— Sternau jest przecież lekarzem — usprawiedliwiała się Róża. A lekarz w takim wypadku jest bardziej potrzebny, niż ktokolwiek inny.

— Rzeczywiście? — pytał z impertynenckim uśmiechem. — Ja myślę, że w takich przypadkach syna pierwszego należy powiadomić. Zresztą jeśli się nie mylę, doktor Sternau jest chirurgiem.

— Oczywiście.

— Czy może jest też psychiatra?

— Nie pytałam go o to, sądzę jednak, że można na jego doświadczeniu polegać i z ufnością powierzyć mu ojca.

— O ufności nie ma tu mowy. Sternau nie będzie nadal leczyć ojca, ja poślę do Manresy po doktora Ciellego.

Róża wyciągnęła ręce jakby broniąc się i rzekła:

— Ja absolutnie na to nie pozwolę. Ojciec nie miał zaufania do doktora Ciellego.

— Ale ja jako spadkobierca mam tu prawo rozkazywać.

— Wobec tego strasznego wypadku, już myślisz o spuściźnie, dobrze. Poczekaj chwilę!

W momencie znikła jej nieśmiałość. Pewnym krokiem podeszła do bocznej sali, gdzie stała szafa hrabiego z bronią, wyjęła z niej nabity rewolwer, następnie rzekła rozkazującym tonem:

— O tym kto ma być spadkobiercą i kto ma prawo rozkazywania zadecyduje przyszłość. Do powrotu doktora Sternau biorę ojca pod swoją opiekę.

— A ja ci powiadam, że Sternau nie przekroczy już tego progu — odrzekł Alfonso. — Co ma znaczyć ten rewolwer?

— Każdego, kto bez mego pozwolenia odważy się wejść do tego pokoju, zastrzelę na miejscu.

— Czy może i mnie zastrzelisz? — śmiał się ironicznie.

— Tak, ciebie też! — odrzekła groźnie.

— Nie bądź głupia, oddaj broń!

Podszedł do niej, lecz ona podniosła rewolwer.

— Cofnij się! Inaczej cię zastrzelę! Ja nie żartuję! Elwiro, idź po służbę!

Kasztelanowa podniosła, lecz hrabia krzyknął:

— Proszę zostać! Nie potrzebujemy służby. Poczciwa kasztelanowa z energią godną podziwu odparła:

— Mam obowiązek słuchać mojej pani, nie pana!

Z tymi słowami opuściła pokój. Młody hrabia zwrócił się do Amy, która w milczeniu podziwiała swą przyjaciółkę.

— Proszę powiedzieć, miss Amy, czy to nie dziecinne postępowanie?

Zapytana zarumieniła się z gniewu i odparła:

— Panie hrabio! Postępowanie mojej przyjaciółki jest tylko wtedy dziecinne, gdy rozpatrujemy jako przywiązanie dziecka do ojca. Ona obroni swego nieszczęśliwego, chorego ojca przed bezdusnością innych. Zresztą nie masz prawa mówić do mnie po imieniu, na to nigdy panu nie pozwoliłam. Dla pana jestem seniorita Lindsay i tak raz na zawsze życzę sobie być przez pana nazywaną.

— Pani wyraźnie zapomina, że jest tu tylko gościem. — zasyczał.

— Tak gościem, ale nie pana i to mnie pociesza oraz uspakaja.

— Od tej chwili moim, bo ojciec jako szalony jest pod kuratelą.

W tej chwili weszła Elwira, donosząc, że służba czeka w przedpokoju.

Róża zwróciła się do Alfonso:

— Teraz zechciej nas opuścić, bo będę musiała ci pokazać czyich rozkazów, służba więcej słucha.

Wiedział, że nie pozostaje mu nic innego jak się wycofać i że przegrałby, gdyby się dalej opierał, więc tylko odrzekł z pogardą:

— Nowy hrabia de Rodriganda–Sevilla nie potrzebuje ze służbą wchodzić w konflikty, jako taki potrafię w godny sobie zapewnić posłuszeństwo. Do widzenia! — i opuścił pomieszczenie.

— Elwiro, pragnę, aby służba tylko moje rozkazy uwzględniała, co dalej będzie nie wiem, musimy cierpliwie czekać — rzekła hrabianka ze spokojem.

— Zaraz wszystkim powiem — rzekła kasztelanowa, — a czy niczego więcej nie potrzeba?

— Nie. Proszę dopilnować, by te pokoje zostały zamknięte. Będę starała się położyć ojca do łóżka. Mam nadzieję, że sen i zimne okłady uspokoją go.

W tym samym czasie notariusz jechał do Barcelony, wybrał skrót, o którym Sternau nie wiedział. Musiał być w Barcelonie przed doktorem.

Kroki swe skierował do hotelu „L’Homme Grand”, gdyż w nim marynarze wynajęli powóz, a następnie udał się do portu, by odszukać kapitana Landola, którego zastał na pokładzie.

— A, senior Kortejo, nie myślałem, że mnie pan tak prędko odwiedzisz, cieszy mnie to bardzo.

— Dlaczego?

— Bo jestem gotowy i w każdej chwili mogę wypłynąć.

— To dobrze, to bardzo dobrze!

— Bardzo dobrze? Czy stało się może coś?

— Chyba nie. Jednak muszę panu powiedzieć, że zauważono wasz wóz i domyślono się kogo pan zabrał. Za godzinę może przyjedzie pewien mężczyzna, który szuka pana śladów.

— Wspaniale. Może wskoczyć za mną do wody i popłynąć. Ma pan czas, abyśmy zakończyli rachunki?

— Mam.

— No to za trzy kwadranse jesteśmy gotowi, a potem na morze, właśnie nadchodzi odpływ.

— A co porabia nasz więzień?

— Zabawia się znakomicie. Leży związany pod pokładem, nie mogąc ani mówić, ani jeść, ani pić.

— Zabieracie go rzeczywiście do Indii?

— Sprzedam go na Borneo, tak postanowiłem. Proszę więc do kajuty, senior!

Po pół godziny Kortejo stał na nabrzeżu, a „La Pendola” odbijał od brzegu w daleką podróż.

## Boże Narodzenie więźnia

Jak tylko Sternau opuścił zamek, wiódł go ślad wozu, za którym jechał ku wielkiemu gościńcowi, co łączył Leridę z Barceloną. Tutaj pośród wielu innych podobnych wytłoczeń na drodze zgubił ślad i dalsze odszukiwanie było niemożliwe.'

Na szczęście obok drogi z Rodrigandy na pastwisku jakiś pastuch pasł swoje owce. Sternau skierował konia w jego stronę i po krótkim pozdrowieniu zapytał:

— Czy spałeś poprzedniej nocy, tu na pastwisku?

— Tak, senior.

Lekarz wyjął srebrną monetę i pytał dalej:

— Czy w czasie nocy jechało wtedy wiele wozów?

— Nie, tylko jeden przejeżdżał tędy.

— A dokąd się skierował?

— Do Rodrigandy.

— Kiedy to było?

— Godzinę przed północą, a może wcześniej.

— Czy wracał tą samą drogą?

— Tak, jakieś dwie godziny później.

— Kto w nim siedział?

— Paru ludzi.

— Czy wiesz to na pewno?

— Tak, bo właśnie koło drogi roznieciłem ognisko, by sobie upiec parę kasztanów, widziałem więc dokładnie.

— A czy nie widziałeś, jak wyglądali ci ludzie co siedzieli wozie?

— Przejeżdżali tędy dość prędko, ale jeśli się nie mylę to mieli i sobie bluzy i czapki, jakie się widzi u marynarzy.

— Dobrze ci, zostań z Bogiem — dał mu w podzięcie monetę i pojechał dalej.

Po jakiś trzech godzinach przybył przed samotnie stojącą gospodę. Gospodarz był grzeczny i rozmowny, bo zaraz zaczął rozprawa z gościem o tysiącu rzeczach, które jednak doktora wcale nie zajmowały, w końcu zapytał go ciekawie:

— Dokąd senior chce jechać? Może do Barcelony?

— Może.

— Więc jeszcze niepewny cel?

— Nie.

— Aha! Zatrudnienia w drodze, nieprawdaż?

— Właściwie nie, szukam tylko kogoś.

— Gdzie?

— Tu, na gościńcu.

— O Boże, taki inteligentny senior, szuka kogoś na gościńcu — zaśmiał się gadatliwy gospodarz.

— To nie to. Szukam jednego wozu, który tędy przejeżdżał.

— Wozu? Hm, może go i widziałem, jestem już stary i nie potrafię wiele zrobić, więc siedzę sobie przy oknie, co to był za wóz?

— Zaprzęgnięty był w dwa konie, a siedziało na nim paru ludzi ubranych jak marynarze.

— Aha! — potakiwał stary — Kiedy to było?

— Jakieś trzy godziny przed północą jechał od strony Barcelony, a jakieś cztery godziny później wracali tędy.

— Całkiem słusznie — potakiwał gospodarz.

— Widzieliście ich może?

— Tak, senior.

— Jak przejeżdżali?

— To nie, bo ciemno było, gdy przejeżdżali, więc nie mogłem ich widzieć. Ale jak pierwszy raz tędy jechali, wstąpili do mnie.

— Wszyscy?

— Wszyscy.

— Zapłacę wam, ale powiedzcie, czyj to był wóz?

Oczy starca zabłyśły radością. Gospoda jego była jedną z najmniejszych i uboższych, nie wyglądał na bogatego i każdy zarobek miał dla niego wartość.

— Ten wóz jest własnością jednego gospodarza z Barcelony.

— Którego?

— Jego dom to hotel...

— Czy nie mylicie się?

— O nie. Mogę przysiąc.

— Czy właściciel był z nimi?

— O! On nie jest głupi.

— Nie głupi? Jak to? Dlaczego?

— Z Landolą nie jest dobrze zakładać spółkę.

— Kto to jest ten Landola?

— Kapitan okrętu „La Pendóla”.

— Co ma wspólnego jakiś kapitan okrętu z wozem?

— Święta Madonno! Przecież on na nim siedział, nawet sam powoził. Zapewne jechał do Rodrigandy.

— Do hrabiego?

— Broń Boże.

— Do diabła, nie dajcie się tak ciągnąć za język, tylko opowiadajcie, co wiecie — zawołał Sternau zirytowany tymi krótkimi odpowiedziami.

— Senior, — rzekł gospodarz z flegmą — taka złota moneta to dużo, muszę za nią dużo opowiadać, dlatego musi pan również wiele pytać.

— Dobrze! — zaśmiał się lekarz. — Więc jak myślicie, do kogo ten Landola pojechał?

— Do Gasparino Korteja.

— Jak to? Ci dwaj się znają?

— Naturalnie, mają do załatwienia różne sprawy.

— Co za różne sprawy?

— Hm, tak bardzo czyste to one nie są. Landola, to podobno straszny człowiek. Życie ludzkie nic u niego nie znaczy. Jak wieść niesie ma to być rabuś morski, powiadają także, że od czasu do czasu handluje nawet ludźmi.

— I jego współnikiem jest Kortejo?

— Tak — kiwał głową stary.

— W jaki to sposób?

— Muszę wam wyjaśnić pewne sprawy senior. Zna pan hrabię Rodrigandę?

— Trochę.

— On jest niewidomy.

— Już nie jest.

— Święta Madonno, a więc to prawda? Słyszałem, że jego córka miała sprowadzić strasznie uczonego lekarza, który mu najpierw kamień żołądka wyleczył, a potem miał oczy otworzyć. Więc to nie było kłamstwo?

— Nie — uśmiechnął się Sternau.

— Ha, to musi być jakiś olbrzym wiedzy i nauki! Ale wracając do rzeczy, ten hrabia Emanuel de Rodriganda był niewidomy i we wszystkim musiał polegać na swym pełnomocniku. A hrabia jest nadzwyczaj bogaty.

— Słyszałem o tym.

— A ten jego pełnomocnik, mianowicie Gasparino Kortejo, to szubrawiec pierwszej wody.

— Moglibyście to przysiąc?

— Każdy to uczyni. No, a majątek taki wielki i ten oszust, pasują do siebie jak jagnię i sęp.

Dopóty szarpie, dopóki nic nie zostanie. Rozumiesz senior?

— Bardzo dobrze.

— Aby przypadkiem nikt nie zauważył jak Kortejo wzbogaca się kosztem majątku hrabiego, wdał się w spółkę z kapitanem Landolą i za zrabowane pieniądze prowadzi handel morski. Okręt kapitana jest własnością ich obu i wszelkie zyski dzielą po połowie.

— Czy to pewne?

— Tak wieść niesie, zresztą i wczoraj, gdy u mnie byli, słyszałem niejedno słowo majtków, którzy cały czas coś szeptali.

— Czy nie słyszeliście, do kogo się wczoraj wybierali?

— A do kogóż mógł Landola jechać jak nie do Korteja?

— A jak wracali nie widzieliście ich?

— Nie.

— Dobrze, przyjacielu. Oto zapłata, zasłużyliście na nią.

Sternau zapłacił za swoje wino i właśnie miał wychodzić, gdy przed gospodę zajechał stajenny z Rodrigandy, który gdy spostrzegł konia lekarza, zatrzymał się, zeskoczył i wpadł do izby.

— Prawdziwe szczęście, że pana znalazłem, senior doktor! — wołał zaraz na wstępie ujrawszy lekarza.

— Szukacie mnie? — spytał Sternau.

— Tak jest.

— A to czemu?

— Wysłała mnie seniorka Róża. Wyjechało nas aż trzech i rozłączyliśmy się, by koniecznie pana znaleźć.

— To musi być jakaś nagła sprawa?

— Don Emanuel nagle zachorował.

— Niemożliwe, czy na oczy? — pytał Sternau przestraszony.

— Nie.

— No to co mu się stało.

— Tu zachorował — stajenny wskazał na głowę, tak aby karczmarz nie zauważył.

— Niemożliwe! To musi być jakaś pomyłka.

— Nie, senior, tak się stało.

— To musimy jechać jak najszybciej.

Gdy wyszli, Sternau wypytał stajennego o szczegóły. Dowiedział się również, że i notariusz opuścił zamek.

— Czy mogą obejść się teraz bez ciebie w zamku?

— Mogą.

— A czy chcesz pojechać do Barcelony w mojej sprawie?

— Bardzo chętnie, senior.

— To jedź! Rozglądnij się w porcie i dowiedz, kiedy statek kapitana Henryka Landoli zwany „La Pendola” podniesie kotwicę. Dasz radę?

— Z pewnością.

— Ale możliwe, że spotkasz Korteja w Barcelonie, w żadnym przypadku nie może się dowiedzieć po co przyjechaliście do Barcelony.

— Proszę się o nic nie martwić, senior.

— To jedź, czeka cię sowita nagroda, gdy przywieziesz jakąś odpowiedź.

Lekarz w pełnym galopie pocałował do Rodrigandy. Gdy zjawił się przy bramie powitał go sam kasztelan.

— O senior, jak to się mogło stać — narzekał. — Szalony, zupełnie szalony.

— Gdzie hrabia jest teraz?

— W swojej sypialni. Hrabianka Róża zamknęła się tam i nie wpuszcza nikogo niepowołanego. Hrabia Alfonso ogłosił się już panem Rodriganda i chciał sprowadzić doktora Ciellego, nie zezwoliła jednak na to.

Sternau skinął tylko głową i pobiegł po schodach na górę. Dwaj służący stojący na straży w przedpokoju wpuścili go natychmiast. Wszedłszy do pokoju, zobaczył hrabiego, który leżał na łóżku z obwiązaną głową. Tuż przy nim siedziała Róża cała skąpana we łzach, a obok niej Amy.

Róża, gdy tylko spostrzegła ukochanego, rzuciła się gwałtownie w jego objęcia. Nie powiedziała ani słowa. Sternau przycisnął ją do siebie, pocałował w czoło i poprosił szeptem:

— Zostaw mnie teraz, moje życie. Każda sekunda jest cenna.

— Tak, och tak! — odpowiedziała i cofnęła się parę kroków. — Na Boga, powiedz Karlosie, czy rzeczywiście jest stracony?

Przystąpił do chorego a twarz jego przybrała poważny wygląd. Zdjął chustkę z jego skroni, zbadał puls i poprosił obie damy, by opowiedziały, jak to się stało. Tymczasem hrabia ustawicznie powtarzał:



— Zostawcie mnie w spokoju, wiem przecież kim jestem. Jestem... jestem, ja jestem wierny Alimpo.

Sternau badał oddech i oczy chorego, żaden odruch nie zdradzał myśli cisnących mu się przy tym do głowy.

— Kim pan jest? — zapytał hrabiego.

— Jestem... jestem... Alimpo — odrzekł chory w zamyśleniu.

— To nieprawda — rzekł Sternau surowo. — Proszę sobie przypomnieć dobrze. Jesteś, jesteś kim?

— Jestem... jestem Alimpo — brzmiała błagalna odpowiedź.

— Milcz łotrze! Ty kłamiesz! — krzyknął doktor. — Nie jesteś Alimpo! Przyznaj się kim jesteś?

Przy tym uderzył pięścią w kant łóżka tak, aż obie damy bardzo się przelękły. Chory usiłował ukryć głowę pod kołdrą, lecz Sternau ściągnął mu ją z głowy i rozkazał groźnym tonem:

— No prędzej! Chcę wiedzieć kim jesteś!

— O Boże. serce mi pęka — szepnęła Róża.

Lekarz nakazał milczenie i nie nadal mierzył chorego groźnym spojrzeniem. Hrabia obracał się na wszystkie strony i w końcu wybełkotał odpowiedź:

— Miejcie, miejcie litość nade mną, wszak ja rzeczywiście jestem wasz wierny Alimpo.

Teraz dopiero lekarz pozostawił chorego a zwracając się do dam powiedział:

— Proszę o wybaczenie, ale nie mogłem inaczej. Proszę jak najprędzej przynieść mi wodę, chustki, naczynia do puszczenia krwi i do wymiotów.

— Jest jakieś niebezpieczeństwo? — zapytała Róża z trwogą. Nie otrzymała odpowiedzi, gdyż Sternau odsunął ją na bok i szybko wyszedł z pokoju.

— O mój Boże, nie ma ratunku! — szepnęła. — Pan Karlos nie krzychałby w innym wypadku, tak groźnie na mego ojca i nie odsunąłby mnie gwałtownie od siebie. Nie chce stracić ani chwili, to znak, że pomoc nie jest możliwa.

Gdy Sternau powrócił wszystko było już przy gotowane. Przyniósł ze sobą małą apteczkę, bandażę i inne niezbędne przedmioty.

— Co hrabia dzisiaj jadł? — zapytał.

— Tylko jedną filizankę czekolady — odpowiedziała Róża.

— Nic poza tym?

— Nie sędzę.

— Kto przygotowywał tę czekoladę?

— Ja.

— Kto mu ją to podał?

— Jeden ze służących.

— Don Emanuela chciano otruć.

Rzekł to z taką pewnością, że hrabianka upadła na fotel.

— O Boże, Boże! — załkała.

— Podano mu *pohm upas*, jedną z najstraszniejszych trucizn. Dobrze znam jej skutki. Powinienem właściwie ukryć to przed panią, mówię jednak otwarcie, bo chcę dowieść, że nie straciłem jeszcze nadziei. Proszę zawołać służących, gdyż potrzebuję ich pomocy.

Najpierw podano hrabiemu środki wymiotne, które zadziałały natychmiast, lecz tylko męczyły chorego, nie wydalając z jego organizmu, ani kropli zatrutej czekolady.

— Domyślałem się tego — rzekł Sternau — Upłynęło już pięć godzin od czasu spożycia trunku.

Potem upuścił pacjentowi tyle krwi ile tylko było można, aż wreszcie rozkazał, aby złapano kilka much. Pomimo zdziwienia, posłuchano polecenia. Muchy te zamknął w szklanym naczyniu, na spód którego wlał kilka kropli krwi hrabiego. Owady, łakomie ssały krew i już po chwili poczęły drzeć, kurczyć się, a w końcu zdechły. Kobiety śledzące działania lekarzy milczały przerażone. — Nie omyliłem się, to jest *pohom upas*. Istnieją różne odmiany tej trucizny, teraz chodzi o to aby znaleźć odpowiedni środek. Mieszanina, którą mam na myśli i którą poznałem, gdy przebywałem na Jawie, użyta w dwóch kroplach powoduje obłęd, pięć lub sześć pociąga za sobą śmierć. Hrabia otrzymał dwie i jestem przekonany, że chciano właśnie doprowadzić go do obłędu.

Słowa te wprowadziły przerażenie, a całe podejrzenia skierowano na służącego, który rano podawał hrabiemu śniadanie.

— Czy ojca będzie jeszcze można ocalić, doktorze? — spytała Róża z wyrazem największej troski.

— Sądzę, że można — odrzekł z ufnością. — Trucizna ta użyta w małej dawce, a taką podano hrabiemu, powoduje obłąkanie niszcząc pamięć. W chwili, gdy kasztelan zaszedł do hrabiego, don Emanuel znajdował się właśnie na etapie utraty pamięci. Zachował w niej tylko ostatnią osobę, którą widział. Dlatego tak uparcie twierdzi, że jest kasztelanem. Musiałem się przekonać, czy pamięć znikła zupełnie, czy też zostawiła choć małe ślady; dlatego tak surowo przemawiałem do niego, chciałem w nim nawet wzbudzić lęk. Jednak wszystko, daremnie. Dwie krople trucizny całkowicie, poprzez krwioobieg zostały rozprowadzone, doszły też do mózgu. Będę upuszczał krwi, co przyniesie ulgę, mam też osad musztardowy, ale to wszystko

zbyt mało. Brakuje mi jeszcze czegoś, a to mogę dostać tylko wtedy, gdy ktoś inny wyrazi gotowość poświęcenie się dla don Emanuela.

— Poświęcenia? — zapytała Róża. — Nie ma dla mnie nic cenniejszego, niż życie ojca.

— Łaskawa hrabianko, nie żądam od pani życia, ale tego co jest potrzebne i tak nie mogę dostać od kobiety, ale raczej od zdrowego i silnego mężczyzny. Człowiek ten rzeczywiście nie może się cofnąć przed niebezpieczeństwem utraty życia, przed niezwykłą boleścią, którą ten zabieg niesie.

— Szukaj go pan, szukaj! — zawołała Róża. — Sowiec go wynagrodzę. Jaki środek ma pan na myśli?

— Don Emanuela ocalić może jedynie piana wydzielona przez człowieka łaskotanego na śmierć. Piana ta należy do najsilniejszych trucizn i zmieszana z *capsieum* tworzy jedyne antidotum na *pohom upas*. Dla uspokojenia pani muszę zauważyć, że wystarczy zupełnie, jeśli człowieka łaskocze się tylko do pierwszego pojawienia się objawów wścieklizny. Gdyby w zamku znajdował się ktoś, kto potrafiłby odpowiednio postępować z łaskotanym, a potem przyrządzić lekarstwo, to sam poddałbym się temu procederowi. Lecz jako lekarz jestem potrzebny i dlatego musimy rozglądać się za człowiekiem, który podda się takim torturom.

— Czy znajdzie się ktoś taki? — powątpiewała hrabianka.

— Każ pani ogłosić to między mieszkańcami wioski i zamku. Musimy wyleczyć hrabiego. Jest nadzieja, że gdy wróci do zdrowia to przypomni sobie ostatnie chwile przed utratą pamięci, a to naprowadzi nas na ślad zbrodni.

— Ach! Obawiam się, że nikt się nie zgłosi, gdyż brzmi to zbyt strasznie — zauważyła Amy.

Wtem kasztelan, który cały czas pomagał doktorowi zwrócił się do swojej żony z pytaniem:

— Elwiro? Prawda, że lubisz naszego hrabiego?

— Nawet bardzo — odpowiedziała.

— A naszą hrabiankę także?

— O bardzo; wiesz przecież o tym, mój kochany Juanie.

— I uczyniłabyś wszystko, by sprawić im radość?

— Naturalnie, to zrozumiałe.

— No, to dobrze, moja Elwiro, bo ja się zgłaszam.

Wszyscy byli zaskoczeni postanowieniem, tego zwykle dość tchórzliwego mężczyzny. Oczy wszystkich zwróciły się na kasztelanową i z niecierpliwością oczekiwały na decyzję. Spostrzegła to i zwróciła się do męża, rzucając dokoła dumne spojrzenia.

— Juanie, — rzekła — wiem, że jesteś śmiały. Często nawet drżałam o ciebie i temperowałam cię całą swoją mocą. Teraz jednak] nie mam nic przeciwko temu. Daj się wziąć na tortury, ocalisz don Emanuela, a ją będę z ciebie bardzo dumna.

To było daleko pomyślniejsze niż można się było spodziewać, od tych dwojga ludzi. Doktor Sternau rzekł jednak z namysłem:

— Drogi panie, czy dobrze przemyśleliście tę decyzję.

— Bardzo dobrze.

— Czy macie pojęcie o mękach, jakie was czekają?

— Czytałem o tym kiedyś w jakiejś książce.

— I nie rezygnujecie?

— Nie i to samo zresztą powiada moja Elwira.

— Dobrze, zastanowię się. Muszę powiedzieć, że tej dawki przeciw truciźnie nie potrzebuję koniecznie dzisiaj. Hrabia musi przede wszystkim ponownie nabrać sił, a my w tym czasie damy ogłoszenie i może znajdzie się jeszcze ktoś chętny. Teraz proszę uważać na niego.

\* \* \*

Późnym popołudniem z Barcelony wracał notariusz. Niedaleko Rodrigandy zatrzymał konia, gdyż na leśnej polanie ujrzał mnóstwo namiotów i wozów, regularny obóz cygański.

— Czyżby mamusia Zarba? — zapytał sam siebie, ujrawszy starą kobietę, która kuciała obok ogniska. — Byłoby to wyjątkowo szczęśliwe spotkanie.

Tymczasem on też został zauważony i w jednej chwili otoczony został przez wrzaskliwą gromadkę.

— Czy ci powróżyć, senior? — zapytała jedna z dziewcząt.

— Idź, ja umiem to lepiej! — wołała stara kobieta.

— Panie, mały datek! — wołały dzieciaki, wieszając się na jego koniu.

Kortejo zaśmiał się szyderczo i kiwnął uprzejmie na jednego z mężczyzn.

— Czy to nie poczciwy Garbo? Czy mnie nie poznajesz?

Zagadnięty zbliżył się i popatrzył na mówiącego spod szerokiego ronda kapelusza.

— A, senior Kortejo! — zawołał. — Witajcie! Nie poznałem was. Nie macie może fajeczki nabitej tytoniem, dla biednego chłopca?

— Mam, a także coś więcej, jeżeli oczywiście chcesz zarobić.

— Dlaczego nie! Ja już sobie na parę ładnych groszy zasłużyłem u was. Czy macie może jakąś sprawę, senior?

— Tak.

— Łatwa czy trudna?

— Jeszcze nie wiem. Matusia Zarba jest?

— Jest siedzi przy ognisku.

— Widzę, przytrzymajcie mi konia.

Zsiadł i udał się do ogniska. W kotle gotowało się parę kur, królik, dynia i parę śledzi.

— Dobry wieczór! — pozdrowił starą.

Cyganka nie przerwała mieszania potrawy i nie odwracając się nawet zapytała krótko:

— Kto tam?

— Stary druh!

— Jak się nazywa?

— Będziesz widzieć, kiedy spojrzysz. Albo może stara róża Gitanów stała się taka dumna, że nie chce już nawet spojrzeć na swego dawnego wielbiciela?

Teraz dopiero powoli się obróciła. Wyjątkowo trudne zadanie miałby ten, który chciałby określić wiek starej kobiety. Jednak jeszcze teraz można było domyślać się, że kiedyś była to piękna dziewczyna.

— A, Kortejo — pozdrowiła go poufale.

Powoli podniosła się z klęczek. Ubrana była w same łachmany, ale postawa jej była dumna i rozkazująca.

— A więc żyjesz jeszcze? — zapytała mierząc go swymi błyszczącymi oczami. — Myślałam, że dawno trafił pan tam, gdzie jego miejsce.

— Niby gdzie?

— Do diabła.

— A! — zaśmiał się. — Widzę, że się nie zmieniłaś. — Zarba zostanie zawsze sobą.

— Jak długo tu jesteś?

— Tu, dopiero od poradnia.

— Rano was tu jeszcze nie widziałem. Powiedz mi, czy nadal jesteście przyjaciółmi?

— A jakże, — odrzekła — a może się zmieniliśmy.

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— Mnie także. Chyba mogło to się zdarzyć dlatego, że ostatnio bardzo skąpo pan nam zapłacił.

— Jesteś w dobrym humorze, stara — śmiał się — Gasparino zawsze płaci dobrze.

— Wiem o tym, — przytaknęła — ale wymaga za to trudnej i dyskretnej roboty.

— Tak, na przykład teraz.

— A masz pan sprawę?

— Może.

— Może. Co to znaczy?

— To znaczy, że spotkałem was całkiem niespodziewanie. Nie jestem więc przygotowany do wydawania poleceń.

— Ale myślicie, że jakieś by się znalazło?

— Pewnie, jeżeli tylko dojdziemy do porozumienia. Jakie teraz macie ceny. Przykładowo trup?

— Tysiąc duros.

— Zaginiony?

— Pięćset duros.

— Kasa, którą bierzecie nie otwierając?

— Pięćset.

— Oddać wam młodzieńca lub dziewczynę na przechowanie?

— Trzysta.

— Otworzyć grób?

— Sto.

— A, są to rzeczywiście ceny stare. Od kiedy was zabrakło musiałem godzić się z innymi.

— Wiem o tym — kiwnęła głową. — Z kapitanem. Jesteś zadowolony?

— Nie. Szkoda, że nie było was tu wcześniej.

— To spróbujmy teraz.

— Zobaczymy. A więc trup kosztuje tysiąc duros?

— Tak. Zwyczajny — mianowicie.

— A niezwykły?

— Tutaj kieruję się stanem i majątkiem.

— Na przykład... hrabia?

— Do stu tysięcy...! Nie będziesz pan przecież... — wskazała ręką w stronę Rodrigandy.

— Hm! Może i to być — odrzekł. — Trup czy tylko zniknięcie?

— Tego jeszcze nie wiem. Jaka byłaby cena?

— To jeszcze nie jest ustalone — zaśmiała się — Przychodzimy z okolicy...

— Z Rodrigandy?

— Tak.

— Czy ktoś z was był w zamku?

— Tak, ja sama?

— I co tam? Stało się coś nowego?

— O i to co jeszcze! Hrabia dostał napadu.

— Jakiego?

— Tego się nie dowiedziałam, ale mówiono, że niejaki doktor Sternau go uleczy.

— To mu przyjdzie z trudnością.

— Aha! Przeczuję już. Pan z pewnością wie coś w tej sprawie — badała Cyganka.

— Ba! Zapamiętaj sobie raz to nazwisko: Sternau. Tego człowieka może wkrótce poznasz.

Masz dzisiaj wieczorem czas?

— Mam.

— Czy możesz przyjść do parku?

— Chętnie. Dokąd dokładnie?

— Koło drzewa korkowego.

— To samo, które pamiętam z młodości? Dobrze, przyjdę. Rozmowa toczyła się w cztery oczy, bo Cyganie szanowali swą królową i nie odważyli się przeszkadzać jej. Teraz, kiedy adwokat wrócił do swego konia, cisnęło się do niego całe towarzystwo. Rozdał swe papierosy, dzieciakom rzucił trochę drobnych monet i odjechał.

Spotkanie z Cyganami było dla niego bardzo korzystne. Od dawna był z nimi, a szczególnie z ich królową, w dobrych stosunkach i spodziewał się niemałej korzyści.

Przybywszy do zamku udał się do swej współpracownicy, by dowiedzieć się od niej o wszystkim co zaszło w czasie jego nieobecności.!

— Do wszystkich diabłów! — kłął. — Temu Sternau'owi wszystko się udaje. A więc potrzebuje piany załaskotanego?

— Tak.

— Gdy to dostanie, to z całą pewnością uleczy hrabiego.

— Czy to środek niezawodny?

— Tak.

— Pewnie spodziewa się, że gdy hrabia wróci do przytomności, to pozna tego, komu zawdzięcza truciznę. Czy będziesz ze mną szczery?

— Wy kobiety nie możecie wiedzieć wszystkiego. Ale, hrabia nie powinien właściwie już nigdy odzyskać przytomności!

— Jak chciałeś tę sprawę rozwiązać?

— Tak jak należało! — powiedział i opuścił swoją towarzyszkę. Długo rozmyślał nad zastaną sytuacją, aż w końcu powziął postanowienie.

Na krótko przed północą notariusz wykradł się do parku. Zastał już Zarbę pod umówionym drzewem. Sprawdził czy ich nikt nie podsłuchuje, po czym rozpoczęli pertraktacje.

— Dowiadywał się pan o stan hrabiego? — pytała Zarba.

— On musi umrzeć.

— Jak mam to rozumieć? Czyżby jego stan był tak zły?

— Nie.

— Więc jakim sposobem?

— Wy to załatwicie.

— A, to będzie kosztowało.

— Ile?

— Don Emanuel jest hrabią.

— Powiedz krótko.

— Jest nadzwyczaj bogaty.

— Mówię ci, powiedz krótko ile żądasz?

Cyganka niby się namyślała aż w końcu rzekła:

— Ile pan daje?

— Ja nic nie daję, to ty masz powiedzieć ile chcesz?

— Zapłata musi być wymierzona proporcjonalnie do poniesionych trudów, jakich ta praca wymaga.

— Wiem o tym — zauważył adwokat. — Przemyślałem wszystko dokładnie. Hrabia musi być zmiażdżony.

— Zmiażdżony. Do diabła to dziwne żądanie, dlaczego właśnie tak.

— W przystępie szału.

— Aha, teraz rozumiem! Jako szalony jest pod ciągłą opieką, ale udaje mu się zwieść tych co go pilnują, wylatuje i rzuca się z jakiejś skały na głowę. O to chodzi?

— Tak, właśnie w podobny sposób tę rzecz przemyślałem.

— Ale jak się do niego dostaniemy, jeżeli przy nim czuwają ludzie?

— Pilnują go tylko lekarz lub córka i najczęściej przebywają w pokoju położonym obok. Z drugiej strony do pokoju hrabiego przylega biblioteka, do której klucz posiadam ja. Wpuszczę was, ale dalsze działanie... to już wasza sprawa.

— Garbo będzie przewodził.

— Dobrze, on się do tego nadaje. Ile to będzie kosztować, oczywiście jeśli się uda?



— Dziesięć tysięcy duros.

— Cooo? Ty chyba dziesięć tysięcy razy zwariowałaś?

— Senior! Pan mnie zna, kosztują wprawdzie drożej, ale za to pracuję zręcznie, pewnie i dokładnie.

— Wiem o tym.

— Dalej musicie przyznać, że śmierć hrabiego ma dla pana wielką wartość, don Gasparino!

— Hm! Jak ta suma ma być wypłacona?

— Odbiorę ją po robocie, gdy wszystko się uda. Widzi pan, że jestem rzetelna.

— W każdym razie pracujesz inaczej niż kapitan, który najpierw każe sobie wypłacić połowę, a potem nic nie wskóra.

— Powinien się wstydzić. Ale czemu powiedział mi pan, że mam sobie zapamiętać nazwisko Sternau? Czy to ten lekarz?

— Tak.

— Co ma się z nim stać?

— On również musi zniknąć z powierzchni ziemi.

— Kiedy?

— Nie od razu, dwa śmiertelne wypadki mogłyby wzbudzić podejrzenie.

— A w jaki sposób ma zginąć?

— O tym pomówimy później.

— Więc teraz chodzi tylko o hrabiego, don Emanuela? Kiedy mamy wykonać nasze zadanie, senior Kortejo?

— Jutro.

— Spotkamy się więc w tym samym miejscu.

— O której?

— Tak jak dziś, o północy. Czy wcześniej możesz przyjść sama?

— Nie, taka praca jest dla mężczyzn, czy ma pan jakieś zastrzeżenia do Garbo?

— To nie o to chodzi.

— Więc proszę spać spokojnie.

— Dobranoc!

Rozstali się i notariusz chyłkiem wrócił do zamku, a Cyganka poczekała jeszcze chwilę, aż podeszła do niej jakaś postać.

— Słyszałeś wszystko, Garbo? — spytała.

— Tak.

— Więc doktor Sternau nasz podopieczny, ma umrzeć? — szydziła stara. — A hrabia? Czy mógłbyś go zabić?

— O nie, Zarba!

— Ale dostalibyśmy dziesięć tysięcy duros?

— Myślałem nad tym — szepnął Cygan tajemniczo.

— Wpadłeś może na jakiś pomysł?

— Nawet znakomity. Jak byłem wczoraj w Loribie, słyszałem, że jutro mają grzebać piekarza.

— Aha! Rozumiem już — rzekła stara.

— Wygrzebiemy piekarza, ubierzemy go w szaty hrabiego... i strącimy ze skały. Hrabiego ukryjemy.

— Tak, ukryjemy go, tylko gdzie?

— U mego przyjaciela Gabrilla w latarni morskiej.

— To znakomity pomysł, tam go nikt nie znajdzie. Kortejo musi nam jeszcze wypłacić całą sumę. Teraz chodźmy.

Na drugi dzień porucznik de Lautreville również nie powrócił do zamku. Sternau uznał, że najlepiej będzie zataić swoje domysły, milczał więc, podczas gdy inni postanowili napisać do Paryża.

Sternau cały swój czas poświęcał don Emanuelowi. Ten leżał zupełnie osłabiony. Jadł wszystko co mu podawano i szeptał od czasu do czasu imię Alimpo. Były to jedyne oznaki jego życia.

Hrabia Alfonso nie pokazywał się w pokoju chorego, tak jak i adwokat, i siostra Kłarysa. Ta trójka cały czas przebywała razem i debatowała nad zdarzeniami. Alfonso chciał zwrócić się do sądu, by ubezwłasnowolniono hrabiego i jemu przyznano prawo do majątku, lecz Kortejo optował za zwłoką.

Tak minął dzień.

\* \* \*

Niedaleko od Rodriganda, leży niewielka wioska Loriba, gdzie umarł piekarz, człowiek zamożny. Grabarz, który mieszkał we wsi, a więc zdała od cmentarza, nie zadał sobie pracy, by nowy grób solidnie wykończyć, przysypał tylko trumnę równo ziemią i poszedł do domu, zostawiając pracę na dzień następny.

Była może jedenasta w nocy, na ciemnym niebie nie było ani księżycy ani gwiazd. Przez pola, w kierunku cmentarza, podążała grupka dziwacznie ubranych postaci, było wśród nich pięciu dorosłych mężczyzn i trójka chłopców. Chłopcy zostali wokół cmentarza na czatach, zaś pozostała piątka przeskoczyła przez mur.

— Lorro, wiesz dokładnie, w którym miejscu go pochowano?

— Wiem, — odrzekł zapytany — chodźcie tylko.

Z pewnością kroczył pomiędzy grobami i bez kluczenia zaprowadził pozostałych do nowo wykopanego grobu. Zaraz wzięli się do pracy. Robotą szła łatwo i bez specjalnego wysiłku, już po kwadransie dokopali się do trumny. Gdy wydobyli ją na powierzchnię i otwarli Lorro odezwał się w te słowa:

— Chodź z nami stary, trochę musisz się przespacerować.

Po chwili pustą trumnę spuszczone do dołu i zakopano. Przy świetle latarki doprowadzili teren do porządku i zatarli wszelkie ślady swej bytności. Dwóch mężczyzn wzięło trupa pod barki i znikło w cieniu nocy, trzej inni spieszyli się, by na czas zameldować się w zamku Rodriganda, chłopcy powrócili do obozu.

Punktualnie o północy w parku pod dębem notariusz spotkał się ze spiskowcami.

— Garbo? — zapytał szeptem.

— Tu jestem — rzekł zawołany.

— Czy wszyscy są? To chodźcie za mną.

Przy świetle latarki skradali się po schodach to w górę, to w dół i przez cały szereg niezamieszkaných pokoi aż do sali, w której stało mnóstwo szaf i półek z książkami. Była to biblioteka.

— Zaczekajcie tu — rzekł adwokat — muszę się najpierw przekonać, czy wszystko jest w porządku.

Bez szmeru uchylił drzwi tak, że mógł zaglądnąć do, przylegającego pokoju. Skinął na Garba i spytał szeptem:

— Patrz do środka, odważysz się tam wejść?

— Tak, nawet zaraz.

— Ale żeby cię nikt nie zauważył i abyś nie obudził śpiących dziewcząt.

— Naturalnie, możecie mi zaufać.

Leżący w pokoju hrabia wyglądał jak trup. Na kanapie pogrążone w głębokim śnie leżały Amy i Róża. Ciężkie przeżycia ostatnich dni spowodowały, że spały bardzo mocno.

Po minucie pracy pojawili się z powrotem w bibliotece.

— Proszę zamknąć drzwi, senior — poprosił Garbo — i proszę oświetlić drogę.

Wracali tą samą drogą, a ponieważ adwokat nie spostrzegł żadnego ruchu, ani nawet oddechu hrabiego, więc zapytał:

— Czy on żyje?

— Sądzę, że nie — odrzekł Garbo — Musiałem go widocznie z obawy aby nie krzyknął trochę za mocno przydusić. Myślę, że to wszystko jedno, prawda, senior?

— Tak. — odrzekł adwokat — Wiecie już, gdzie go macie zanieść, nieprawdaż?

— Naturalnie.

— Jeśli wyznaczą nagrodę za odszukanie go, zgłosisz się Garbo?

— To już moja sprawa, czy senior dotychczas z nas zadowolony?

— Najzupełniej.

— To proszę o pieniądze.

— Masz. Jeżeli zechcę z wami mówić, to odszukam was w obozie, a teraz dobranoc!

Oddalili się ze swym ciężarem i doszli do końca parku, gdzie w zaroślach zostawili mały wózek ręczny, na nim złożyli ostrożnie hrabiego i pociągnęli w kierunku swego obozu.

Gdy dotarli do obozowiska, stara Cyganka i spytała:

— Udało się?

— Doskonale! — odrzekł Garbo.

— A co z hrabią?

— Cały czas leży nieprzytomny.

— Tutaj masz odzież dla niego, ubierz go i przenieś na swój wóz, a potem zaraz wywieź go stąd. Jego życie od dziś jest na twoim sumieniu. Piekarza przebierzcie w ubranie hrabiego, a potem zróbcie z nim co należy.

Doktor Sternau chciał konieczne tej nocy zostać przy chorym, lecz Róża razem z przyjaciółką postanowiły doglądać ojca. Jednak z głębokiego snu obudziły je dopiero wczesne promienie słońca.

Sternau zbudził się wcześniej, troska o pacjenta nie dała mu spokojnie spać. Wskoczywszy z łóżka zaczął się szybko ubierać, poczym natychmiast udał się do don Emanuela. Przedpokój nie był od środka zamknięty więc wszedł bez problemu i właśnie wtedy doszedł go przeraźliwy krzyk dziewcząt.

Przezuwając coś okropnego, wpadł do pokoju i zastał dwie dziewczyny stojące pustym przy łóżku.

— Gdzie hrabia? — spytał zdenerwowany.

— Boże, Boże gdzie mój ojciec? — wołała Róża.

— Czy pani spała?

— Niestety tak — odrzekła Róża.

— Obie zasnąłymi równocześnie — dodała Amy.

Sternau zamiast zganić dziewczęta, odezwał się:

— Nie może być daleko, był na to za słaby.

— Nie spotkał go pan we frontowych pokojach?

— Nie.

— To musi być w bibliotece.

Sternau otworzył drzwi biblioteki, nie znalazł tam jednak nikogo.

— Nie pojmuję tego — mówił kiwając głową, — jak mógł opuścić pokój. Był przecież bardzo słaby i spokojny. Nie było żadnych objawów napadów. Okna wszystkie pozamykane, więc o wyskoczeniu nie może być mowy. Trzeba w tej chwili przeszukać cały zamek.

Zaalarmowano i wypytywano wszystkich mieszkańców z najdrobniejszymi szczegółami, nikt jednak nie widział hrabiego i ani śladu po nim nie spostrzegł. Przeszukano z najdrobniejszymi zakamarkami wszystkie pomieszczenia, niestety bez rezultatu.

Podczas, gdy w zamku panowała bezgraniczna panika, trzech jego mieszkańcy pozostali najzupełniej, przynajmniej pozornie, niewzruszeni. Siedzieli spokojnie w salonie innym pozwalając szukać.

— Gdzie on się mógł podziać? — pytała Klarysa.

Adwokat zaśmiał się tylko i rzekł z pewną chępliwością:

— Czyż nie mówiłem wczoraj, by Alfonso z decyzjami poczekał do dziś?

— To, tak sprawa stoi, czy masz może przecucie, gdzie jest hrabia?

— Hm, był przecież szalony, a że źle go pilnowali, wyrwał się gorączce z pokoju i opuścił zamek. Boję się bardzo, czy mu się rzeczywiście nie przydarzyło jakieś nieszczęście.

— No cóż, wtedy zwycięży sprawiedliwość. Więc hrabia rzeczywiście mógł skrócić kark, mój drogi przyjacielu? — pytała z pobożną miną Klarysa.

— To bardzo możliwe.

— Teraz nasz Alfonso w jednej chwili stanie się spadkobiercą i obejmie cały majątek, a także i zarząd zamku?

— Naturalnie.

— Więc nie powinien się już dłużej wahać. Idź mój synu, jak mężczyzna weź kierownictwo w swoje ręce i poprowadź całe poszukiwania.

Alfonso chciał już zastosować się do poleceń matki, lecz adwokat zatrzymał go słowami:

— Poczekaj jeszcze! Doktor Sternau objął rolę kierownika w zamku. Odsunął twoje rozporządzenia, niech więc teraz poniesie tego skutki. Oni sami do nas przyjdą, tymczasem zostawmy ich.

Nie omylił się w swych domysłach, bowiem rzeczywiście niedługo po tym zjawiała się Róża z oznakami wzburzenia oraz strachu i zawołała:

— Alfonso, ojciec gdzieś zniknął, a ty siedzisz tu tak spokojnie? Zapytany wzruszył ramionami i odparł całkiem oziębło:

— Muszę niestety trzymać się mej roli, odmówiono mi przecież jakiegokolwiek prawa w całej tej sprawie, zabroniono mi działać, rozkazy moje gwałtem zniweczono.

— To nie było tak, inny mieliśmy zamiar, mogę cię zapewnić.

— Po co mamy się powtórnie kłócić! Robicie co chcecie, musicie więc i skutki waszych postępów wziąć na siebie. Jeżeli ojcu stało się coś złego, musicie za to odpowiedzieć, ja mogę śmiało jako niewinny w tej sprawie, umyć ręce.

— Ale ojciec musi się przecież gdzieś znaleźć!

— Nie znaleźliście go w zamku?

— Nie,

— Więc musicie szukać poza. Senior Kortejo, jest pan pełnomocnikiem mego biednego ojca, proszę nam pomóc w poszukiwaniach i wydać odpowiednie rozkazy.

Adwokat podniósł się z godnością i zapytał hrabiankę:

— W jakim ubraniu był don Emanuel, hrabianko?

— Mój Boże, prawie w żadnym, leżał przecież chory i tak był osłabiony, że nawet nikt nie przypuszczał, że będzie w stanie opuścić łóżko.

— To pewnie według teorii doktora Sternau'a, ja jestem jednak przekonany, że w napadzie szału, najsłabsze siły rosą do rozmiarów nienaturalnych. Każę szukać don Emanuela po całej okolicy i radzę pani wyznaczyć nagrodę temu, kto go znajdzie. Jeżeli spróbujemy wszystkich możliwości to prędzej będziemy mieli rezultaty.

— Proszę tak zrobić, senior — odrzekła i pobiegła do swoich.

— A co? Nie miałem racji? — pytał Kortejo spoglądając to na syna to na Klarysę. — Teraz wystąpię jako pełnomocnik hrabiego w całym tego słowa znaczeniu i niech mnie ktoś nie posłucha i nie uszanuje tego, pogadam z nim inaczej.

Sternau bardzo szybko rozpoczął poszukiwania na swoją rękę. Według niego, niemożliwością było, by don Emanuel, bo spuszczeniu tak dużej ilości krwi, mógł wstać o własnych siłach, opuścić nawet zamek. O wiele bardziej prawdopodobne zdawało się mu porwanie hrabiego. Dlatego szukał śladów, które mogłyby mu coś powiedzieć. Nie znalazł

jednak nic. Musiał w końcu, widząc bezsilność swych poczynań powrócić do zamku, by czuwać nad Różą, której stan psychiczny budził niepokój.

Tymczasem adwokat uchwycił całą sprawę poszukiwań w swoje ręce. Piesi i konni posłańcy przeszukiwali całą okolicę, wzywali i że na pomoc mieszkańców, obiecując przy tym nagrodę pięciu duros temu, który wskaże miejsce poszukiwanego. Jednak i to nie przynosiło skutku.

Na drugi dzień wszyscy pogrążeni w smutku siedzieli w jadalni przy wspólnym śniadaniu, ale nikt nie mógł nic jeść.

Wtem otwarty się drzwi i wszedł służący meldując, że zjawił się jakiś Cygan, który chce coś państwu pokazać. Wpuszczono go natychmiast.

Cygan wszedł i pokłonił się nisko, był to Garbo. W rękach obracał kapelusz, jakby w ten sposób chciał zwalczyć swoją nieśmiałość i zażenowanie, jakie opanowało go na widok tylu dostojnych ludzi.

— Kim jesteś? — spytał adwokat.

— O, ja tylko biedny Cygan, senior — odpowiedział.

— Co cię do nas sprowadza?

— Ja chciałem tylko państwu coś pokazać.

— Co takiego?

— Proszę pozwolić, to ja opowiem.

— Mów.

Grał swą rolę znakomicie. Twarz jego wyrażała taką szczerą i prostą, jakby nigdy żadne kłamstwo nie padło z ust jego. Odchrząknawszy, począł mówić:

— Jestem biednym Cyganem i zarabiam na chleb lecząc wszystkie choroby ludzi i zwierząt. Chodzę więc często po górach, by szukać ziół. Uczyniłem to także i dziś rano. Gdy doszedłem do stromej skały, zobaczyłem na jednym z krzewów zaczepiony kawałek bardzo cienkiej tkaniny, która musiała należeć do jakiegoś bogacza. Wyhaftowane były na niej litery „R” i „S”.

— Mój Boże! — zawołała Róża — Człowieku, czy wzięłeś ten kawałek płótna ze sobą?

— Wziąłem, słyszałem bowiem, że szukają jakiegoś bogatego pana. Odczepiłem tę materię z krzaka, potem spuściłem się w dół na sam spód przepaści i tam znalazłem... znalazłem...

Róża aż podskoczyła i drżącym głosem rozkazała:

— Mów dalej człowieku! Co tam znalazłeś?!

— Dosyć już! — rzekł Sternau — Proszę, aby panie opuściły to pomieszczenie.

— Nie, ja zostaję, ja muszę słyszeć co on powie — odpowiedziała hrabianka.

Postawa jej była tak zdecydowana, że Sternau zaniechał wszelkich prób namowy.

— Czy mam opowiadać dalej? — zapytał Cygan.

— Opowiadaj! — rzekła hrabianka.

— Na samy dole leżał... trup.

— Trup! — zawołała, załamując z rozpaczą ręce. — O mój ojcie, mój kochany drogi ojcie! Sternau położył rękę na jej ramieniu i powiedział:

— Donio Rózo, nie rozpaczaj. Nie należy jeszcze tracić nadziei. Może to być trup kogoś innego, a może ten człowiek żyje jeszcze.

— To niemożliwe, on roztrzaskany jest na kawałki — rzekł Cygan.

— Masz ten skrawek płótna przy sobie? — zapytał don Alfonso.

— Proszę.

Wyciągnął z kieszeni skrawek najlepszego francuskiego płótna i podał młodemu hrabiemu. Ten spojrzawszy nań rozstrzygnął:

— To nasz herb! Tak, to jest nasz znak.

— Pokaż!

Po tych dwóch słowach Róza podeszła do niego i wydarła mu płótno z ręki.

— Nie żyje! Naprawdę nie żyje! O Boże, Boże! — szepnęła i musiała się oprzeć o krawędź stołu, by nie runąć na ziemię.

— Czy możesz to pani stwierdzić z całą pewnością? — zapytał Sternau w najwyższym wzruszeniu.

— Tak — wycedziła ledwie słyszalnym głosem. — To jest kawałek koszuli, który sama mu założyłam — a zwróciwszy się do Cygana rzekła: — Mów prędko, gdzie on leży?!

— Leży głęboko, na dnie przepaści, którą nazywają Bateria.

Po hiszpańsku „bateria” oznacza rozpadlinę w murze lub skale, a więc wyjątkowo niebezpieczne miejsce. Usłyszawszy to słowo, wszyscy obecni natychmiast wiedzieli, że nie było możliwości, aby człowiek który tam spadł, żył jeszcze. Był to jar na kilkaset stóp głęboki, tworzący straszną przepaść, której ściany prawie pionowo wznosiły się w górę. Kto tam spadł nie miał żadnych szans na przeżycie.

— Już dość! — przerwała Róza. — O Boże, ja jestem winna jego śmierci! Spałam, podczas gdy on umierał! Nie zapomnę tego nigdy w życiu. O ojcie, mój ojcie!

Opuściła salę trzymając w ręku skrwawiony kawałek płótna, a i Amy poszła za nią.

— Czy można dostać się tam, bez narażania życia? — spytał Cygana adwokat.

— Można, jeśli się zna skały, tak jak ja.

— Czy chcesz być naszym przewodnikiem?



— Dobrze, senior, ale zauważ, że jestem tylko biednym Cyganem.

— Już dobrze, otrzymasz pięćset duros, gdy okaże się, że trup rzeczywiście jest hrabią Rodrigandą. Don Alfonso, będziesz pan musiał iść z nami, by rozpoznać zwłoki.

Ten w milczeniu skinął głową. Sternau nie otrzymał zaproszenia, ale też i na nie liczył, choć było zrozumiałe, że nie pozostanie w tyle. Wieść o znalezieniu zwłok hrabiego rozeszła się lotem błyskawicy po zamku. Każdy chciał iść, a gdy wreszcie zarządca i don Alfonso ruszyli w drogę towarzyszyło im tyle ludzi z wioski i zamku, jakby chodziło o jakąś pielgrzymkę.

Bateria oddalona była o pół godziny drogi od do Rodrigandy. Na ciemnym dniu płynął zimny strumień. Alimpo powiedział lekarzowi, że dawniej często tam zachodził i znał drogę do jaru, którą na pewno nikt inny nie chodził.

Kortejo wysłał posłańca do Manresy, po doktora Cielli, a z Rodrigandy poszedł z nimi urzędnik policji, co nadawało oględzinom pewną urzędową formę. Zaopatrzone się w nosze, by nieboszczyka przenieść do zamku.

Alimpo nie poruszał się zbyt szybko, Sternau przybył więc z nim na miejsce wypadku nieco później niż pozostali.

Tu wszyscy trafili na straszny widok. Tuż nad brzegiem strumienia leżał nieszczęśnik. Spadając uderzył o ostre krawędzie skał, co spowodowało, że tworzył raczej bezkształtną masę niż podobne do człowieka zwłoki. Głowa był tak potrzaskana, że poznanie twarzy, a nawet koloru włosów było niemożliwe.

Pocziwy Alimpo załamał w rozpacz ręce i zapłakał: — O mój dobry, szlachetny pan! Jak straszna śmierć, jaki koszmarny zgon! Widoku tego nie zapomnę nigdy.

Inni także płakali, notariusz stał obok w milczeniu, a hrabia Alfonso przystąpił do zwłok ojca i spróbował uklęknąć obok, ale cofnął się jednak zaraz i rzekł:

— To niemożliwe! Tego piekielnego smrodu nikt nie wytrzyma. Sternau zmierzył go poważnym wzrokiem i przystąpił do bezkształtnego ciała. Zgiął się, by je bliżej zbadać.

— Stój! — rzekł nagle adwokat wstrzymując go. — Zakazuję ruszać zmarłego, nim nie przyjedzie doktor Cielli.

Sternau odpowiedział tonem najwyższej pogardy:

— Nie będę tutaj dochodził tego, czy masz pan prawo rozkazywania, ale ponieważ doktor Cielli jest lekarzem sądowym, to niech on pierwszy zbadał trupa.

— Jako zarządca zmarłego mam nie tylko prawo, lecz obowiązek uważania, by wszystko przebiegało zgodnie z prawem — odrzekł notariusz. — Oświadczyłem, że hrabia jest szalony, radziłem by go surowo pilnowano, pan jednak miałeś inne zdanie i to przez pana uciekł.

Jesteś pan poniekąd winien jego śmierci i nie spodziewaj się, że będziesz mógł dalej sprowadzać nieszczęścia w miejscu, w którym nie masz nic do roboty.

Sternau wzruszył z pogardą ramionami, nie uważał za stosowne udzielić jakiegokolwiek odpowiedzi.

W czasie oczekiwania na doktora Ciellego, wszyscy dziwili się postępowaniu Sternau. Obszedł cały parów, uważnie badając każdą piędź ziemi, każdy kamień, każdą krawędź skały. Wdrapał się nawet z narażeniem życia po stromej skale szukając tego miejsca, z którego prawdopodobnie zmarły runął z głębinę.

Kortejo przypatrywał się temu szyderczym wzrokiem; widać było, że go to złości, ale nie mógł zrobić.

Wreszcie nadszedł Cielli.

— Witaj senior! — zawołał notariusz — Oczekiwaliśmy pana z niecierpliwością.

— Nie mogłem prędeej, don Gasparino! — brzmiała odpowiedź.

— Słyszał pan już o co chodzi?

— Słyszałem. Posłaniec opowiedział mi wszystko. Biedny hrabia! Taki smutny koniec! A kto to drapie się tam po skałach, jakby chciał połamać sobie ręce i nogi?

Wskazał na górę, gdzie Sternau szukał czegoś między skałami.

— To pański sławny kolega — odpowiedział adwokat. — Zdaje się, że szuka tam ptasich piór lub gniazd.

Gdy Sternau zauważył przybycie Cielliego szybko i pewnie zszedł na dół.

— Łotr drapie się jak kot — zauważył Kortejo.

— Przypomina bardziej małpę, którą rzeczywiście jest — dodał Cielli. — Wszędzie musi być.

— Sądzę, że nie zezwolisz na żadne uwagi z jego strony, senior doktor?

— O tym nawet nie ma mowy — odpowiedział Cielli. — Jestem lekarzem sądowym i znam swoje obowiązki. Zresztą człowiek ten w niczym mi się nie przysłużył, więc nie potrzebuję mieć żadnych względów wobec niego. Możemy zaczynać.

Przystąpiono razem z alkadem do zwłok.

— Ma pan sprowadzić, czy w tym ciele istnieje choćby iskierka życia — rzekł Kortejo do lekarza.

— Życia? To niemożliwe! Zgon jest pewny.

— Proszę to wpisać do protokołu, panie alkadzie — nakazał Kortejo. — Potem należy ustalić, w jaki sposób nastąpiła śmierć.

— Przez spadnięcie do przepaści — odpowiedział lekarz.

— Wpisz to alkadzie do protokołu. Teraz musimy ustalić, czyje to zwłoki. Ma na sobie nocny strój hrabiego Emanuela de Rodriganda. Hrabia uciekł w napadzie szału, w nocy, to bez wątplenia on. Zgadzasz się z tym doktorze?

— Całkowicie.

Kortejo zwrócił do kasztelana:

— Alimpo, czy pamiętasz jaką koszulę miał hrabia na sobie ostatniej nocy?

— Widziałam ją, gdy moja Elwira zanosila ją na górę — brzmiała odpowiedź.

— Czy to była ta?

Wskazał przy tym na skrwawione kawałki bielizny. Kasztelan przystąpił i nachylił się nad zwłokami.

— Tak, to jest nocna odzież hrabiego. Kortejo pokazując na materię powiedział:

— Rano do zamku Cygan przyniósł nam kawałek bielizny, nie przynieśliśmy go wprawdzie, ale powinien pasować do tego miejsca. Wyhaftowany na nim jest herb hrabiego. Tak, to on. Niech przystąpią wszyscy obecni, którzy znali don Emanuela i niech powiedzą czy to jest on czy nie.

Ci co podeszli bliżej, rozpoznali hrabiego. Alimpo zwrócił uwagę na jeszcze jedną rzecz.

— Panowie — rzekł — patrzcie na tę rękę! Na palcu znajduje się ślubny pierścień hrabiego, nigdy go nie zdejmował.

— Nie ma już wątpliwości, że to hrabia — rzekł Kortejo — Alkadzie proszę to wszystko zaprotokółować.

Alkad sporządził protokół tak jak kazał notariusz, a potem został podpisany przez kilku świadków.

— Teraz połóżcie go na nosze! — rozkazał notariusz — Zaniesiemy go do zamku!

Na to wszystko przystąpił Sternau i krzyknął:

— Stój! Protestuję przeciwko odniesieniu zwłok. Nie należą ono do zamku.

— Co? — przerwał mu Kortejo. — Czy pan myśli, że ma tu coś do powiedzenia?

— Oczywiście! Jestem lekarzem hrabiego.

— Teraz już nim pan nie jesteś!

— Dobrze, ale jako zwykły człowiek mam prawo zaprotestować przeciwko odniesieniu zwłok. Obowiązkiem wszystkich przedstawicieli prawa jest wysłuchanie każdego, który chce coś wnieść do sprawy.

— Tak, lecz pańskie zdanie nie ma wielkiego znaczenia, przeciwnie jest nawet śmieszne i mało istotne. Dlaczegoż to nie można zwłok tych odnieść do zamku?

Oczy wszystkich zwróciły się na Sternau'a. Notariusz przemawiał dumnym, pogardliwym tonem, a doktor Cielli wyteżał swe siły, by zdobyć się na szydery uśmiech. Młody hrabia również zrobił złośliwy grymas, reszta obecnych z zaciekawieniem słuchała tego co spokojnie rzekł:

— Ten nieszczęśnik nie należy do zamku, gdyż nie jest hrabią Emanuelem, lecz zupełnie kimś innym.

Przeciwnicy doktora wydali z siebie lekki, szydery śmieszek.

— A to doskonale! — zawołał notariusz. — Ten trup nie ma być don Emanuelem. Sądzę, że senior Sternau cierpi na tę samą chorobę, która hrabiego pozbawiła życia. Bierzcie zwłoki i dalej w drogę.

— Stój! — ponownie zawołał Sternau — Zwłoki pozostaną tutaj tak długo, aż wyjawię powody mojego protestu. Potem możecie uczynić, co się wam podoba.

— Nie potrzebujemy pańskich wywodów! Dalej, ruszać się! — dodał Alfonso.

— Proszę mi wybaczyć senior! — rzekł alkad. — Ja tu jestem przedstawicielem prawa i wiem, że doktora Sternau'a należy wysłuchać. Właściwie zwłoki powinny zostać nietknięte do przybycia policji. Tak było i w przypadku tych rozbójników, których senior Sternau zabił w parku, a porucznik Lautreville koło Pons. W tym wypadku chciałem zrobić wyjątek, gdyż miałem na myśli nieszczęście, a nie zbrodnię i ponieważ prawie wszyscy twierdzili, że są to zwłoki hrabiego. Teraz jednak rzecz się ma inaczej i nikt nie ma prawa rozkazywania tutaj oprócz mnie. Senior Sternau, proszę mówić.

— Chciałbym zapytać jak długo nie widziano hrabiego?

— Od wczorajszego ranka — odpowiedział urzędnik sądowy.

— Jaki czas mógł najwyżej upłynąć od chwili jego zgonu?

— Niewiele więcej jak dzień. A więc proszę dokładnie spojrzeć na trupa. Znajduje się w już takim stanie rozkładu, że przynajmniej już od czterech dni musi gnić. Popatrzcie na te jelita! One są już czarne. Nie trzeba tu być lekarzem, trzeba tylko otworzyć oczy, by zobaczyć, że ten człowiek nie mógł umrzeć przed dwudziestu czterema godzinami. Dodajmy jeszcze, że tu jest wilgotno i zimno, trup w tym stanie musiałaby leżeć co najmniej dwa tygodnie. Odwołuję się do zdrowego rozsądku zacnych mieszkańców Rodriganda; żeby nie dali się wyprowadzić w pole przez zbrodnicze podstępny...

— Dosyć! — przerwał notariusz — Żądam, aby nakazano mu milczenie.

Na to odpowiedział alkad:

— Senior Kortejo, chciałbym wysłuchać co doktor Sternau ma do powiedzenia. Potem będę wiedział co mam czynić — a zwracając się w stronę Sternau’a rzekł: — Proszę dalej mówić, senior.

— Powiedziałem, że odwołuję się do waszego zdrowego rozsądku. Zarznicie kozę i połóżcie ją tutaj. W jakim mniej więcej czasie znajdować się ona będzie w takim rozkładzie, jak te zwłoki?

— Ma pan rację — odpowiedział alkad. — Do tego potrzeba przynajmniej dwóch tygodni.

— Słyszycie? — zaśmiał się Cielli. — Porównują człowieka z kozą.

Sternau z wyjątkowym spokojem zwrócił się do niego.

— Użyłem tego przykładu, aby objaśnić wszystkim zebranym całą rzecz. Poznają po ich minach, że to wystarczyło, panu zaś nie, chociaż podobno jesteś lekarzem. To zaiste smutne.

— Nie spodziewałem się, że odważysz się pan na kpiny ze mnie — burknął Cielli gwałtownie.

— Mówię zupełnie serio, senior. Proszę pana także, byś nie lekceważył tego. Zmiercie teraz prawą nogę trupa, zachowała się całkiem dobrze. Widziałem nogę hrabiego, i twierdzą, że ta nie jest jego. Jest większa i szersza, ma grubą podeszwę i rogowatą piętę, która u człowieka nie chodzącego nigdy boso bywa rzadkością. Proszę pana, alkadzie o zbadanie tego i proszę powiedzieć, czy nie mam racji?

Ludzie z Rodrigandy przystąpili bliżej i potakiwali wszystkiemu co doktor mówił. Trzej wrogowie udawali, że nic nie widzą, wreszcie notariusz zapytał:

— A skąd odzież hrabiego?

— Włożono ją na tego mężczyznę.

— A pierścień?

— Włożono mu go na palec. Przypatrzcie się tym zwłokom dokładniej. Spadały one wprawdzie ze strasznej wysokości i spadając często uderzały o skały, nie mogły jednak przy tym tak się zmiażdżyć, jak tu to jest widoczne. Twierdzą, że człowieka tego strącono z wysokości, udano się na dół i wtedy dokładnie zniszczono te części ciała, które nie były naruszone i mogły zdradzić, że to nie jest hrabia.

— A cóż to za szalony pomysł — zawołał Alfonso.

— On jest obłąkany! — dodał notariusz.

— Zaraz dostarczę wam dowód mego przypuszczenia — kontynuował Sternau.

Oddalił się na pewną odległość, podniósł leżący tam kamień i przyniósł go alkadowi.

— Co pan widzi na tym kamieniu? — zapytał.

— Krew.

— Nie, to nie jest krew. Senior Cielli powinien wiedzieć, co to jest.

Alkad pokazał kamień doktorowi, ten nie mógł zataić prawdy, popatrzył chwilę i rzekł:

— To rzeczywiście nie jest krew, to mózg. Zmarły zapewne upadł nań górną częścią czaszki.

— Nie — odpowiedział Sternau. — Dowiodę wam, że stało się wręcz przeciwnie. Chodźcie za mną panowie.

Przeszedł na przeciwległą stronę i wskazał na małe zagłębienie w ziemi, zupełnie odpowiadające wielkości kamienia.

— Widzicie panowie, w tym miejscu i to dość długo ten właśnie kamień spoczywał, aby go wyrwać z ziemi musiano użyć nie lada siły. Podniesiono go więc, roztrzaskano nim czaszkę, tak że mózg jeszcze na nim widać i rzucono go potem w zupełnie innym kierunku.

— To musiało tak być! — zawołał alkad zdziwiony.

— To niemożliwe, to wszystko jest tylko wytworem fantazji! — rzekł hrabia Alfonso.

— Chodźcie za mną na górę, panowie, pokażę wam coś jeszcze — odpowiedział Sternau.

Szedł pierwszy, przybywszy na brzeg przepaści zwrócił się na prawo i stanął nad brzegiem ostro spadającej w dół skały.

— Spójrzcie panowie — rzekł. — To jest miejsce, z którego trup spadł w głębinę. Tu leżał przez jakiś czas. Trawa jest wysoka i bujna, jej zmięte źdźbła jeszcze się nie podniosły. Wyciśnięte są w niej zarysy leżącej ludzkiej postaci. Dokoła można zauważyć ślady różnych nóg. Nie ma wątpliwości, było tu kilkoro ludzi, tu leżał trup i stąd zrzucano go w przepaść. Stało się zaś to dzisiejszej nocy, czego dowodzi świeżość znalezionych śladów.

— To wyjątkowo cenne znalezisko! — zawołał alkad.

— Przeklęty łotr! — mruknął notariusz z cicha.

Cygan zbladł. Sternau śledził uważnie twarze wszystkich obecnych, spostrzegł to i ciągnął dalej swe nielitościwe wnioski, zwróciwszy się do alkada:

— Czy może pan odgadnąć, od kogo najszybciej dowiemy się, kto tu przebywał?

Alkad namyślał się przez chwilę a wreszcie odpowiedział:

— Nie mogę.

— Więc zaraz pan się dowiesz. — przystąpił do Cygana, położył rękę na jego ramieniu i rzekł — Ten oto człowiek wyjaśni nam wszystko. On znalazł trupa i dostarczy nam odpowiednich wskazówek. Chodź ze mną!

Chwycił go za ramię i pociągnął tam, gdzie prowadziły ślady. Ziemia była wilgotna i widoczne w niej były odciski ludzkich nóg.

— Widzicie, że sandały jego są zabłocone? — zapytał Sternau.

— Rzeczywiście — dodał sędzia.

— I że noga jego zupełnie odpowiada tym śladom?

Zmusił Cygana by włożył nogę w odcisnięty ślad.

— To prawda! — potakiwał alkad.

— Teraz łotrze mów, co możesz powiedzieć na swoją obronę!

Garbo odzyskał już swój tupet i odpowiedział:

— To wszystko łatwo da się wytłumaczyć, senior. Wyszedłem z dwoma towarzyszami, by szukać ziół i zbliżyliśmy się nad sam brzeg przepaści. Spocząłem tam, podczas gdy inni udali się w dalszą drogę. Ten ślad w trawie jest mój.

— Aha. I tam zobaczyłeś skrawek bielizny zwisający z krzaka?

— Tam — odrzekł Garbo z ponownym zakłopotaniem.

— Pokaż nam ten krzak.

— Chodźcie!

Szedł szukając wzdłuż brzegu przepaści, lecz na próżno.

— Nie mogę go znaleźć — rzekł wreszcie.

— Domyślałem się — odpowiedział Sternau. — Gdy człowiek spadający ze znacznej wysokości zaczepi koszulą o krzak, podrze się ona, pozostawiając kawałek nieregularnie i w kilku miejscach rozdarty, skrawek jednak, który ty znalazłeś, ma gładkie i proste brzegi. Nie trzeba wielkiej mądrości, by poznać co zostało rozdarte przez kolce krzewu, a co ludzką ręką.

— To prawda! — dodał alkad.

— Oświadczam więc, — ciągnął dalej Sternau — że nie są to zwłoki hrabiego de Rodriganda, lecz, że mamy tu do czynienia z dowiedzioną zbrodnią. Proszę także, by wszystkie uwagi umieszczono w protokole. Domagam się, by ślady, które wam wskazałem, pozostały nienaruszone i by zwłoki pozostawiono tam, gdzie leżą, aż do przybycia korregidora, który całą sprawę zbadał dokładnie.

— Stanie się zadość twemu życzeniu, senior — rzekł alkad.

— Każesz pan strzec jaru i trupa?

— Oczywiście.

— Każesz pan aresztować tego Cygana, który wydaje mi się wielce podejrzany?

— Jeśli pan sobie tego życzy, owszem.

Tu wystąpił hrabia Alfonso, by wyrazić swój sprzeciw. Po drodze do jaru notariusz powiedział mu, że Cygan działa dla niego, więc obawiał się, by aresztowany nie zdradził całego spisku.

— Stój! Ja na o nie zezwalam! — rzekł. — Czy chcesz się stosować do zachcianek tego obcego, alkadzie? Czy wiesz, kto tu po śmierci mego ojca najwyższą urzędową i sądową obejmuje władzę?

Sternau wzruszył ramionami i powiedział:

— Po śmierci hrabiego? Musicie najpierw dowieść, że don Emanuel naprawdę umarł.

— Przecież tam na dole leżą jego zwłoki! — zawołał Alfonso.

— Najpierw trzeba się przekonać, czy to rzeczywiście on.

— Poznałem go. Zrozumiano? — zawołał Alfonso groźnie.

Sternau znów wzruszył ramionami i dumnie przemówił:

— Każdy inny lepiej potrafi poznać zwłoki hrabiego. Jak długo go pan zna? Może kilka dni?

Alfonso przystąpił bliżej do Niemca i wyjątkowo zdenerwowany rzekł:

— Cóż to za zuchwalstwo, senior? Czy chcesz bym cię wykończył? Kto ma lepiej znać hrabiego, jeśli nie ja, jego syn?

Sternau odepchnął jego rękę i odpowiedział niezachwianym zuchwalstwem:

— Musisz najpierw dowieść, że jesteś synem hrabiego. Prawdziwy Alfonso znajduje się z kapitanem Landolą na otwartym morzu. Uprawadziliście go przemocą.

Wypowiedział tylko swoje przypuszczenia, lecz wywarły one nadzwyczajne wrażenie. Notariusz omal nie upadł, a Alfonso przyskoczył do Sternau, chcąc go pochwycić.

— Łotrze! — zawołał. — Oszczerco, uduszę cię!

Sternau wyprostował się, objął hrabiego w pól i zaniósł go nad najdalej wysuniętą krawędź przepaści, trzymając bezwładnego nad straszną głębiną. Okrzyk strachu rozległ się dokoła.

— Ty chcesz mnie udusić! — rzekł. — Czy mam cię zrzucić w dół, byś się złączył z trupem, za pomocą którego chciałeś nas oszukać. Nie, zabicie takiego podłego łotra jak ty, nie przynosi zaszczytu. Precz z tobą, gadzie!

Cofnął się od przepaści i odrzucił Alfonso daleko od siebie. Potem zwrócił się do alkada:

— Spodziewam się, że spełnisz swój obowiązek, senior, bo inaczej grozi ci niebezpieczeństwo. Chodźmy kasztelanie. Zrobiłem co do mnie należy, a teraz możemy wracać.

Alfonso cały zdenerwowany pozbierał się jakoś. Znieważono go wobec ludzi, którzy mieli go uważać za swego pana. Trzęsąc się ze złości, zwrócił się do alkada i dosłownie ryknął na niego:

— Ty jesteś sprawcą tego zamachu, senior. Nie zapomnę ci tego nigdy, wierz mi!

— Wypełniałem tylko swe obowiązki — odrzekł przerażony alkad.



Był prostym wieśniakiem. Pod wpływem Sternau'a posłuchał głosu sprawiedliwości. Jednak ten człowiek oddalił się, a on wobec gniewu młodego hrabiego stracił odwagę, tym bardziej, że i notariusz wmieszał się do rozmowy pytając głosem, pełnym rozdrażnienia:

— Powiedz, senior, dobrze mnie znasz?

— Oczywiście — odpowiedział.

— Więc kim jestem?

— Zarządcą dóbr hrabiego de Rodriganda.

— Dobrze. Cóż to znaczy zarządca?

— Masz go pan zastępować we wszystkich sprawach dotyczących prawa.

— Bardzo ładnie. Urząd mój nie skończył się, wszystko więc co czynię, jest tak samo prawomocne, jakby uczynił to sam hrabia. Czy chcesz pan rzeczywiście uwięzić tego człowieka?

Alkad milczał, a Kortejo zwrócił się do Cygana:

— Nie jesteś potrzebny, możesz sobie pójść, a biada temu, się odważy cię zatrzymać.

Oczy Garbo zabłyśły z radości. Złożył przed Kortejo głęboki pokłon i rzekł:

— Dziękuję senior! Ja rzeczywiście jestem niewinny.

Odszedł nie zatrzymywany przez nikogo, a notariusz powiedział do ludzi, którzy mieli nieść zwłoki:

— Zjedziecie na dół, ułożycie biednego pana hrabiego na noszach i zaniesiecie do zamku. Kto się sprzeciwi, tego natychmiast wypędzę ze służby.

Ludzie posłuchali bez sprzeciwu, obawiali się notariusza. Alkad przystał na wszystko i wnet pochód ruszył w stronę Rodrigandy.

Lekarz z Manresy szedł w pobliżu zwłok. Kortejo z Alfonsem w pewnej odległości od pozostałych, tak by móc swobodnie rozmawiać.

— Sternau na pewno sprowadzi korregidora — rzekł Alfonso.

— Czyżbyś się bał?

— Nie, ale jest to człowiek zdolny do wszystkiego.

— Nie ugnę się przed nim!

— Lecz skąd on wiedział, że ja nie jestem prawdziwym synem hrabiego Emanuela?

— Diabli to wiedzą.

— A skąd wiedział, że prawdziwy, młody hrabia znajduje się na otwartym morzu?

— To już jakieś siły nieczyste. Jest to nader niebezpieczny łotr, od którego rychło muszę się uwolnić. To jedyny nasz wróg, który może nam zaszkodzić. Musimy się go jak najszybciej pozbyć.

— A Róża?

— Phi! To słaba dziewczyna. Nie mam żadnych powodów obawiać się kobiet.

Mieszkańcy Rodriganda, którzy również zeszli do jary rozmawiali o tym co się stało. Sternau był ogólnie lubiany. Każdy słyszał co powiedział i teraz nastąpiła wymiana zdań.

Gdy dotarli wreszcie do zamku notariusz kazał złożyć zwłoki w jednym z budynków, potem udał się do swego pokoju, by zapoznać się z nadeszłą korespondencją.

Pierwszy list, który wziął do ręki, zawierał krótką wiadomość, jednak ledwie ją przeczytał twarz mu się rozjaśniła, jak pod wpływem przyjemnej niespodzianki.

— W samą porę, nie mogłem sobie życzyć nic lepszego.

Z listem w rękę pospieszył do swojej sojuszniczki. Zastał tam Alfonso zdającego relację z wydarzeń w jarze.

— Gasparino, czy prawdą jest to co syna nasz mówi? Grozi nam wielkie niebezpieczeństwo.

— Groziło, lecz teraz już nie — odpowiedział.

— Nie widzę najmniejszego powodu do radości — zauważyła.

— A ja tak — dodał notariusz. — Niebezpieczeństwo już minęło.

— Czy to prawda? — zapytał Alfonso z niepokojem.

— Tak, tu zawarte jest nasze ocalenia! — rzekł Kortejo podnosząc list do góry.

— Cóż to jest, ojczy?

— Mała uwaga bankiera z Barcelony. Hrabia wypłacił temu Sternauowi honorarium.

— To wszystko? — zapytała siostra Klarysa z rozczarowaniem.

— To można było przewidzieć.

— Ależ list ten oddaje go w nasze ręce. Honorarium nie zostało wypłacone gotówką, lecz przekazem. Sternau posłał ten przekaz bankierowi, który całą sumę miał przelać do Niemiec, co też uczynił i teraz zawiadamia o tym hrabiego.

Alfonso potrząsnął głową i rzekł:

— Nie pojmuję nadal, jak sprawa ta może oddać lekarza w nasze ręce. Wytłumacz nam to jaśniej.

— Właśnie wysokość tej sumy skreśli mu kark. Czytajcie! Oboje ledwie rzucili okiem na papier a już krzyknęli z oburzeniem:

— To chyba niemożliwe! — zawołała Klarysa.

— Toż to majątek! — krzyknął Alfonso.

— Nieprawda? — zapytał Kortejo. — To honorarium iście książęce.

— To po prostu wręcz nie do uwierzenia! — rzekła Klarysa znana ze swego skąpstwa.

— Czy można to jeszcze odwołać? — zapytał Alfonso.

— A więc nie wierzycie temu dokumentowi? — zapytał Kortejo.

— Zapewne — oświadczyła dama.

— To, — dodał Alfonso — to, jest możliwe.

— Co do mnie, nie wątpię w to ani przez chwilę — rzekł notariusz. — Wzrok wart jest takiej nagrody. Don Emanuel był ogromnie bogaty i stał się jak widzimy rozrzutnikiem w pierwszej chwili swego szczęścia.

— Po takim wyjaśnieniu, przyjmuję to do wiadomości — rzekła Klarysa.

— Jednak — kontynuował Alfonso — nadal nie pojmuję...

— Zaraz zrozumiesz. Hrabia był ślepy...

— No i cóż?

— Nie pisał nigdy ani słowa... Wszystko posyłałem za niego ja, nawet podpisy ja wykonywałem, wtem nadchodzi przekaz podpisany jego własną ręką...

— Zaczynam rozumieć! — zawołał hrabia.

— O którym ja zgoła nic nie wiem.

— Rzeczywiście nic?

— Nie, nie zapisałem go nawet w księgach.

— I o tym nawet zapomniano?

— Tak się stało. Od trzech dni zaniechałem wpisów do ksiąg i zrobię to dopiero teraz pisząc, że otrzymałem od hrabiego rozkaz wypłacenia doktorowi Sternau tysiąc duros jako honorarium. To świadczyć będzie przeciwko niemu.

— Doskonale! — zawołała Klarysa. — Bóg obdarzył cię niezwykłą bystrością, mój drogi. Wreszcie zwyciężymy!

— Załatwię to natychmiast. Ty zaś Alfonso jedź jak najszybciej do Manresy.

— Co mam tam robić?

— Jeszcze pytasz? Sprowadzić policję. Dziś jeszcze musi doktor Sternau iść do więzienia.

— Nigdy jeszcze nie wykonywałem z większą przyjemnością jakiegokolwiek polecenia — rzekł Alfonso. — Zaraz wsiadam na konia. Ale czy jesteś pewien, że to się uda?

— Musi się udać, musi! — rzekł stary łotr z wielką pewnością siebie. — Ręczę za to!

— A Róża? Jeśli ona wie coś o tym i będzie sądzić przeciwko nam?

— To należy brać pod uwagę. Ale nie chodzi nam o to, by otrzymać pieniądze lub sprowadzić karę na tego Niemca; zupełnie wystarczy jeśli na jakiś czas zostanie on unieszkodliwiony. Tym zaś, zajmie się mój przyjaciel, korregidor.

— A więc myślisz, że tego łotra odstawią nie do Manresy tylko do Barcelony?

— Naturalnie, przecież tu chodzi o wysoką sumę. Podczas, gdy ty będziesz jechać do Manresy, ja napiszę list do korregidora. Niemiec siedzieć będzie w więzieniu, hrabiego zdążymy pogrzebać, ty obejmiesz spadek i zostaniesz przedstawiony na dworze, gdyby Róża nam przeszkadzała, mam dobry środek, by nauczyć ją posłuszeństwa.

— Jaki?

— Wsadzimy ją do klasztoru, którego przełożoną jest twoja czcigodna matka.

— To nie będzie łatwe! — rzekła siostra Klarysa — Będzie się opierać. Stracona owieczka nie da się tak łatwo pochwycić pasterzowi.

Nie będzie się opierać. Znam doskonały środek, który złamie wszelki opór.

— Jaki to środek? — zapytał Alfonso. Adwokat spojrział nań znacząco i wreszcie rzekł:

— Obląkanie, tak jak u ojca.

Tymczasem Sternau powróciwszy z kasztelanem ze swej wyprawy udał się natychmiast do Róży.

— Mów, senior. On żyje, nieprawdaż? — spytała Róża. Przystąpił do niej i rzekł łagodnym głosem:

— Nie płacz donia Róża, przynoszę pociechę.

— Pociechę? — a na jej policzki jej znowu wypłynął rumieniec.

— On żyje, on jeszcze nie umarł!

— Nie umarł? O Boże, gdzie więc jest mój ojciec?

— Nie wiem, wiem tylko, że znaleziony w przepaści trup to nie don Emanuel.

Zaprowadził ją w stronę fotela i poprosił:

— Usiądź pani i powiedz, czy czujesz się na tyle silną, by wysłuchać mego opowiadania bez zbytniego wzruszenia?

— O! Karlosie, nie pytaj. Przy pańskim boku zawsze jestem silna.

— To posłuchaj. Gdy przywołałaś mnie z Paryża, nie znałem nikogo z mieszkańców zamku. Nie skrzywdziłem nikogo z nich, nie obraziłem, a przecież w krótkim czasie po przybyciu napadnięto na mnie.

— Byli to rozbójnicy.

— Nie, to najemni mordercy. Co mogło być powodem tego?

— Nie wiem. Nie miałeś pan przecież wrogów w Rodrigandzie.

— To prawda. Wrogość więc musiała wzbudzić sprawa, dla której do was przybyłem, czyli chęć ocalenia pani ojca. Musi więc być ktoś, kto nie życzy sobie by pani ojciec wyzdrowiał.

Róża drgnęła ze strachu.

— To niemożliwe! Mój ojciec jest nadzwyczaj dobrym człowiekiem.

— Tak, ale zarazem jest panem i właścicielem hrabstwa, wartości wielu milionów.

— Co pan mówi? Ja nic z tego nie rozumiem.

— Don Emanuelowi zdarzyło się to samo co mnie; jego osoba też nie miała wrogów. Z tego właśnie wnioskuję, że chodzi tu o posiadłość Rodriganda.

— O Rodriganda? Spadek ma otrzymać mój brat.

— Rozważałem już nawet i to. Lecz to słowo brat i okoliczność, że brat pani od lat dziecięcych przebywał w Meksyku natchnęły mnie dość śmiałą myślą. Ojca pani powierzono pieczy trzech niezdolnych lekarzy, którzy omal nie przyczynili się do jego śmierci; tymi lekarzami opiekowały się zaś jedynie trzy osoby.

— Myśli pan o notariuszu, siostrze Klarysie i moim bracie.

— Tak, obserwowałem tę trójkę. Cały czas przebywają razem i mówię to otwarcie, jestem nawet przekonany, że pragnęli śmierci don Emanuela.

— Jak syn mógł uczynić coś takiego?

— Ale Alfonso uczynił to, nie jest więc synem don Emanuela.

Tu Róża wzdrygnęła się i rzekła:

— Co... co pan mówi? On nie miałby być synem mego ojca, moim bratem?

— Nie.

— Kim więc jest? Cóż to za dzień! Senior, ja znoszę formalne tortur!'. Mów pan, mów pan prędko!

— Nie może to być syn don Emanuela, bo wszyscy widzieliśmy prawdziwego Alfonso.

— Kiedy? Gdzie?

— Tu. Droga Różo, proszę pójść do galerii obrazów i porównać portret z lat młodzieńczych hrabiego Emanuela z twarzą porucznika de Lautreville.

Teraz zdziwiła się z kolei miss Amy.

— Alfred de Lautreville! — zawołała. — Senior, co o nim wiesz? Przyznał mi się, że na życiu jego ciąży tajemnica, którą musi wyjaśnić.

— Powiedział pani prawdę. On jest prawdziwym hrabią Rodriganda, a Alfonso jest zwyczajnym oszustem. Dlatego porucznik musiał zniknąć, dlatego też go porwano.

— Porwano! — zawołała Amy, ścisnęła małe pięści i wyglądała jak lwica rozszrozona i nikt nie mógłby poznać w niej tej łagodnej dziewczyny, jaką dotychczas była. — Porwano? — powtórzyła. — Niech się ktoś odważy to uczynić. Zdrzgnę ich wszystkich na miazgę! Wszystkich, wszystkich!

Sternau skinął głową zapytał z uśmiechem:

— Przyznaje pani, że kocha hrabiego Afonsa?

— Kocham go — odpowiedziała. — Kocham go nad życie, będę go szukała i znajdę go. I biada tym, którzy są jego wrogami. Ojciec mój pisał, abym przyjechała, odjadę więc dziś jeszcze, nawet za pół godziny, lecz będę wiedziała, co mam uczynić. Opowiadaj, senior!

Opowiadał dalej, jak szukał śladów i jak reszty się dowiedział. Doszli w ten sposób do wątku całego spisku.

Amy rzeczywiście otrzymała list z poleceniem jak najszybszego powrotu. Przyrzekła, że przyzna się ojcu do wszystkiego i że wyprosi od niego pomoc dla siebie i swej przyjaciółki. Potem pożegnała się i opuściła zamek w towarzystwie Róży, która odprowadziła ją aż do Pons.

Doktor Sternau pozostał w swym pokoju. Chciał pracować, lecz nie szło dobrze, myśli jego zajęte były ciągle zdarzeniami ostatnich dni. Nie słyszał nawet pukania do drzwi i dopiero, gdy się powtórzyło, zwrócił na nie uwagę.

— Proszę! — zawołał.

Drzwi otworzyły się, a lekarz ze zdziwienie ujrzał obcego człowieka.

— Kim pan jest? — zapytał przybysza.

— Czy pan jesteś senior Sternau, lekarz hrabiego Emanuela? — zapytał przybysz zamiast odpowiedzi.

— Tak.

— Przesłała mnie hrabianka Róża de Rodriganda.

— A to dziwne! Pojechała przecież do Pons.

— Tak. Odwiedziła mnie przy tej sposobności i prosi, byś się pan udał ze mną?

— Po co?

— Nie powiedziała mi powodu. Była jeszcze druga dama, która jej towarzyszyła.

— Prawda. Pan jesteś szynkarzem?

— Tak.

— Gdzie?

— W Elbrida, w miejscowości położonej między Rodriganda, a Manresą?

— Usiądź pan, zaraz będę gotów.

Przywykł tutaj do ostrożności, ale troska o Różę uspiła jego czujność. Ubrał się szybko i wyszedł z obcym przed bramę, gdzie czekała nań dwukonna bryczka.

Na balkonie stał adwokat ze swymi sprzymierzeńcami.

— Wsiada! — roześmiał się szyderczo.

— Dał się złapać! — dała pobożna zakonnica. — Bóg natchnął cię przewyborną myślą, mój drogi Gasparino.

— Chciałbym widzieć wyraz jego twarzy, gdy dowie się całej prawdy — zaśmiał się Alfonso.

Tymczasem bryczka toczył się prędko drogą do Manresy, nagle skręciła w prawo i wjechała na gościniec prowadzący do Barcelony.

— Woźnica jedzie w złym kierunku! — zauważył Sternau.

— Jedzie całkiem dobrze! — odrzekł obcy.

— Do Manresy?

— Do Barcelony.

— Sądziłem, że jedziemy do Elbrida?

— Nie, jedziemy do Barcelony.

— Kim jesteś, senior? Czego ode mnie chcesz?

— Jestem korregidor z Manresy. A chcę pana zawieść do Barcelony.

— A! Jesteś pan policjantem! Lecz po co mam jechać do Barcelony?

— Nie wiem. Delegados to panu wyjaśni.

— Sam prefekt? Co ma mi wyjaśniać?

— Nie wiem. Wkrótce pan usłyszysz.

— Okłamałeś mnie, senior.

— Był to tylko mały podstęp, którego często używamy, by uniknąć długich rokowań.

— A jeżeli nie zechcę panu dalej towarzyszyć?

— To panu nic nie pomoże. Spójrzysz pan przez to szklane okienko umieszczone w tylnej ścianie powozu, a zobaczysz, że mamy eskortę złożoną z czterech konnych żandarmów, gotowych w każdej chwili do strzału.

— Do diabła! To wygląda tak, jakbyście prowadzili jakiegoś ciężkiego zbrodniarza.

— O nie, to tylko mała formalność, senior. Wiem z pewnością, że jeszcze dzisiaj powrócisz pan do domu; ale jesteś pan obcokrajowcem. Stąd ta eskorta.

— Nie lękam się eskorty korregidorze. Sumienie mam czyste, pojedę więc z wami, nie myśląc nawet o oporze.

— Tak będzie najlepiej, senior. Nie trzeba nigdy fałszywie osądzać swego położenia lub go pogarszać. Może zaraz wrócimy i to razem.

Urzędnik był przekonany, że pojmanego czeka długie więzienie, ale musiał tak powiedzieć, aby sobie ułatwić wykonanie zadania.

— Czy w Rodriganda wiedzą dokąd pan mnie wiezie? — spytał Sternau.

— Tak.

— Kogo pan o tym powiadomiłeś?

— Kilku służących.

Nie było to prawdą, gdyż oprócz trójki spiskowców nikt o tym nie wiedział.

Późnym popołudniem przybyli do Barcelony, a powóz stanął przed ponurym, staroświeckim budynkiem, którego małe okienka były zakratowane grubymi, żelaznymi prętami.

— Proszę wysiadać! — rzekł urzędnik.

Sternau'a wprowadzono na podwórze, potem na wąskie schody, a stamtąd do wielkiej, pustej sali, w której było tylko jedno okno, ale za to wiele bocznych drzwiczek.

— Proszę zaczekać! — rzekł korregidor.

Zapukał do jednych drzwi i zniknął za nimi. Pozostali milczący żandarmi. Trwało to długo, bardzo długo zanim urzędnik pokazał się znowu.

— Proszę wejść! — rzekł krótko.

Lekarz znalazł się w izbie o dwóch zakratowanych oknach. Przy trzech ścianach stały szafki z aktami, a przed oknem ujrzał potężne biurko, przy którym siedział mały człowiek, który patrzył na przybysza groźnym wzrokiem.

Po chwili wziął arkusz papieru, pióro i zapytał:

— Jak się pan nazywasz?

— Sternau.

— Imię.

— Karlos.

— Skąd?

— Z Moguncji.

— Gdzie to leży?

— W Niemczech.

— A! Jesteś pan Niemcem? Jaki masz pan zawód?

— Jestem lekarzem. Ale pozwól mi też o coś zapytać.

— O co?

— Kim pan jesteś i co ja tu robię?

— Jestem korregidorem. Tak mnie masz nazywać, a co pan tu robisz, to o tym dowiesz się później, podczas przesłuchania.

— Przesłuchania? To brzmi tak, jakby prowadzono jakieś śledztwo?



— To nie tylko tak brzmi, ale tak jest — odrzekł człowieczek, z miną zadowoloną z cudzej szkody. — Zresztą niech pan nie sądzi, że jest tu po to, aby zadawać pytania. Ja tu jestem od tego, pan zaś ma odpowiadać. Więc jesteś pan lekarzem?

— Tak — odrzekł Sternau postanowiwszy sobie, być przez cały czas możliwie posłusznym.

— Co za lekarz?

— Jak pan to rozumie?

— Dla bydła czy dla ludzi?

— Dla ludzi.

— Jakich chorób?

— Wszystkich — odpowiedział Sternau, pytania zaczęły wprawiać go w dobry humor.

— Wiek?

— Dwadzieścia sześć lat.

— Byłeś pan już karany?

— Nie.

— Ale czy to prawda?

— Tak, oprócz...

— No, oprócz... tylko śmiało!

— Z wyjątkiem klapsa, który otrzymałem od matki, gdy byłem jeszcze małym chłopcem.

Śledczy wybuchnął:

— Człowieku, myślisz, iż będziesz śmiało stroić sobie żarty? Każę zaraz na miejscu pana zakuć.

— Zakuć? Ba! — odpowiedział Sternau, który nie widział powodów do powagi.

— Co to znaczy „ba”? Odpowiadać! Reszta sama się znajdzie! Jesteś pan żonaty?

— Nie.

— I nigdy nie byłeś?

— Nie.

— Masz pan majątek?

— Nie.

— A! Naprawdę nie? — zapytał chytrze.

— Nie.

— Jaką ma gotówkę?

— Może trzydzieści duros.

— Daj pan tutaj.

Sternau oddał swą sakiewkę, a korregidor przeliczył jej zawartość. Potem zanotował sumę, tak jak każdą odpowiedź bardzo, dokładnie.

— Gdzie ostatnio przebywaliście?

— W Rodrigandzie?

— A wcześniej?

— W Paryżu.

— Dlaczego nie pozostałeś pan w Paryżu?

— Gdyż przywołano mnie do Rodrigandy, abym leczył hrabiego Emanuela.

— Leczyłeś go pan?

— Tak jest.

— A wolno panu?

— Kto by mi śmiał zabronić?

— Ja! — rzekł mały człowiek z naciskiem. — Byłeś pan jako lekarz na posadzie w Rodrigandzie?

— Nie.

— Miałeś pan pozwolenie?

— Nie.

— Egzamin w Hiszpanii.

— Nie.

— Zapłaciłeś pan w Hiszpanii podatek dochodowy?

— Nie.

— A jednak leczyłeś, zajmowałeś się medycyną, opatrywałeś pan chorych. Jedną zbrodnię już się panu udowodniło przy pierwszym przesłuchaniu. Możesz pan odejść!

— Mówiłeś senior o pierwszym przesłuchaniu?

— Tak.

— Będzie ich więcej?

— Rozumie się.

— Ile?

— Dużo, bardzo dużo.

— A gdzie ja tymczasem pozostanę?

— Gdzie? Głupie pytanie. Pozostaniesz pan tutaj, przy mnie,

— Przy panu? Co to znaczy?

— W drugim korytarzu, pod numerem czwartym. Wszystko już oznaczone i skończone.

— Czy to może znaczy, że jestem zatrzymany?

— Rozumie się! — pisnął mały.

— Na jakiej podstawie? — zapytał rozgniewany Sternau.

— O tym dowiesz się później.

— Do stu diabłów, senior, mam przecież prawo żądać odpowiedzi! — wykrzyknął Sternau.

— A tak, prawo pan masz, ja zaś mam prawo nie odpowiadać panu.

— Słyszałeś pan i nawet zapisałeś, że jestem Niemcem...

— Słusznie, bardzo słusznie!

— Pragnę mówić z moim konsulem!

— Dobrze, dobrze, senior, postaram się o to.

Mocno zadowolony zadzwonił i w drzwiach ukazał się zachmurzony, tęgi chłop, który przyglądał się Sternau bardzo uważnie. Miał na sobie coś w rodzaju uniformu.

— Ten pan chce mówić z konsulem niemieckim — rzekł korregidor do niego. — Prowadź go do konsula, ale szybko, szybko!

Człeczysko zasapał jak wieloryb, pokazał ręką na drzwi i wyrzekł:

— Naprzód, marsz!

Było to jednak dla lekarza zbyt wiele, po namyśle zwrócił się do korregidora:

— Śmiem prosić o moją sakiewkę, senior.

— No, prosić pan możesz, ale jej pan nie otrzymasz!

— Dlaczego?

— Tu nikt nie śmie posiadać sakiewki. Nie jesteśmy na targu. Idź pan do konsula.

Jasne było, że kpi sobie ze Sternau'a. Ten zaś przekonał się, że najlepiej będzie kpiny ignorować. Był więźniem, ale przecież nie mógł nim zostać na zawsze. Szedł nie mówiąc nic więcej, za klucznikiem. Weszli do ciemnego korytarza, który miał przy wejściu zawieszoną tabliczkę z numerem drugim. Na prawo i na lewo były cele więzienne. Koło drzwi oznaczonych liczbą cztery klucznik zatrzymał się i otworzył dwoje po sobie następujących, obitych żelazem drzwi.

— Naprzód, marsz!

Zdawało się, że to były jedyne słowa, które człowiek ten znał. Kiedy Sternau wszedł do celi, podwójne drzwi zostały zatrzaśnięte z wielkim hukiem.

Nadzwyczaj ponuro było w małej celi, światło wpadało do środka przez malutki otwór, który ledwie można było dosięgnąć ręką. Cella była na sześć stóp długa, a na cztery szeroka. Na podłodze leżały dwa cuchnące materace, na jednym z nich leżał jakiś człowiek. Na widok nowego więźnia podniósł się.

— A, nowy przyrost! — dał się słyszeć słaby głos. — Dobry wieczór!

— Dobry wieczór — odpowiedział.

— Jesteś nowicjuszem? — zapytał dotychczasowy mieszkaniec.

— Tak — odpowiedział.

— Dlaczego tu jesteś?

— Sam nie wiem.

— Aha, przede mną nie musisz kłamać!

— Mówię prawdę.

— No, no. Tak każdy powiada, siadaj!

— Na czym?

— Na materacu.

— A czysty?

— Hm.

Odpowiedź ta mieściła w sobie wszystko. Poznał jednak, że powstrzymywanie się nie na wiele mu się tutaj przyda.

— Czym jesteś? — zapytał

— Lekarzem.

— Lekarzem? Na pewno? — brzmiało ucieszne pytanie.

— Tak.

— No, to proszę o wybaczenie, senior, że śmiałem mówić per „ty”. Teraz już wierzę, że pan nie wiesz dlaczego się tu wziąłeś. Kto pana przesłuchiwał? Korregidor?

— Tak.

— Przeklęty drab! Wiesz pan, kiedy doczekasz się przesłuchania?

— Kiedy?

— Po dwóch albo trzech miesiącach.

— To straszne.

— On inaczej nie postępuje. Jest pan głodny?

— Nie.

— Klucznik przyniósł mi podwójną wieczerzę, stąd domyśliłem się, że otrzymam towarzysza.

— Z czego składa się ta wieczerza?

— Z suchego chleba i zgniłej wody.

— A śniadanie?

— Z niczego.

— Obiad?

— To parę łyżek gorącej wody, z dwunastoma groszkami lub soczewicą.

— Długo pan tu przebywa?

— Trzy lata.

— Do stu diabłów! Przy takim jedzeniu?

— Tak, to zniszczyło moje życie. Jestem chory, śmiertelnie chory i dlatego cieszę się serdecznie, że jesteś pan lekarzem. Wprawdzie nic pan tutaj nie pomoże, ale przynajmniej powiesz, jak długo mogę jeszcze żyć. Daj Boże, bym rychło mógł skończyć.

Sternau zapytał:

— Jak długo masz pan tu siedzieć?

— Osiem lat.

— Tego nikt nie wytrzyma. Czy mogę zapytać, za co pan tu siedzi?

— Oczywiście! Odpokutowałem tutaj pełne trzy lata. Cieszy mnie, że wreszcie mam koło siebie człowieka i powiem panu całą prawdę, potłukłem w gniewie jednego człowieka.

— Na śmierć?

— Nie. Gdyby mi się udało, to byłoby o jednego łajdaka na świecie mniej.

— Co panu dolega?

— Ból w krzyżach. Przedtem była to choroba żeglarzy, tęsknota za morzem, która zjada siły i wysysa wszystkie soki, senior.

— Jesteś pan żeglarzem?

— Tak, byłem sternikiem.

— Co za nieszczęście. Wolne, otwarte morze, a tu, ta diabelska dziura.

— O, tak, panie! Płakałem i wzdychałem, wściekałem się i szalałem, tłukłem głową o mury, ale to wszystko na nic. Kiedy siły odeszły a głód mnie naruszył, stałem się z każdym dniem spokojniejszy. Wkrótce wywloką mnie i rzucą w kąt, zakopią daleko od miejsca, na którym grzebią tak zwanych porządnym ludzi. A to wszystko mogę zawdzięczać jednemu adwokatowi.

— W takim razie jesteśmy towarzyszami niedoli. Nie wiem wprawdzie jeszcze, o co mnie będą oskarżać, ale z pewnością się nie mylę, jeżeli powiem, że adwokatowi mogę zawdzięczać moje uwięzienie.

— Skąd pana tu sprowadzono?

— Z Rodrigandy.

— O Panie, czy to możliwe? Mnie też tam pojmano.

— Naprawdę? — zapytał Sternau zdziwiony. — Jak się nazywa adwokat, o którym pan mówisz?

— Gasparino Kortejo.

— Do stu diabłów! Toż to on! Pobiliś pan tam kogoś?

— Jego właśnie.

— Kortejo?

— Tak. Opowiem panu później. Teraz nie mogę już mówić dłużej, jestem na to za słaby. Tam w kącie leży garnek z wodą, obok leży chleb. Życzę dobrej nocy.

Sternau ułożył się na materacu, jak mógł najwygodniej, a że miał czyste sumienie, więc spał spokojnie. Kiedy na drugi dzień ocknął się, do celi wpadało skąpe światło, a jego towarzysz już nie spał.

— Od dawna się panu przyglądam — rzekł — i poznaję, że pan tu nie pasujesz. Może wolałby pan być sam. Tutaj więźniowie mają osobne cele, tylko ja dostałem towarzysz, gdyż jestem już jedną nogą na tamtym świecie. Jeżeli pan im powiesz, to otrzymasz osobną celę.

— Nie, chętnie zostanę z panem.

— Dziękuję, może nie będzie pan tego żałował.

— Kiedy otworzą drzwi?

— W południe.

— To można wtedy powiedzieć, czego sobie życzę?

— Tak, ale to nic nie da. Pański los jest już rozstrzygnięty. Nie pomoże panu tutaj ani prośba, ani groźba, ani podstęp ani przemoc.

— Jestem cudzoziemcem, chcę zgłosić się do swojego konsula.

— Swojego konsula nigdy pan nie zobaczysz. Wierzaj mi! Kortejo pana tu wtrącił, korregidor jest jego wiernym przyjacielem, obaj zaś największymi łotrami na świecie.

— Przerażasz mnie pan.

— Mówię czystą prawdę. Byłem silnym mężczyzną, pełnym chęci do życia. Widzisz pan mnie teraz?

Oparł się o mur i zamknął oczy. Wyglądał jak szkielet. Sternau nie miał potrzeby badać go dokładniej, wiedział już, że człowiekowi temu zostało jeszcze parę tygodni. Czyżby jego też czekał taki los?

W południe odsunęła się zasuwka w drzwiach i podano dwa garnki zupy. Był to opisany przez więźnia ukrop z dwunastoma groszkami.

— Kluczniku! — zawołał Sternau — Bądź pan tak dobry...

— Naprzód, marsz! — zagrzmiało pod drzwiami, zasuwka zapadła i Sternau nie musiał nawet kończyć swego zdania.

— Tak będzie za każdym razem — rzekł jego towarzysz, — po jakimś czasie zaniechasz wszelkich prób.

Wieczorem obaj otrzymali suchy chleb i wodę. Tak minął tydzień, a potem drugi i nawet najmniejsza zmiana nie nastąpiła. Sternau stracił swój spokój. Nie mógł ani jeść, ani pić. Klucznik nie słuchał żadnego pytania. O ucieczce nie można było nawet myśleć: mury były grube, okna za wysoko i za małe.

Upłynął miesiąc, a potem drugi, nadszedł grudzień. Obaj towarzysze niedoli leżeli właśnie na swych materacach i rozmawiali o zbliżających się świętach, po czym zaczęli rozmyślać o swoim położeniu i jego przyczynie.

— Panie — rzekł do Sternau towarzysz. — byłem tęgim, czasem trochę dzikim chłopem. Bardzo chciałbym, by ten Kortejo dostał się w takie pięści, jak ja dawniej miałem. No, miałby się z pyszna!

— Może dostanie się w moje.

— Życzę mu tego, gdyż pan jesteś prawdziwym Goliatem. Jesteś pan stworzony na żeglarza. Z potężnym knutem w dłoni mógłbyś pan śmiało iść na dwudziestu Murzynów lub dziesięciu Anglików.

— Skąd panu przychodzą do głowy ci Anglicy i Murzyni?

— Chce pan to wiedzieć?

— Chcę.

— Będzie pan miał potem bardzo złe zdanie o mnie, niech tam... zasłużyłem sobie na to. Dawno mi to leżało na sercu i chciałem to panu powiedzieć.

— Opowiadaj pan śmiało. Każdy człowiek ma swoje błędy.

— Ale nie takie. Czy wiesz pan, kim byłem?

— No, kim?

— Najpierw porządnym żeglarzem, potem handlarzem niewolników, a wreszcie... piratem.

— To niemożliwe.

— Prawda, nie wierzy pan, żeby schorowany, leżący przed nim człowiek, mógł być dawniej takim łotrem? Nazywam się Jakub Garbilot. Poświęciłem się żeglarstwu, ale niestety... dostałem się między złe towarzystwo. Było to na okręcie „Lion”, którym dowodził kapitan Grandeprise. Nie przeczuwałem zgoła, że jest on piratem i handlarzem niewolników, lecz już na drugi dzień we wszystkim się zorientowałem, lecz było za późno. Wypłynęliśmy

już na otwarte morze. Kapitan Grandepriise był Amerykaninem i wcielonym diabłem zarazem, potrafił mnie z czasem też przerobić na diabła. Widziałem jak niejeden Murzyn z rozpaczy i tęsknoty za rodzinną ziemią wskakiwał do wody. Nie raz walczyłem z Anglikami, ciągle na nas polującymi, musiałem skrócić życie niejednego biedaka. Ale kara w końcu i mnie dosięgła. Kapitan był w ścisłych stosunkach z notariuszem...

— Z Kortejo?

— Tak. Jakiego rodzaju to były sprawy, nie wiem. Ale ilekroć zawinęliśmy do portu w Barcelonie, notariusz przychodził na pokład i tam godziny spędzali nad księgami.

— To szczególne! — rzekł Sternau zamyślony — Czy znasz pan może kapitana Henryka Landolę?

— Nie znam.

— A okręt „La Pendola”?

— Także nie. Jaki to ma związek z naszą sprawą?

— Ten Landola również jest wspornikiem Kortejo.

Sternau nie przeczuwał wcale, że Grandepriise i Landola to jedna i ta sama osoba, a „Lion” i „Pendola” są jednym okrętem.

— To bardzo możliwe — rzekł więzień. — Ma on widocznie dużo pieniędzy. Pewnego dnia musieliśmy w Meksyku załatwić pewien interes i...

— W Meksyku? — przerwał mu Sternau. — W jakiej miejscowości?

— W Vera Cruz. Dlaczego pan pyta?

— Bo Meksyk bardzo mnie interesuje.

— Chodziło o to, że mieliśmy umieścić na pokładzie więźnia.

— Pomogliście mu w ucieczce?

— Nie, przeciwnie. Musieliśmy go najpierw porwać.

— Dlaczego?

— Nie wiem; to sprawka kapitana. Sprowadzono go na statek i rzucono do małego przedziału za główną kajutą, gdzie nikt go nie mógł widzieć.

— Pan także nie?

— Widziałem go, gdyż byłem obecny przy pojmaniu. Był to piękny, silny mężczyzna z blizną na prawym policzku. Jeśli się nie mylę, kapitan nazywał go Ferdynandem. Płynął z nami dokoła przylądka, a potem wzdłuż brzegów Afryki aż do Zejła, gdzie wysadziliśmy go na ląd i sprzedaliśmy w Harrar.

— Białego?

— Tak.



— Ależ to okropne.

— Wcale nie gorsze niż sprzedaż czarnego. Człowiek równy człowiekowi. Zresztą nie mogłem temu przeszkodzić. Po naszym powrocie zatrzymano kapitana w porcie i ja musiałem w jego zastępstwie udać się do Rodrigandy, by przekazać notariuszowi, że Meksykańczyk został pojmany. Człowiek ten, według życzeń Kortejo najprawdopodobniej miał zginąć, gdyż zostałem solidnie złajany. Ja naturalnie nie pozostałem mu dłużny, tak że w rozdrażnieniu porwał się na mnie. Odpląciłem mu porządnym, żeglarskim ciosem. Upadł jak worek, a ja odszedłem. Następnego dnia zjawił się w Barcelonie na naszym pokładzie i wydawało się, że całą rzecz puścił w niepamięć. W kilka dni później, kapitan doręczył mi list, który miałem odnieść do korregidora i czekać na odpowiedź. Przyjęto mnie bardzo grzecznie i oddano dozorcę więzienia. Ten umieścił mnie w tej celi, której już więcej nie opuściłem, aż jednego dnia zjawił się korregidor przed otwartym okienkiem, zwiastując mi wyrok. Oto mój cały los, senior! Sternau nie przeczuwał nawet, jak mu się kiedyś przyda wyznanie tego majtka.

Jakub Garbilot upadał z każdym dniem na siłach, a wraz ze słabością rósł jego poważny nastrój i żal nad minionym życiem. Myślał o wieczności i gorąco pragnął pojednania z Bogiem.

Klucznik, widząc w jakim jest stanie, przyrzekł mu nawet, że przyśle do celi księdza.

Minął jakiś czas i nadeszły święta Bożego Narodzenia.

Była właśnie wigilia. Garbilot leżał bliski śmierci na materacu, a Sternau siedział przy nim. Wtem obaj usłyszeli donośny dźwięk dzwonów kościelnych. Nadeszła godzina, w której ludzie kochają się i nawzajem obdarzają. Sternau'a myśli błądziły daleko, myślał o drogich osobach, o Rodrigandzie i... płakał jak dziecko.

Wtem zgrzytnął klucz w zamku, drzwi otwały się i wszedł klucznik, a za nim zakonnik.

— Spowiadaj się! — rzekł do umierającego, potem odwrócił się do Sternau'a i rzekł swoje nieśmiertelne: — Naprzód, marsz! — wskazał na otwarte drzwi.

Garbilot mozolnie podniósł się i prosił:

— Zostaw go. Był dotąd mą jedyną podporą, może także wysłuchać mojej spowiedzi.

Klucznik spojrział na zakonnika pytającym wzrokiem, ten skinął głową na znak zgody, zezwolił więc na to, w milczeniu wychodząc z celi.

Zakonnik usiadł na krawędzi materaca, badając wzrokiem obu więźniów, potem rozpoczął głuchym głosem modlitwę. Kończąc spojrział znacząco na drzwi, tak że Sternau zrozumiał, że przybył nie tylko po to by nieść pociechę umierającemu. Potem ciągnął dalej:

— Lud co szedł w ciemnościach ujrzał nagle wielkie światło i jasność otoczyła tych, którzy dotąd błądzili wśród ciemnej nocy.

Mówiąc to, rzucił niepostrzeżenie jakiś przedmiot na materac Sternau'a, ten uchwycił go i poczuł wielki ciężki klucz.

Owładnęło nim uczucie niewypowiedzianej radości. Spowiednik rozpoczął rozwodzić się nad znaczeniem dnia dzisiejszego, potem wysłuchał spowiedzi konającego i udzielił mu rozgrzeszenia.

Głęboki spokój rozjaśnił chude oblicze Garbilota.

— Nie będę już żyć ani godziny dłużej; dzięki ci ojczy — wyszeptał. — Zostań ze mną aż do śmierci i powiedz memu przyjacielowi, by także został.

— Zostaniemy przy tobie — odpowiedział zakonnik, schylając się nad nim, a przy tej sposobności coś wsunął do ręki lekarzowi.

Wkrótce rysy chorego zmieniły się, a ksiądz wziął święty olej, by udzielić konającemu ostatniego namaszczenia. Gdy skończył, Garbilot wyciągnął ręką w kierunku Sternau'a i szepnął:

— Żegnaj! Dziękuję panu! Żyj pan wolny... wolny... i szczęśliwy...

Były to jego ostatnie słowa. Ciało jego poczęło więc się w pośmiertnych skurczach, ostatnie westchnienie dobyło się z piersi, a potem było już po wszystkim.

Zakonnik modlił się przez chwilę nad zwłokami, potem podszedł do drzwi i głośno zapukał. Klucznik odprowadził zakonnika i szybko powrócił. Spojrzał na trupa i rzekł:

— Umarł?

— Tak — odpowiedział Sternau.

— Nie może tu leżeć, trzeba go wynieść! — potem zmierzył wzrokiem olbrzymią postać Sternau i spytał — poniesiesz go?

— Nie mam nic przeciwko temu — odpowiedział zapytany, siłąc się na obojętność, choć drżał ze wzruszenia.

— Podnieś go i idź za mną.

Sternau wziął trupa na ręce i powoli szedł za klucznikiem. Kroki w cichym, pustym budynku było wszędzie słyhać. Tak zeszli do małego podwórza, który przed dwoma miesiącami przemierzał Sternau. Klucznik otworzył jedno z licznych drzwi, było to małe pomieszczenie, gdzie obok długiego stołu leżały dwie trumny.

— Trupiarnia — rzekł. — Położyć!

Ponury widok przedstawił się oczom Sternau. Jednak stłumił to uczucie i odzyskał dawną równowagę.

— Naprzód, zwłoki na stół! — rozkazał klucznik ostrym tonem. Sternau posłuchał, a klucznik podszedł, by razem z lekarzem ułożyć zwłoki na stole. Pęk kluczy zostawił w zamku.

— Naprzód marsz! — rozkazał, gdy już wszystko było skończone.

— Nie, w tył marsz! — rozkazał Sternau.

Pięść jego podniosła się i z siłą błyskawicy spadła na skroń klucznika, który upadł bez przytomności.

— Bogu dzięki! Mam jeszcze swą siłę! — uradował się.

Zostawił klucznika, zamknął trupiarnie i pospieszył przez ciemny korytarz. Dostał się do bramy i wyciągnął klucz, drżąc z niepokoju, czy nim otworzy... rzeczywiście drzwi stały otworem.

Ze wszystkich okien sąsiednich domów błyszczało uszczęśliwiające światło świątecznych choinek. Był wolny!

## Zbawcza miłość

Hrabianka Róża odprowadziła swą przyjaciółkę do Pons i z pośpiechem wracała do domu, do zamku Rodriganda. Jakieś dziwne uczucie przerażenia nie opuszczało jej. Gdy tylko wsiadła do powozu rozkazała stangretowi popędzić konie.

Przybywszy do zamku, przebrała się szybko i zaraz poszła do mieszkania kasztelanów. Zastała ich zajętych rozmową na temat doktora Sternau.

— Czy doktor jest w domu? — zapytała.

— Nie — odrzekł Alimpo.

— Gdzie jest?

— Wyjechał, łaskawa panienko, moja Elwira może to potwierdzić.

— Dokąd?

— My sami nie wiemy — dodała kasztelanowa.

— Nie powiedział wam?

— Niestety nie.

— Czy pojechał sam?

— Nie, pojechał w jakimś obcym powozie, mój Juan powie to samo.

— W czyim powozie?

— Korregidora z Manresy.

— Co! — zawołała przestraszona przeczuwając jakieś nieszczęście. — Elwiro, opowiedz jak to było.

— To stało się tak — rzekła kasztelanowa. — Przyjechał powóz, z którego wysiadł korregidor. Poszedł na górę do seniora Gasparino, a potem do pana doktora i wyjechali razem.

— Dokąd?

— Gościńcem do Manresy, mój Juan powie to samo.

— Dobrze! Alimpo rozkaż, by dwa konie zaprzęgnięto do mego powozu.

— Czy pani znowu odjeżdża, droga hrabianko?

— Prawdopodobnie.

Poszła wprost do mieszkania adwokata, który siedział przy biurku i coś pisał. Hrabianka bardzo rzadko do niego zaglądała, dlatego na jej widok bardzo się zdziwił.

— A, donia Róża! Proszę łaskawie usiąść — rzekł podsuwając jej krzesło.

— Nie ma na to czasu — rzekła z pośpiechem. — Przychodzę, aby zadać panu tylko jedno pytanie.

— Jakie?

— Widział pan senior Sternau'a?

— Teraz nie.

— On wyjechał.

— Nic o tym nie wiem.

— Z korregidorem z Manresy.

— Nie mam najmniejszego pojęcia — rzekł kiwając głową ze zdziwienia.

— To może pan nic nie wie, że korregidor był w Rodriganda?

— Nie.

— Także i o tym, że pana odwiedził?

— Nie.

— Pan kłamie! — krzyknęła gwałtownie — Bezwstydnie kłamie!

— Hrabianko! — odparł prawie groźnym tonem.

— Jak śmiesz pan sobie pozwalać na taki ton wobec mnie! W tej chwili udaję się do korregidora. Jeżeli się dowiem, że znowu przedsięwzięto jakąś diabelską sztukę, do której pan, jak zwykle przyłożył rękę, potrafię temu przeszkodzić i panu i temu drugiemu w krecim działaniu.

Suknia tylko zaszeleściła, tak szybko wybiegła, pozostawiając adwokata w nieopisanym zdumieniu. Przystąpił do okna i rzeczywiście zobaczył jak wsiada do powozu i odjeżdża w kierunku Manresy. Natychmiast udał się do siostry Klarysy.

— Dokąd Róża odjeżdża — rzekła ujrzawszy swego przyjaciela.

— Do Manresy, do korregidora.

— A czego tam szuka?

— Dowiedzieć się, dokąd udał się Sternau.

— Rzeczywiście Gasparino, ona też zaczyna być niebezpieczna.

— Widzę i użyję wszystkich dostępnych mi środków. Czy nie wiesz w jaki sposób można by jej trochę kropel wlać do gardła?

— Ja już to załatwię, jak tylko owe krople będę miała.

— Kiedy?

— Przy wieczornej herbacie.

— Dobrze, krople zaraz dostaniesz.

— A moją zapłatę? — spytała chciwie.

Wzruszył niecierpliwie ramionami i rzekł:

— Niech ci będzie, twoje dawne życzenie spełni się.

— Wstąpi do mego zakładu?

— Tak i to z połową swego majątku.

— Z połową tylko? A cóż się stanie z resztą?

— Ja ją dostanę. Alfonso okraść nie możemy, więc podzielimy się częścią Róży.

— Zgadzam się na wszystko, daj mi tylko te krople. Powrócił do swego pokoju i napełnił małą flaszeczkę wodą, do której wpuścił dwie krople trucizny i zaniósł płyn Klarysie.

Tymczasem Róża przybyła do Manresy, przed dom sędziego. Żona właściciela wybiegła z pośpiechem, zdziwiona takim zaszczytem i poprowadziła hrabiankę do swych najlepszych pokoi.

— Czy mąż jest w domu i czy mogę z nim porozmawiać? — spytała hrabianka.

— Niestety nie ma go.

— Wyjechał?

— Tak, służbowo. Towarzyszyło mu czterech żandarmów.

— A! — wyszeptała pobladła Róża. — Dokąd pojechał?

— Niestety tego nie wiem, w sprawach urzędowych milczy jak grób i niczego nigdy nie zdradzi.

— I nie wie pani, co lub kto był przyczyną tego wyjazdu.

— Łaskawy brat pani, don Alfonso. Przyjechał z wielkim pośpiechem i mąż zaraz potem posłał po żandarmów.

— Czy nie powiedział kiedy wróci?

— Nie.

— To przyjadę jutro.

Dowiedziała się przynajmniej tyle, że znowu coś nowego knuli, więc szybko powróciła do Rodrigandy i kazała służbie poprosić do siebie brata.

— Byłeś dzisiaj w Manresie? — spytała.

— Tak.

— W jakiej sprawie?

— W jakiej sprawie mogłem być, jak nie dzisiejszych wydarzeń?

— Co rozumiesz pod stwierdzeniem dzisiejsze wydarzenia?

— Znalezienie trupa.

— Czy to prawda?

— A dlaczego nie? Jesteś jakaś dziwna, musiało cię coś zdenerwować.

— Naturalnie. Dlaczego w tej sprawie sprowadziłeś sędziego i czterech żandarmów?

— Mieli wykryć, że tego człowieka umyślnie zrzucano w dół, — kłamał bez zająknięcia — więc żandarmi muszą szukać sprawców.

Dała się okłamać.

— Aha, to tak się sprawy mają. Czy nie wiedziałaś gdzieś Sternau'a?

— Nie.

— Szukam go wszędzie.

— Ja nie.

— Dziękuję ci, możesz odejść. Złożył ironiczny ukłon i rzekł:

— Hrabia Alfonso de Rodriganda nie pozwala się odprawić przez siostrę jak jakiś sługa i oznajmiam ci, że raczę jeszcze zostać.

— Jak to, dlaczego? — spytała ze zdziwieniem.

— Tak sobie, rozbawić trochę moją siostrę.

— To zuchwałość.

— Nie wiem co ty właściwie do mnie czujesz, czy to jakieś uprzedzenia, czy rzeczywista niechęć, bo brakuje mi bardzo siostrzanej troskliwości i czułości. Muszę przełamać tę twoją niechęć. Pozwól siostrzyczko, że cię ucałuję.

Zbliżył się do niej, by spełnić obietnicę, lecz odtrącił go od siebie z pogardą.

— Nie podchodź za blisko! — rzekła rozkazującym tonem. — Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

— Nic? — pytał, obrzucając jej piękną postać namiętym wzrokiem. — Ale dlaczego nie? Rózo jesteś bardzo piękną kobietą. To co później twój mąż będzie posiadał to może najpierw brat spróbuje?

Chciał ją objąć, lecz ona wymierzyła mu siarczysty policzek.

— Precz! — wołała. — Nienawidzę cię i pogardzam tobą, gdybym wszystkiego nie wiedziała, to twoje zachowanie powiedziałoby resztę.

— Co wiesz? — spytał gniewnie, trzymając rękę na policzku.

— Że ty nie jesteś moim bratem, tylko podłym oszustem.

— Nie bratem, kimże wobec tego?

— To się okaże, jak tylko Sternau, powróci, a nawet gdyby nie powrócił, przygotujcie się, że zedrę wam maski i całemu światu odsłonię to oszustwo.

— Tak się spawy mają! — rzekł sycząco — Nazywasz mnie oszukańcem, fałszerzem! Policzek mogę przyjąć, bo jesteś kobietą, ale za to drugie, drogo mi kiedyś zapłacisz.

Wyszedł z przekorną dumą złego człowieka, który wprawdzie poniósł klęskę, ale będzie ze wszystkich sił starał się ją pomścić. Róza posłała po kasztelanową, nie chciała być sama.

— Czy widziała łaskawa hrabianka, seniora Sternau'a? — było pierwszym, pytaniem wchodzącej kasztelanowej.

— Nie.

— To gdzie on się podziewa?

— Został aresztowany.

Pani Elwira poczęła ze strachu trzepać rękami i rzekła:

— Aresztowany? Mój Boże! Dlaczego?

— Tego nie mogłam się dowiedzieć.

— Aresztowany! O Boże, tego dobrego, poczciwego seniora śmieli aresztować? On z pewnością nie zrobił nic złego, on był najlepszym mężczyzną, lepszego w całym świecie się nie znajdzie. I taki silny, taki dumny i niezłomny. Chciałam tylko, aby pani go widziała, jak tam, w jarze złapał hrabiego Alfonso i trzymał nad przepaścią. Ach to było paradne, mój Juan powie to samo.

— Ależ ja nic o tym nie wiem. Opowiedział mi tylko o poszukiwaniach wokół zwłok, nic więcej.

— Tak, tak, on się nie chwali. Hrabia Alfonso porwał się na niego z pięściami, a doktor złapał go i trzymał jakiś czas ponad przepaścią, potem zaś z taką siłą rzucił o ziemię, że ten z trudem się podniósł.

Róży oczy zaświeciły dumą.

— Tak! On nie da się pokonać — rzekła. — Widziałam jak walczył, gdy w parku go napadło go trzech zbirów, on by i dziesięciu sam pokonał.

— Tak, powiedział wtedy, — dodała Elwira z wahaniem — że Alfonso musi dopiero dowieść, że jest synem hrabiego Emanuela, mój Juan może to potwierdzić.

— Powiedział nawet to? On rzeczywiście jest bardzo odważny.

— Nasi ludzie już dawno o tym przebąkiwali. Senior porucznik...

— Co wiecie o nim? — przerwała Róża.

— On był podobny do naszego hrabiego, tak nadzwyczaj podobny, te same oczy, ten sam głos. Czy pani tego nie spostrzegła?

— Tak. Nawet ojciec gdy go ujrzał, wziął go za swego syna.

— Czy jest nim w rzeczywistości? — pytała ciekawie Elwira.

— Senior Sternau jest o tym przekonany. Dowiedział się także, że porucznika porwano i wrzucono na okręt.

— Porwano? Wrzucono na okręt — wołała kasztelanowa załamując ręce. — Dlaczego?



— Aby nie odkrył oszustwa i nie zdemaskował oszustów. Ale o tym później pomówimy, moja Elwiro. Musisz dzisiaj cały wieczór przy mnie pozostać i zająć się herbatą dla mnie.

W kilka godzin później, gdy się już ściemniało jakiś jeździec zatrzymał się na skraju lasu. Zeskoczył z konia i poprowadził go w gąszcz. Sam zaś udał się do zamku, i poprosił jednego ze służących, by zapowiedział go Gasparinowi Kortejo.

— Kim pan jesteś? — spytał służący.

— Przyjacielem seniora, który chce go niespodziewanie odwiedzić — brzmiała trochę szorstka odpowiedź.

Kortejo był sam w pokoju, przypatrzył się uważnie obcemu, lecz nie mógł go poznać, zapytał więc:

— Czy to pan, kazał się zapowiedzieć, jako mój przyjaciel?

— Tak.

— Ale ja pana nie znam.

— Nie? A to muszę pomóc łaskawej pamięci.

Zdjął sztuczną brodę, z głowy zsunął perukę i dopiero wówczas został poznany.

— Kapitan! — zawołał Kortejo.

— Tak, kapitan który chce wam zadać jedno pytanie?

— Mów!

— Gdzie jest porucznik de Lautreville?

— A skąd ja mam wiedzieć?

— Doskonale pan wie, wie pan i to, że zwodzić może kogo chce, ale nie mnie. Porucznik nagle zniknął.

— A co mnie to obchodzi?

— Obchodzi i to bardzo wiele! Przypomniałem sobie naszą ostatnią rozmowę i rozważyłem każdy szczegół. Chciałeś go pan zamordować, gdyż go poznałeś.

— Chciałem się pozbyć nie tylko jego, także tego lekarza. Dlaczego pan znowu swego słowa nie dotrzymał?

— Bo chciałem się najpierw przekonać, czy pan dotrzyma swego.

— Dobrze, nie bawmy się w ciuciubabkę! Przyznaje pan, że ten porucznik, to hrabia Alfonso de Rodriganda?

— Tak.

— Po co przysłałeś go do zamku?

— To już moja rzecz.

— Wiedział kim jest?

— Nie. Gdzie jest teraz?

— Nie żyje.

Zbójca cofnął się o krok, przy czym płaszcz spadł mu z ramion, ukazując cały rząd bogatej broni zatkniętej za pasem.

— Nie żyje! — zawołał. — No, to mi pan za to zapłaci! Wszystko wyznam, by w końcu wyszło na jaw, co z was za łotr.

— Sami też się zdradzicie, bo byliście moim narzędziem i pomocnikiem.

— Kwit, który przed laty podpisaliście zdeponuje w sądzie. Przyniosłem go ze sobą, gdyż, chciałem wymienić za porucznika. Powiedzcie, czy on naprawdę nie żyje?

Po obliczu adwokata przemknął krótki i szybki jak błyskawica uśmiech.

— Rzeczywiście macie ten kwit ze sobą?

— Tak, czy porucznik żyje?

— Pokażę wam list, jaki w tej sprawie dostałem, zaczekajcie chwilę.

Wyszedł do sąsiedniego pokoju i wzięwszy naładowany pistolet oraz jakiś list szeptał pod nosem z ironią:

— Przychodzisz w samą porę. Poczekaj trochę, dostanę mój podpis, a potem pozbędę się niewygodnego świadka. Ha! Zwycięstwo na całym froncie.

Wrócił trzymając w ręce list.

— Muszę się jednak upewnić, że rzeczywiście masz ten papier przy sobie — rzekł spoglądając badawczo na bandytę.

— Tak, jest ukryty tutaj — odpowiedział, uderzając się dłonią w pierś.

— To czytajcie!

Podał list kapitanowi, który gdy tylko na niego spojrział, poznał, że to zwyczajny list, który nie zawiera żadnej wzmianki o poruczniku. Gdy zdziwiony podniósł wzrok ujrzał lufę pistoletu skierowaną wprost w głowę.

— Giń psie! — krzyknął notariusz.

Zahuczało i rabuś śmiertelnie ugodzony w czoło upadł na ziemię. Kortejo zaryglował drzwi i rozpiął kapitanowi surdut. Począł gorączkowo szukać, lecz na próżno, kieszeń była pusta.

— Oszukał mnie! — zamruczał wściekły. — Tak podle mnie oszukał. U niego był ten papier przynajmniej bezpieczny, lecz gdy jego ludzie to znajdą, wtedy jestem zgubiony!

Na korytarzu dały się słyszeć spieszne kroki. Notariusz szybko zapiął surdut na zwłokach, zza pasa wyciągnął pistolet, który położył na podłodze. Potem otworzył drzwi i krzyknął:

— Tutaj! Tutaj! Napadnięto mnie!

Służba wpadała do pokoju, a za nimi Alfonso, Klarysa i kasztelan.

— Widzicie tego człowieka! — wołał Kortejo. — Kazał się zapowiedzieć jako przyjaciel, a skoro wszedł i uznał, że jestem sam zażądał ode mnie pieniędzy, grożąc śmiercią. Udałem więc, że je wyjmuję, ale zamiast tego wyjąłem pistolet i zastrzeliłem go.

— O Boże! Toż to zbójca, autentyczny zbójca! — wołała Klarysa przerażona. — Patrzcie tylko na perukę i sztuczną brodę. Ale Bóg go pokonał ręką mocniejszego i w grzechach zabrał go ze świata.

— Przeszukajcie go dokładnie! — rozkazał Kortejo — Potem zanieście do piwnicy, jutro zgłoszę o tym władzy. Pokój mój musi być naturalnie zaraz oczyszczony.

Spełniono jego rozkaz, a gdy w końcu wszyscy się oddalili, Alfonso zapytał:

— Znałeś go?

— Nie.

— Hm, myślałem, że to ten kapitan, o którym wspominałeś, w takim razie wytłumaczenie całej sytuacji byłoby dość proste, po krótkiej sprzeczce uwolniłeś się od niebezpiecznego współnika i świadka.

— Ja go nie znam. Ale jak tam wszystko ustaliłaś, czy będziemy wspólnie pić wieczorną herbatę, czy Róża też będzie?

— Nie — odrzekła Klarysa — kazała sobie przynieść do pokoju.

— Czyli później?

— Już ją dostała.

Z tonu odpowiedzi i wyrazu oczu notariusz poznał, że sprawa się udała i krople zostały wlane do herbaty.

Gdy rozległ się strzał, Róża siedziała wraz kasztelanową w swoim pokoju.

— Co to było? — zawołała Elwira.

— Strzał! — odrzekła Róża — Co to ma znaczyć? Muszę iść, zobaczyć co się stało.

— O nie, nie droga hrabianko. Proszę zostać, tutaj ostatnio zbyt często dzieją się jakieś nieszczęśliwe wypadki, ja pani nie puszczę.

— Ale nikt mi przecież nic nie robi, strzał padł, jak mi się zdaje w mieszkaniu Korteja. Słyszysz kroki i głosy?

— Słyszę, ale proszę zostańmy tutaj, mój Juan jest bardzo spokojny, on pójdzie zbadać przyczynę strzału i o wszystkim nas poinformuje.

Rzeczywiście, kasztelan wkrótce przyszedł i oznajmił, że notariusz został napadnięty przez jakiegoś rabusia, a broniąc się zastrzelił go. Róża po wypiciu herbaty oświadczyła, że chce się położyć.

Na drugi dzień pokojówka kontezy z oznakami wielkiego wzburzenia przybiegła do kasztelanowej, prosząc ją z płaczem:

— Moja droga pani Elwiro, proszę ze mną do pokoju hrabianki, tylko prędko. Coś się z nią dziwnego dzieje.

— Co takiego?

— Musi być bardzo słaba.

— Święta madonno, czy to prawda? Już wczoraj wieczorem skarżyła się na ból głowy. Już biegnę.

Zostawiła wszystko i pobiegła za pokojówką. Gdy wbiegły do sypialni zastały hrabiankę klęczącą przy łóżku, jakby pogrążoną w modlitwie. Była tak blada, że zdawało się, że to posąg, a nie żywa istota.

— Moja droga hrabianko, proszę wstać — prosiła pokojówka. Róża nawet się nie poruszyła.

— Widzi pani, tak ją zastałam, gdy weszłam rano. — skarżyła się dziewczyna. — Podniosłam ją i posadziłam na krześle, lecz na próżno, ciągle klęka przy łóżku. Proszę mi pomóc.

Ujęły hrabiankę pod ramiona i podniosły, ale zaledwie ją posadziły, znowu zsunęła się na kolana i ręce złożyła jak do modlitwy.

— Ona jest bardzo słaba — szlochała kasztelanowa. — Żeby choć doktor Sternau był tutaj! Boże, ona jest zupełnie bez świadomości.

— Co robić, jak jej pomóc, seniora Elwira? — pytała dziewczyna płacząc.

— Ja nie wiem! Mój Boże, w czym ja mogę pomóc, spytam co najwyżej mojego Juana. Biegnij po niego.

Pokojówka wybiegła i po krótkiej chwili przyszli razem z kasztelanem. Róża klęczała przy sofie, z ledwo otwartymi oczami i splecionymi dłońmi. Kasztelan pomógł ją podnieść, lecz znowu ześlizgnęła się na klęczki, jakby do modlitwy. Jemu także zaczęły ciec łzy i w końcu rzekł:

— Połóżcie ją do łóżka i przyłóżcie zimne okłady, może to pomoże.

Obie kobiety zaczęły się szybko krzątać, on tymczasem wyszedł. Za drzwiami czyhała już pobożna Klarysa, która ujrzawszy go zapytała:

— Był pan u hrabianki?

— Tak.

— Czy już wstała?

— Ona jest bardzo słaba.

— Co się jej dzieje?

— Tego nie wiem.

— Muszę ją odwiedzić i zanieść słowa pocieszenia, to najlepsze lekarstwo dla cierpiących.

Weszła do pokoju, ale dość szybko wybiegła prosto do mieszkania notariusza. Skoro zobaczył ją rozgorączkowaną, zapytał:

— No jakże? Udało się? To można poznać po twoich oczach.

— Tak, oszalała.

— Co robi?

— Modli się.

— A to szczególnie, głośno?

— Nie. Jeżeli się ją podniesie, posadzi albo położy, zaraz zsuwa się na kolana i składa ręce do modlitwy. Przy tym w ogóle nie porusza ustami. Najwyraźniej rozum ją opuścił.

— Prawdopodobnie podczas modlitwy przyszedł napad szału i tylko ta myśl jej w głowie została. Zaraz wydam odpowiednie rozkazy, chodź ze mną.

Poszedł do mieszkania hrabianki Róży i przekonawszy się naocznie o chorobie hrabianki, przekazał ją pod opiekę siostry Klarysy. Od tej chwili nikt hrabianki nie widział i nic o niej nie słyszano.

\* \* \*

W dzień po tych wydarzeniach, drogą z Manresy do Rodrigandy szedł samotny mnich. Przybywszy do wsi wstąpił do gospody i kazał sobie podać szklankę wina. Gospodarz nie przyjął od niego zapłaty.

— Nie, nie wezmę — mówił. — Wypijcie jeszcze jedną lub dwie szklaneczki, zmówcie tylko za naszą chorą, parę „Zdrowasiek”.

— Kto jest chory?

— Nasz hrabianka Róża.

— Co jej dolega?

— Szaleństwo, jak powiadają.

— Boże, to straszne.

— Tak, wielbny ojcze, macie rację. Cała rodzina Rodrigandów strasznie ciężko ostatnio doświadczona. Najpierw hrabia stracił wzrok i jak tylko go wyleczyli dostał obłędu i przyplądzie szału rzucił się ze skały. Teraz córka, z bóleści po ojcu, oszalała. Wydaje się

człowiekowi, że jakiś zły duch zapanował w zamku. W parku napadnięto na doktora Sternau'a, który zginął, jakby w wodę przepadł, następnie napadnięto na hrabiankę i jej przyjaciółkę, potem gość hrabianki, jeden porucznik też znika bez śladu, w końcu pełnomocnika hrabiego w jego własnym pokoju napada rozbójnik.

— Jak się nazywa ten pełnomocnik?

— Gasparino Kortejo.

— A cóż to za rabuś, który go napadał?

— Jakiś obcy bandyta z fałszywą brodą i w peruce. Leży teraz w jednej z piwnic zamku, jutro go mają pochować, dzisiaj jest pogrzeb nieszczęśliwego hrabiego, na który mają zjechać wszyscy wielcy z całej okolicy.

— Gdzie go pochowają?

— W zamkowej kaplicy.

— Młody hrabia Alfonso zostanie teraz waszym panem?

— Tak.

— A lubicie go?

Gospodarz wahał się z odpowiedzią.

— Właściwie nie powinien zabierać w tej sprawie głosu, wy jednak ojciec duchowny, chyba mnie nie zdradzicie?

— Nie miejcie żadnych obaw.

— Hrabia Alfonso — ciągnął dalej gospodarz — nie jest mile widziany. Niektórzy wprost go nienawidzą. Szczęście z zamku Rodriganda uleciało chyba bezpowrotnie. Dawna służba także długo w zamku nie wytrzyma, a tamci wynajmą sobie pewnie takich samych, których charakter będzie podobny do charakteru hrabiego Alfonso i notariusza. Przyjdą więc jeszcze gorsze czasy.

— A kto ze służby może udzielić najdokładniejszych informacji o wypadkach ostatnich dni?

— Proszę pójść do kasztelana, senior Alimpo, to zacny człowiek.

— A czy zechce mnie poinformować?

— Oczywiście. Człowiek duchowny, tak jak wy ojciec, nie ma przecież złych zamiarów, jeżeli chce się czegoś dowiedzieć.

— No to pójde do niego. Bóg z wami, dziękuję za gościnę. Opuścił gospodę i powoli ruszył w stronę zamku, gdzie panował niezwykły ruch. Mnóstwo służby kręciło się po schodach i korytarzach, czyniąc przygotowania na przyjęcie zapowiedzianych gości, jednak

stąpali tak cicho, z twarzami tak bladymi, że byli bardziej podobni do upiorów. Dominikanin zapytał o kasztelana i udał się we wskazanym kierunku.

Pocziwy Alimpo siedział ze swoją Elwirą w pokoju, na twarzy obojga malował się niezwykle smutek.

— Ja tego nie wytrzymam — westchnął.

— Ja również — odpowiedziała płaczem Elwira.

— Wszystko przepadło, wszystko się skończyło.

— Tak wszystko, wszystko.

— Najlepiej zrobimy zabierając nasz zaoszczędzony grosz i dalej w świat, w daleki świat!

— Tylko nie daleko stąd — wtrąciła.

— Właśnie daleko, jak najdalej! — rzekł z gniewem. — Do Kafrów albo do Lapończyków. Co tu mamy jeszcze do roboty, dlaczego nie chcesz iść ze mną daleko?

— A nie słyszałeś, że mają stąd wywieźć naszą kochaną hrabiankę, w jakieś nieznanne miejsce?

— Słyszałem i co z tego?

— Co? To, że ja jej nie opuszczę i pojedę za nią choćby na koniec świata.

— Przecież ci na to nie pozwolą.

— To prawda, nie pozwolą. Mój drogi Juanie, to bieda, krzyż, nieszczęście.

— Tak bieda, wielka bieda — potwierdził.

Dało się słyszeć lekkie pukanie i do środka wszedł mnich.

— Czy to wy jesteście Alimpo, kasztelan tego zamku? — spytał pozdrowiwszy ich uprzejmie.

— Tak — odrzekł zapytany i podniósł się z krzesła.

Elwira również wstała z uszanowaniem i nie potrzebował długo na nich patrzeć, by wyczytać z ich twarzy wrodzoną dobroć.

— Wielki smutek zawisł nad tym zamkiem. Przychodzę jako posłaniec Zbawcy, którzy rzekł: „Chodźcie do mnie wszyscy, którzy się smucicie i troską obciążeni jesteście, a ja was pocieszę! Pragnę również serca wasze pocieszyć środkami, które nam wiara dyktuje, a może i w inny sposób mi się uda smutek waszych serc załagodzić”.

— Jesteście miłym gościem, ojczy — rzekł Alimpo. — Tak to prawda, smutek przysiadł nam na piersi, bo jedno nieszczęście za drugim spada i końca tych ciosów nie widać.

— Bóg jest potężny i często zsyła pomoc właśnie wtedy, gdy jej się jak najmniej spodziewamy — odrzekł zakonnik. — Może to mnie, wysłał z pomocą. Czy zechcecie mi zaufać?

— Chętnie, — odrzekła kasztelanowa — bo żyjemy w wielkim zmartwieniu, prawda mężu?

— Oj tak, moja Elwiro — odrzekł kiwając frasobliwie głową.

— I nie mamy nikogo, komu moglibyśmy powierzyć nasze smutki, nieprawdaż Juanie?

— Ale przecież w zamku tylu macie towarzyszy, którzy tak jak i wy przeżywają ten dramat — zauważył zakonnik.

— Tak mamy, ale oni nie mówią i nie przestają z nami — objaśnił kasztelan.

— A to dlaczego?

— Bo się boją młodego hrabiego i seniora Kortejo.

— Czy ci im zakazali z wami przestawać?

— Otwarcie nie, ale odkąd popadłem w niełaskę, sami się od nas odsuwają.

— W niełaskę? A to dlaczego?

— Bo nie chciałem opuścić hrabianki i wydać ją w ich ręce, ja i moja Elwira chcieliśmy ją pielęgnować. Odmówili nam, ale ponieważ jesteśmy bardzo do hrabianki przywiązani, próbowaliśmy się mimo tego dostać do niej, a skutek był tak, że musiałem zrezygnować z mego urzędu. Nie pozostaje mi tu nic więcej do roboty, jestem niepotrzebny i mam jak najprędzej opuścić zamek. Oto powód, dlaczego wszyscy od nas stronią, nawet i ci, których dotąd uważaliśmy za przyjaciół.

— Na pewno przypomną sobie o was, gdy miną dni wytężonej pracy. Słyszałem, że mają dzisiaj pochować hrabiego?

— Tak mówią, ale ja w to nie wierzę — rzekł Alimpo nadąsany.

— Co? Nie wierzycie? — spytał zakonnik zdziwiony.

— Tak, nie wierzę!

— Że hrabiego chowają? A cóż mają z nim zrobić?

— A, ten trup, to nie jest hrabia!

— Ten trup?

— Tak, jeszcze raz powtórzę, ten umarły, czy zabity to nie jest hrabia.

— Kto to powiedział?

— Doktor Sternau. Lekarz, który leczył hrabiego. Byłem w jarze obok niego i dobrze słyszałem co mówił.

— Opowiedzcie mi o tym doktorze.

Byli szczęśliwi, że się mogą komuś bez obawy zwierzyć, więc opowiadali mu na przemian wszystko, co się w ostatnich dniach zdarzyło. Zakonnik przysłuchiwał się z uwagą, a gdy skończyli zapytał:



- Więc jesteście przekonani, że porucznik de Lautreville został porwany?
- Jesteśmy przekonaniu, senior Sternau i hrabianka byli tego samego zdania, a do tego doktor dowiedział się, że porucznik przemocą porwany został i wsadzony na okręt.
- Znałem tego młodzieńca. Wychowałem i kochałem go, jak własnego syna i wszystkie sprężyny poruszę, by się dowiedzieć, gdzie przebywa. A jak zniknął Sternau?
- Mój Boże, całkiem nagle.
- I nikt nie wie, dokąd go porwano?
- Nikt — powiedział Alimpo.
- Ale sędzia z Manresy będzie przecież wiedział?
- Tak, ale on nikomu nie powie. Więc znaliście seniora de Lautreville. Czy on rzeczywiście jest francuskim oficerem?
- Nie pytajcie. Jego życie było pełne tajemnic, ale wszystko, jeśli Bóg zechce, wyjaśni się niedługo.
- Senior Sternau był przekonany, że to on jest prawdziwym hrabią Alfonso.
- Ten Sternau musi być nadzwyczajnym człowiekiem. Kto chce wyjaśnić tajemnicę zamku Rodriganda, ten musi sobie zapewnić jego pomoc. Tak, on musi być odnaleziony i ja się muszę tym zająć.
- O uczynicie to, uczynicie, wielbny ojczy! — prosiła kasztelanowa. — On jeden może biednej hrabiance i nam przyjść z pomocą.
- Nie będę się oglądał na żadne przeszkody, możecie mi wierzyć. Ale czy można zobaczyć tego rabusia, którego Gasparino zastrzelił?
- Oczywiście, leży w piwnicy — rzekł Alimpo.
- Zaprowadźcie mnie tam.
- Obaj mężczyźni udali się do piwnicy, w której leżał trup. Kasztelan chciał otworzyć drzwi prowadzące na dół, gdy Kortejo zastąpił mu drogę i groźnie zapytał:
- Czego tutaj chcecie?
- Ten zakonnik, chce widzieć zastrzelonego — usprawiedliwiał się Alimpo.
- A co tobie do tego? — wołał notariusz z gniewem — Nie jesteś już kasztelanem i nie wolno ci zamku pokazywać obcym, ani samemu po nim spacerować. Zresztą trup ma zostać z spokoju.
- Proszę wybaczyć, senior — rzekł zakonnik stanowczym głosem. — Jestem sługą kościoła i proszę o możliwość zobaczenia trupa.
- Co przyjdzie wam z tego? Idźcie swoją drogą.

— Ja zastępuję kościół, mam wypełnić ostatnią wolę umierającego i w tym imieniu żądam bezwarunkowo, bym mógł go ujrzeć!

— Co? Żądacie? Ośmielacie się rozkazywać?

— Tak, ja żądam! — odpowiedział mnich spokojnie. — Pan jesteś Kortejo?

— Tak.

— Dobrze. Rozkazów od pana nie będę przyjmował i bez pańskiego pozwolenia zobaczę zwłoki.

Otworzył drzwi i szedł parę kroków w dół, notariusz poszedł za nim. Piwnica była pusta, tylko na środku leżało kilka brudnych desek, a na nich denat. Adwokat z uwagą przyglądał się zakonnikowi.

— Cóż to był za umierający, którego ostatnia wola was tutaj przywiodła? — zapytał w końcu.

Zakonnik wskazał na trupa i powiedział:

— On właśnie.

— Jak to, przecież nie było was przy tym jak umierał?

— Ale jak ostatnio z nim rozmawiałem, to wybierał się na śmierć.

— Znaliście go.

— Owszem i to tak dobrze, jak pan.

— Ja? — spytał notariusz — Ja w ogóle nie znałem tego człowieka.

— Nie kłam pan! — rzekł mnich. — Zechcesz pan zaprzeczyć, że znałeś kapitana?

— On był kapitanem? — pytał Kortejo z chytrym uśmiechem.

— Panie! Nie jestem wprawdzie światowcem, ale pan mnie nie oszuka. Ten zabity musiał na wasze polecenie wymienić syna hrabiego de Rodriganda, musiał napaść na lekarza z Niemiec, miał zabić porucznika de Lautreville. Zastrześliście go pan, by się pozbyć niewygodnego świadka i współnika, lecz na jego miejsce przeciw panu powstaną inni świadkowie. Gasparino Kortejo, jesteście największym zbrodniarzem jakiego znam. Ja, biedny mnich będę waszym przeciwnikiem, którego nie zdołacie zgładzić. Nim kapitan wybrał się do was powiedział mi, że ci nie wierzy. Jeżeli nie powróci miałem się zainteresować jego losami, a w razie jego śmierci pomścić go. Odkryję twoje nieczyste drogi i matactwa. Tymczasem do widzenia!

Odrzucił notariusza i wyszedł z piwnicy, a wkrótce opuścił zamek. Kortejo stał niezdolny wypowiedzieć choćby słowa. Patrzył za odchodzącym bez przytomności. Po upływie chwili zdołał się opamiętać i z impetem zwrócił się do kasztelana, który stojąc w pobliżu, wszystko dokładnie słyszał.

— Czego tu jeszcze szukasz?, Precz! — krzyknął.

Ten oburzający ton dodał Alimpo niezwykłej odwagi.

— Senior! — odrzekł — Ja zapamiętam sobie wszystko dokładnie!

— Precz! — zaryczał Kortejo. — Jeszcze dzisiaj macie opuścić zamek!

— Należy mi się okres wypowiedzenia! — rzekł Alimpo nabrawszy odwagi.

— Wypląć wam za ćwierć roku naprzód, ale jeszcze dzisiaj macie się stąd wynosić.

Tymczasem dominikanin kroczył przez wieś i rozmyślał w jaki sposób dowiedzieć się o miejscu pobytu doktora Sternau'a. Hrabianka Róża niczego nie mogła się w Manresie dowiedzieć, więc prawdopodobnie on też nic nie zyska. Postanowił wyjechać w okolicznych wsiach, czy nie widziano bryczki sędziego z czterema żandarmami. Zadanie to nie było łatwe i szło jak po grudzie. Poza tym zakonnik musiał powrócić do jaskini, gdzie reszta zbójczej bandy oczekiwała na wiadomość o herszcie. Musiał pozostać wśród nich dokąd nie wybrano nowego przywódcy.

Wreszcie poszukiwania dały rezultat. Widziano bryczkę otoczoną czterema żandarmami, jadącą w kierunku Barcelony. Według informacji zatrzymała się dopiero przed więzieniem. Dominikanin postanowił zawrzeć bliższą znajomość z klucznikiem więziennym. To przyszło mu jednak z ogromną trudnością, ale gdy klucznik w końcu nabrał zaufania do człowieka w duchownej szacie, często zapraszał go do swego pomieszczenia. Zakonnik korzystał z tego ile razy było to tylko możliwe, z czasem zaczął odwiedzać w celach chorych więźniów, niosąc im słowa otuchy.

Gdy dowiedział się, że Sternau przebywa w więzieniu, zaczął poważnie myśleć nad uwolnieniem go. Ale do tego potrzebne były pieniądze. Myślał długo gdzie by je zdobyć, aż wreszcie przyszedł mu na myśl kasztelan, który po opuszczeniu zamku zamieszkał w Manresie.

— Bogu dzięki, że przychodzicie, ojcie — rzekł radośnie Alimpo na jego widok. — Już myślałem, że zupełnie o nas zapomnieliście. Moja Elwira była tego samego zdania.

— Przeciwnie, cały czas pracowałem nad planem oswobodzenia doktora Sternau'a.

— Doktora Sternau'a? Wiecie gdzie on przebywa?

— Tak, w Barcelonie, w więzieniu.

— W więzieniu? Och, słyszysz moja droga Elwiro?

— Słyszę, kochany mężu — odrzekła. — Założę się, że to sprawka Korteja.

— Nikogo innego! Czy długo tam jeszcze musi siedzieć?

— Jeżeli mu nie pomożemy, to nigdy nie zostanie uwolniony.

— My? Z serca, z duszy! — zawołał Alimpo. — Ale co my możemy zrobić?

— Dużo i mało? Macie pieniądze, senior Alimpo?

— Pieniądze? Ile? I na co?

— Senior Sternau nie ma naturalnie w więzieniu żadnych pieniędzy, a do ucieczki, gdzieś za granicę potrzeba środków. Co do mnie jestem biednym sługą bożym i żyję ze szczodroblowości możnych, więc ja mu ich dać nie mogę.

Alimpo zerwał się z krzesła, wyciągnął gwałtownie szufladę z komody, wyjął z niej parę woreczków z pieniędzmi i teczkę z banknotami. Położywszy je na stole, zawołał z entuzjazmem:

— Proszę! Bierzcie! Mam dosyć, bierzcie nawet wszystko!

— Ile tego jest?

— Cztery, a może pięć tysięcy duros, które zaoszczędziliśmy przez całe życie. Dla naszego doktora damy z chęcią, z całym sercem. Prawda moja droga Elwiro?

— Nie inaczej! — skinęła głową — Jak się uwolni, będzie może w stanie wyleczyć naszą biedną panią.

— A gdzie ona jest? — spytał zakonnik. — Zapewne w zakładzie dla obłąkanych?

— Nie. Jest w Laryssie, w zakładzie świętej Weroniki, którego przełożoną jest owa siostra Klarysa. Zakład ten ma dostać połowę jej majątku, dowiedziałem się, że już pojechała tam, razem z siostrą Klarysą.

— Nie broniła się?

— Nie. Jest zupełnie bezwolna, nie wie nawet kim jest.

Zakonnik pomyślał chwilę a następnie zapytał:

— Myślicie, że doktor Sternau potrafi ją wyleczyć?

— Oczywiście.

— Dobrze, muszę sobie ten zakład w Laryssie zapamiętać. Więc powierzycie mi tyle pieniędzy ile będę potrzebował?

— Bierzcie ojcze ile wam potrzeba, weźcie i wszystko, wszak już powiedziałem, nieprawdaż moja Elwiro?

— Tak, tak — odrzekła gruba żona.

— No, dobrze — rzekł zakonnik. — Muszę kupić konia dla niego, a może także i sobie, więc dajcie mi dwieście duros.

— Dwieście? To za mało. Weźcie pięćset.

— Tyle nie potrzebuję, przynajmniej nie teraz, ale wezmę, bo zawsze lepiej w takiej sytuacji mieć więcej niż mniej.

Wziął pieniądze i poszedł. Zakład świętej Weroniki leżał o dwie godziny drogi od Rodrigandy Jego duchowna suknia bardzo łatwo wyjednała mu wstęp, więc miał okazję widzieć hrabiankę Różę. Dowiedział się również, że nigdy nie mówi ani słowa i bardzo mało je. Była bardzo piękna, ale uroda jej była zimna, jakby anioł śmierci złożył na niej swój pocałunek. Cały dzień spędzała na małym cmentarzu, który należał do zakładu, szła tam rankiem, a wieczorem siłom musieli ją prowadzić z powrotem do celi. Ponieważ panowała ostra zima i na cmentarzu leżał śnieg, to wszystko to musiało mocno nadwierać słabe zdrowie dziewczyny. Nie było jednak nikogo, kto by się nią zajął.

Dowiedziawszy się wszystkiego mnich powrócił do Barcelony. Tutaj kupił konia i muła, zostawił jednak zwierzęta u handlarza, by mieć je pod ręką w razie potrzeby.

Tak minęły następne tygodnie i nadchodziły święta Bożego Narodzenia. Właśnie w wigilię odwiedził klucznika i dowiedział się, że jeden z więźniów jest umierający. Klucznik poprosił zakonnik, aby poszedł razem z nim, wziął przy tym ze sobą cały pęk kluczy, zapalił latarnię i udał się do więźnia. Podczas, gdy zapalał lampę, dominikaninowi udało się niepostrzeżenie jeden z kluczy schować do kieszeni.

O tym co zaszło w więzieniu, już wiemy. Gdy Sternau pomagał dźwigać klucznikowi zwłoki, zakonnik odebrał konia i muła, a potem udał się na drogę prowadzącą do Rodrigandy. Był bowiem przekonany, że doktor zaraz po uwolnieniu tam właśnie się uda. I nie pomylił się.

Gdy Sternau ujrzał zwierzęta i mężczyznę w duchownej szacie, zaraz domyślił się, że to ten sam człowiek, który był w celi.

— Czekacie na kogoś, ojczy? — zapytał.

— Tak.

— Na kogo?

— Na was, senior.

— Przeczuwałem to. Pewnie was wysłali, abyście mnie uwolnili?

— Tak, wsiadaj pan! Umiesz jeździć? Bo musimy w dwie godziny dojechać do Manresy, choćby konie miały paść.

— Dlaczego tak prędko i dlaczego do Manresy, a nie do Rodrigandy?

— Senior, wszystko opowiem po drodze, teraz nie mamy czasu.

Sternau dosiadł konia i popędził ile wierzchowcom sił starczyło.

Z rozkoszą wciągał w płuca świeże powietrze, po chwili zapytał:

— Nie widziałem was nigdy, zapewne hrabianka Róża was przysłała?

— Nie.

— Nie? To kto? — pytał zdziwiony.

— Senior Alimpo.

— Kasztelan? Na pewno z rozkazu hrabianki.

— Nie. Hrabianka jest chora i nie może wydawać rozkazów.

Sternau aż się zatrzymał.

— Chora? — spytał. — A co jej jest?

— Ona dostała... zapadła na tę samą chorobę, którą miał pan leczyć u jej ojca.

Ciarki przeszły po plecach lekarza.

— Czy dobrze słyszę? — pytał gorączkowo — Dostała pomieszania zmysłów?

— Tak.

— Więc i ona oszalała! — zatrzymał konia i prawie krzyczał — Gdzie ona jest?

— W zakładzie świętej Weroniki w Laryssie.

— Którego przełożoną jest siostra Klarysa, nieprawdaż?

— Tak.

— Już wszystko wiem! — rzekł zgrzytając zębami — czy fałszywy hrabia został już pochowany?

— Tak.

— A Alfonso został następcą?

— Tak.

— Gasparino Kortejo jest przy nim?

— Tak.

— Gdzie jest siostra Klarysa?

— Obecnie w swoim zakładzie.

— A kasztelan?

— Mieszka z żoną w Manresie, zostali oddaleni. To oni dali mi pieniądze na kupno tych dwóch wierzchowców. Alimpo da też panu konieczne do ucieczki pieniądze, senior.

— A wy ojczy, coście za jedni, dlaczego się mną interesujecie?

— O tym dowie się pan później.

— Nie, muszę wiedzieć zaraz, bo wtedy będę wiedział jak i co mam zrobić.

— Dobrze, otóż pomagam panu, bo chcę by i pan mi pomógł w odnalezieniu porucznika de Lautreville.

— Znacie go?

— Tak, on jest hrabią Alfonsem de Rodriganda.

— Czyli, że przecucie mnie nie myliło! Potem opowiecie mi resztę, teraz już wiem wystarczająco.

Popędził wierzchowce i pognali, że aż wiatr im szumiał w uszach. Nie upłynęły dwie godziny, gdy zobaczyli przed sobą Manresę.

— Zostawimy konie w gospodzie — rzekł Sternau. — Lepiej jeżeli nikt nas nie zobaczy.

Zsiedli, przywiązali parujące i drżące zwierzęta do żłobu w stajni i chyłkiem udali się do mieszkania kasztelana.

Alimpo siedział w swojej izdebce zajęty był rozmową ze swoją Elwirą. Właśnie spożyli kolację wigilijną i podzieliwszy się opłatkiem teraz wspominali ze współczuciem tych, co nie mogli w gronie swoich spożywać tej kolacji, gdy wtem drzwi się otwały i stanęli w nich Sternau z zakonikiem.

— Senior Sternau! — wykrzyknął kasztelan podskoczywszy z krzesła.

W momencie złapali go za ręce i otoczyli ramionami.

— O teraz już dobrze, wszystko dobrze! — wołała Elwira, roniąc łzy radości. — O, teraz nasza droga, dobra hrabianka będzie wolna!

— Tak, musi być wolna! — zapewnił Sternau — Wolna i zdrowa. Inaczej biada tym trucicielom, jeżeli moja sztuka lekarska jej nie zdoła uleczyć. Biada! Tymi oto rękami zmiażdżę ich! Ale mamy bardzo mało czasu. Senior Alimpo, opowiedzcie mi wszystko jak to się stało, ale prędko!

Kasztelan spełnił rozkaz i gdy skończył Sternau rzekł z namysłem:

— Hrabianka jest w rękach ludzi, przeciw którym, jak długo jestem w Hiszpanii nie mogę oficjalnie wystąpić. Uciekłem z więzienia, hrabiankę muszę uprowadzić z klasztoru. Muszę teraz wrócić do Rodriganda, by wziąć ze sobą niezbędne rzeczy. Będę potrójnym złoczyńcą. Muszę więc koniecznie z hrabianką uciekać za granicę. Alimpo, dacie mi pieniądze na drogę? Sądzę, że niedługo będę mógł to zwrócić.

— Weźcie wszystko co mam, senior Sternau — brzmiała odpowiedź.

— Czy senior uwolni hrabiankę? — spytała Elwira.

— Tak, jeszcze tej nocy.

— I gdzie pan z nią pojedzie?

— Do Francji, a może i dalej, do mej ojczyzny, do Niemiec.

— Senior, my pojedziemy także, czy nie tak mój drogi Juanie?

— Tak, my także jedziemy.

Słowa te wypowiedzieli z taką stanowczością, że można było poznać, iż decyzji swej nie zmienią. Sternau odrzekł:

— To niemożliwe. Bardzo mnie wprawdzie cieszy wasze przywiązanie i koniecznie bym kogoś potrzebował do pomocy przy chorej hrabiance, ale wy nie możecie przecież stąd odjechać. Macie dom i inne sprawy.

— Senior, my pojedziemy z wami — rzekł stanowczo Alimpo. — Dom, w którym mieszkamy jest własnością naszego siostrzeńca. Przysięgam, że pana i naszej ukochanej hrabianki nie opuścimy.

— Dobrze już — odpowiedział Sternau — Nie mamy czasu na sprzeczki, teraz trzeba działać. Pojedźcie razem z nami.

— O dzięk! stokrotne dzięk! — zawołał Alimpo. — Nieprawdaż, moja droga Elwiro?

— O tak, tego nie zapomnimy nigdy — odrzekła Elwira.

— Więc pan doktor chce jeszcze wstąpić do Rodrigandy? — spytał kasztelan — Bo ja mam jeszcze klucz do jednej z bocznych bram.

— Wspaniale, ale dziękuję. Wejdę całkiem otwarcie przez główną bramę! — odrzekł Sternau z dumą. — Przecież są tam jeszcze dawni służący, nieprawdaż?

— O, jest ich jeszcze dość.

— Dobrze, czy macie broń Alimpo? Dajcie mi.

— Senior, ja pojedę z panem.

— Nie, zostanecie, nie śmiecie niczego czynić, co mogłoby nam przynieść szkodę. Jadę sam.

— Senior Sternau, samemu panu nie pozwolę jechać — rzekł milczący dotąd mnich. — Przynajmniej ja muszę wam towarzyszyć.

— Może sobie tylko zaszkodzić, czcigodny ojczu.

— Ja zaszkodzić? O nie. Później się pan dowie, że miałem rację. Co do mnie nie potrzebuję się niczego obawiać.

— Jeżeli tak, to dobrze. Alimpo tymczasem przygotowuje się do podróży.

— Czy mam przygotować wóz? — zapytał kasztelan.

— Nie — odparł lekarz — W całej Hiszpanii, choć to rzadko spotykane, na drogach leży śnieg, potrzebuję raczej sań, a o te się postaram, w zamku.

— Senior! — zawołał kasztelan przerażony — Pan się zdemaskuje.

— Nie, już mówiłem, że wejdę tam otwarcie i zażądam dla hrabianki Róży sań podróźnych. Zobaczmy czy się ośmielą mego żądania nie spełnić. A teraz w drogę, ojczu.

Do kieszeni schował nabitą broń i opuścił dom. Czuł, że Różę musi uratować, nawet gdyby sam miał zginąć.



Po pół godzinie dojeżdżali do Laryssy. Zakonnik, nakazał udać się wprost do samotnie stojących zabudowań, których ponure mury ostro odbijały się od leżącego wokół śniegu.

— Jak się tam dostaniemy? — spytał Sternau.

— Przez mur cmentarny — brzmiała odpowiedź.

Mur nie był zbyt wysoki, tak że stojąc na koniu można było zajrzeć do środka. Gdy Sternau spojrział do wnętrza wskazał ręką na jakąś ciemną, nieruchomą postać, która jak statua klęczała pomiędzy grobami.

— Co to jest? — zapytał. — Pomnik?

Mnich rzuciwszy okiem w tę stronę, zawołał przerażony:

— Na Boga, toż to ona!

— Kto? Przecież do licha, chyba nie hrabianka?

— Właśnie ona, tak, na pewno.

— O tej porze, w tym śniegu? Rozumiem, chcą by zamarzła, by zdrowie sobie zrujnowała. O lotry, ułatwicie mi tylko zadanie!

Przeskoczył przez mur i udał się wprost w kierunku klęczącej postaci. Róża nie zareagowała na przybysza, klęczała pomiędzy krzyżami na śniegu, bez znaku życia, tylko na wpół otwarte usta świadczyły, że się modli. Poznał ją natychmiast pomimo habitu jaki miała na sobie, pomimo zapadłych oczu, trupiej bladości, która przy blasku gwiazd przeraźliwie odbijała się od ubrania.

— Rózo! — odezwał się drżącym głosem.

Nie słyszała.

— Rózo! — poprosił. — Spójrz na mnie!

Tego też nie usłyszała.

Klęknął przy niej i porwał ją w ramiona. Całował, szeptał najczulsze słowa, lecz ona nic nie słyszała, była niewzruszona.

Serce mu zamarło od boleści, jaką poczuł na widok tej ukochanej istoty. Lecz nie było czasu na rozmyślenia. Wziął ją i poniósł w stronę muru, zakonnik pomógł mu i już po chwili trzymając Różę przed sobą, galopowali do Rodrigandy.

Gdy ujrzeli przed sobą zamek Sternau zwrócił się do towarzysza i zatrzymawszy konia rzeki:

— Dziękuję ojcie, bardzo dużo zrobiliście dla nas. Lecz teraz nadejdzie najtrudniejsza sprawa, więc proszę bądźcie tak dobry, wróćcie do Manresy i zaczekajcie tam na mnie.

— Senior, ja pana nie opuszczę — odrzekł zakonnik.

— Ale ja nie mogę na to pozwolić!

— Dobrze, więc powiem panu, że ten hrabia Alfonso Rodriganda i Kortejo, to moi śmiertelni wrogowie. Nie boję się ich, więc naprzód, nie ma chwili do stracenia!

— Jeżeli tak, to niech się spełni wasza wola.

Popędzili dalej przez wieś. W gospodzie paliło się jeszcze słabe światło. Sternau podjechał do małego okienka i zapukał w nie. Po chwili otworzyły się ostrożnie drzwi i jakaś głowa odziana w potężną szlafmycę wysunęła się.

— Co nowego? — spytał gospodarz.

Lekarz pochylił się w stronę światła i zapytał:

— Poznajecie mnie?

— O Boże! Senior Sternau! — krzyknął właściciel karczmy.

— Czy zechcecie mi pomóc?

— Chętnie, ale jak?

— Idźcie do alkada i powiedzcie, aby z najstarszym mieszkańcem wioski zaraz zjawił się zamek.

— Co mają tam robić?

— Dowiedzą się na miejscu.

Popędzili dalej, Gospodarz zamruczał pod nosem:

— Senior doktor, skąd on się nagle wziął? Co on trzymał na koniu? Zdawało mi się, że chyba człowieka. A ten drugi, jakiś zakonnik, skąd ja go znam... czy to nie ten sam co niedawno był w gospodzie i wypytywał o wszystko?

Jeźdźcy, przybywszy do zamku zeskoczyli z koni przed główną bramą. Zamek sterczał jak olbrzymi, ciemny kolos, w żadnym oknie nie paliło się światło. Sternau zapukał do pomieszczeń portiera i po chwili za zielonymi kratami zjawił się służący.

— Kto tam, o tej porze? — pytał. — W nocy nie otwieram!

— Ale nam otworzysz. Henryku! — rzekł Sternau. — Sądzę, że mnie jeszcze pamiętasz?

Portier na dźwięk tego głosu natychmiast podbiegi do bramy.

— A, senior Sternau! Mój Boże! Zaraz, zaraz otwieram!

W pośpiechu otwierał zaryglowaną, żelazną bramę, przez którą dumnie wszedł Sternau trzymając na rękach Różę. Gdy służący zobaczył hrabiankę, to ze strachu o mało nie upuścił światła.

— O Boże! — zawołał. — Toż to hrabianka!

— Jak widzisz. Czy nie wiesz przypadkiem, czy jej pokoje są nadal wolne?

— Tak, nic tam nie zmieniono. Mam nawet klucze.

— Weź więc je i poświeć nam.

— Czy mam obudzić hrabiego?

— Zbudzimy go później, teraz chodź ze mną.

— A może chociaż pokojówkę hrabianki?

— Jeszcze jej nie odprawili?

— Nie, została przydzielona do pomocy siostrze Klarysie, gdy ta przyjedzie do zamku.

— Ją możesz zbudzić, ale bardzo cicho, by nikt inny przy tym nie został zbudzony.

Lekarz chciał sprawdzić jakie wrażenie na chorej zrobi znane otoczenie. Wniósł hrabiankę do jej sypialni i położył na łóżku. Ona jednak natychmiast zsunęła się na kolana ręce składając do modlitwy. Nie odzyskała świadomości. Gdy weszła pokojówka, kazał natychmiast przebrać hrabiankę, i przygotować do podróży, przez portiera zaś dał polecenie zwołania do jadalni całej służby. Sam udał się do pomieszczeń hrabiego Alfonso.

Alfonso spał. Nocna lampa dość jasno oświetlała pokój. Podszedł do łóżka i bez chwili wahania podniósł prawą rękę i z całą siłą uderzył śpiącego w czoło.

— Tak — szepnął z radością w głosie. — Zabić go nie zabiłem, ale stracił przytomność, teraz muszę go związać.

Użył do tego ręczników, a w usta hrabiego wetknął chustkę i opuścił sypialnię. Udał się wprost do notariusza, jednak drzwi do jego pokoju były zamknięte od środka. Delikatnie zapukał.

— Kto tam? — spytał po chwili Kortejo.

— Ja. Otwórz! — odrzekł Sternau udając głos Alfonso.

— Do stu piorunów! Co nowego? Czy nie można tego załatwić jutro? — pytał adwokat ziewając.

— Nie.

— No to chodź! Ciekawe co się znów stało.

Można było słyszeć jak wstawał z łóżka i zakładał szlafrok, poczym zbliżył się do drzwi i je otworzył.

— No chodź już! Co ci wpadło do głowy, żeby tak późno... Przerwał, a dalsze słowa ze strachu uwięzły mu w gardle. Sternau wkroczył do pokoju i zamknął drzwi za sobą.

— Zdaje się, że pan nie poznał mego głosu? — rzekł Sternau tonem ostrym jak stal.

— Sternau? — zdołał wyszeptać przerażony Kortejo.

Zrobił ruch, jakby chciał dopaść drzwi, w tej jednak chwili uderzony pięścią w głowę upadł na podłogę, jak bezwładna bryła.

W minutę później został skrępowany i zakneblowany podobnie jak Alfons. Sternau zamknął go na klucz i udał się do sali jadalnej, gdzie czekała zaciekawiona służba. Obecni

byli także alkad i najstarszy mieszkaniec wsi. Na to tylko czekał lekarz, powiedział aby wszyscy czekali cierpliwie na niego i udał się do adwokata.

— Senior Kortejo, związałem pana, aby móc z nim spokojnie pomówić. O tym, że jesteś największym łotrem jakiego ziemia nosi nie potrzebuję przypominać. Proszę więc nie dziwić się, że będę z panem postępował tak, jak na to zasługujesz. Wtrąciłeś mnie pan do więzienia...

Związany począł przecząco kręcić głową, ale Sternau ciągnął dalej:

— Nie kłam pan! Nie pomoże ci to wcale! Jestem znowu wolny, pańskie knowania na nic się więc nie zdały. Nawet pojmałeś hrabiankę Różę. Nie umieściłeś jej wprawdzie w więzieniu, lecz w klasztorze swej współniczki, co na jedno wychodzi. Też jest wolna i przebywa w zamku. Ogarnął ją szal. Ja jednak wiem, że przyczyną tego szalu, tak jak i szalu hrabiego, była trucizna. Nie potrząsaj głową! Wykonałeś zbrodnię swą z taką przebiegłością, że trudno to zrozumieć, lecz nadejdzie czas, że schwytam cię na gorącym uczynku, a wtedy... biada ci! Dziś to już chyba wszystko. Biorę hrabiankę Różę ze sobą, muszę zapakować potrzebne jej rzeczy oraz papiery, gdyż hrabianka, jak tylko wróci do zdrowia, a ja już za to ręczę, będzie się domagać wypłacenia swej części majątku. Posłuchaj, gdyby okazało się, że hrabianki nie da się uratować, ty umrzesz z mej ręki śmiercią najstraszniejszą, jaka tylko istnieje. Do jej wyleczenia potrzeba mi tego samego środka co do wyleczenia hrabiego, mianowicie piany człowieka zagłaskanego na śmierć. Ponieważ to ty wywołałeś szal będzie w porządku, jeśli dostarczysz antidotum. Będę cię teraz tak długo łaskotał, aż straszna boleść przyprawi cię o pianę. Gdyby ten środek nie okazał się skuteczny, zginiesz!

Przy tych słowach czoło adwokata pokryło się śmiertelną trwogą Sternau pochwycił więźnia, zaniósł go do bocznego pokoju i związał tak, że ten nie mógł się ruszać, potem poszukał naczynia, do którego ewentualnie mógłby zebrać pianę.

W miarę przygotowań rosła trwoga notariusza. Nareszcie lekarz zdjął mu z nóg cienkie, jedwabne pończochy, wziął z biurka gęsie piórko i począł nim łaskotać podeszwy związanego.

Tymczasem służba oczekiwała jego powrotu. Trwało to długo, lecz nikt nie odważył się wbrew rozkazowi oddalić. Wtem do jadalni weszła pokojówka kontezy mówiąc, że na górze słychać straszne krzyki. Postanowiono, że alkad z jednym służącym pójdą zbadać przyczynę. Gdy weszli na górny korytarz, włosy im stanęły dęba. Słyszeli jęki i krzyki adwokata. Pomimo, że miał w ustach podwójny knebel i leżał w jednym z dalszych pokoi, wrzask jego rozlegał się w całym korytarzu. Właśnie, gdy alkad chciał zapukać do drzwi nastąpiła cisza. Powrócił więc do sali, gdzie niebawem zjawił się także Sternau.

Prowadził on pod ramię hrabiankę. Wszyscy obecni przestraszyli się widokiem swej ukochanej pani. Lekarz powiedział:

— Panowie, czy znacie tę damę?

— Znamy! — zabrzmiało dokoła.

— Czy możecie przysiąc, kim ona jest?

Zdziwiono się tym pytaniem, lecz bez dyskusji odpowiedziano na to pytanie.

— Więc niech alkad powie, kogo ma przed sobą?

— Jest to hrabianka, Róża de Rodriganda–Sevilla — odrzekł.

— Dobrze, usiądź więc senior i wystaw mi urzędowe świadectwo, że to seniora, to hrabianka Róża. Wszyscy obecni podpiszą potem ten dokument.

— Po co?

— Chciano zamordować hrabiankę, zrobiono z niej wariatkę, chcę ją ocalić i potrzebuję do tego legitymacji.

Alkad chciał jeszcze zadać parę pytań, nie mógł pojąć otaczającej go tajemnicy, lecz Sternau prosił o czas do działania, musiał go więc usłuchać.

Potem udał się lekarz do pokoju, w którym sam niegdyś mieszkał i tam w obecności alkada i jednego ze służących zapakował wszystko co zamierzał ze sobą wziąć. Urzędnicy musieli mu także towarzyszyć do pokojów hrabianki, gdzie również zapisano wszystko, co miało być zabrane. Papiery znalazł w jej biurku i schował.

Alkad prosił o wyjaśnię tego tajemniczego postępowania i to w nocy, dopytywał się także o adwokata. Wreszcie Sternau rozkazał zaprząć najszybsze konie do dwóch sań, usiadł z hrabianką do jednych, w drugich zasiadł ksiądz i ruszono w drogę.

Obecni patrzyli aż sanie znikły w oddali, potem zaś patrzyli się jeden na drugiego. Cóż to było? Cóż to miało znaczyć? Skąd zjawił się tak nagle Sternau i dokąd zabrał hrabiankę? Czemu hrabia i adwokat nie pokazywali się wcale?

Udano się przed mieszkanie pierwszego i znaleziono drzwi zamknięte. Przyniesiono pierwszy lepszy instrument i wyłamano drzwi. Hrabia Alfonso leżał związany w łóżku, a knebel tłumił jego krzyki. Nie wiedział o niczym; ale gdy go uwolniono i gdy się dowiedział, że Sternau był w zamku i że wziął ze sobą hrabiankę, ubrał się prędko i pospieszył do adwokata.

Jego drzwi były również zamknięte, musiano więc je wyłamać i znaleziono Korteja w stanie nie nadającym się do opisu. Więzy wcisnęły się głęboko w ciało, knebel zmoczony był całkiem pianą.

Alfonso zarządził natychmiastową pogoń i sam wsiadł na konia by zawiadomić policję Manresy o tym wypadku.

Tymczasem sanie Sternau'a przybyły już do tego miasta. Radość kasztelana i jego poczciwej Elwiry, nie znała granic, gdy zobaczyli swą biedną panią.

— No, teraz nie obawiam się niczego — rzekł do księdza — ale później...

— Właśnie później nie potrzebujesz się obawiać, senior — odpowiedział zakonnik. — Chodzi tylko o to, by dostać się do pierwszych gór, resztą ja już się zajmę.

— Dokąd nas odprowadzisz?

— Aż za granicę.

— Więc możemy później się naradzić; teraz przede wszystkim trzeba się spieszyć. Wezmę hrabiankę i Elwirę do moich sań, Alimpo jedzie z tobą. W drogę!

Sanie ich opuściły miasto, właśnie w chwili, gdy Alfonso z orszakiem przybył do Manresy.

Konie były bardzo wytrzymałe, lecz w pobliżu gór natrafili na coraz wyższe warstwy śniegu, droga stawała się coraz bardziej uciążliwa, więc tempo jazdy uległo spowolnieniu. Omijano o ile możliwości większe miejscowości, co powodowało wydłużenie drogi. Pod wieczór konie były tak znużone, że musiano przenocować w oberży, stojącej przy drodze.

Następnego dnia zaprzężono wcześniej rano i ruszono dalej. Była to smutna podróż dla Sternau'a. Róża nadal go nie poznawała, cały czas była obojętna i tylko ustawicznie się modliła. Nadaremnie usiłowali z Elwirą zwrócić jej uwagę na jakiś przedmiot. Niemożliwe było wzbudzić w niej opamiętanie.

Zbliżało się południe i byli już w Pirenejach. Tam ponownie znaleźli samotną oberżę, a ponieważ konie ich znużone były jazdą przez głęboki śnieg, więc Sternau postanowił zatrzymać się na chwilę. Podróżni wysiedli i weszli do wąskiej, zimnej izby, gdzie właściciel nie mógł im dostarczyć czegoś innego oprócz ogromnego pieca i kromki suchego chleba. Na szczęście poczciwa pani Elwira przed wyjazdem z Manresy włożyła żywność i kilka flaszek wina do sań. Zajęto się tym teraz z całą gorliwością.

Kilka zwykłych stołków drewnianych i długi stół były całym umeblowaniem samotnego domku. Gdy goście weszli, zobaczyli przy stole człowieka nie wzbudzającego wielkiego zaufania. Miał na sobie obszerne, skórzane spodnie, skórzane kamasze, podarty surdut, na którym miejsce guzików zastępowały stare monety miedziane i wreszcie poszarpany kapelusz. Za pasem jego tkwił między dwoma pistoletami, wielki, długi nóż. Między kolanami trzymał starą strzelbę, a obok spoczywał jeden z tych wielkich, do niedźwiedzia podobnych psów pirenejskich.

Zobaczywszy podróżnych, usiadł bliżej kąta, podniósł jednak ze zdziwieniem oczy, widząc wchodzącego księdza, który nieco dłużej zatrzymał się przy koniach. Gdy ten go spostrzegł, wymienił z nim jakiś tajemniczy znak i wyszedł znowu przed dom.

— Skąd to jedziesz ojcze z tymi znakomitymi ludźmi? — spytał.

— Z Manresy — odrzekł zapytany.

— Ty sam jedziesz na saniach!

— Jak widzisz.

— Dokąd droga prowadzi?

— Do Francji.

— Czy to przyjaciele?

— Tak. Opiekuję się nimi.

— Niech więc jadą w imię Boże; spodziewam się jednak, że nam nie będą szkodzić.

— Szkodzić? A to w jaki sposób?

— Mogliby nas poznać i zdradzić. Czekamy na transport towarów, który ma niedługo nadejść. Było nas trzydziestu tam na poddaszu.

— Nie troszcz się o nic. Zatrzymamy się tylko na pół godziny.

Zapewnienie to uspokoiło rozbójnika; powrócił do izby i usiadł znowu w kącie. Widocznie nie troszczył się o podróżnych, przyjął jednak z wdzięcznością szklankę wina podaną przez Alimpa.

Tak minęło prawie pół godziny, naraz zatętniło na dworze i głośnie, wesołe nawoływanie rozległo się w pobliżu. Elwira stała właśnie przed wąskim okienkiem i spojrzała przez szyby. Nagle zbladła, załamała ze strachu ręce i krzyknęła:

— Święta Madonno; to żandarmi!

Alimpo wyglądał także. Cofnął się z oznakami strachu i zawołał:

— Korregidor jest między nimi!

— Który? — zapytał Sternau.

— Korregidor z Manresy.

— Ach ten, przyszedł w samą porę!

— Senior, opór jest niemożliwy. Jest ich przynajmniej dwudziestu.

Sternau przekonał się jednym spojrzeniem o prawdzie tych słów i rzekł stanowczo:

— Pomimo tego, ja będę walczył.

Wtem nieznajomy w kącie i rzekł:

— Nie rób sobie kłopotów, senior! Ja opiekuję się tobą. Sternau spojrzał ze zdziwieniem na mówiącego i zapytał:

— Kim jesteś?

— Szlachetny przyjacielu! Dalesz mi wina, za to będę was bronić. Czy nie widzicie, że ksiądz już wyszedł? Znamy się od dawna. Przywieźcie on posiłki. Bądźcie spokojni i zostawcie mnie całą robotę.

Alimpo ukrył się z Elwirą w najciemniejszym kącie. Sternau usiadł, trzymając broń w pogotowiu. Tymczasem zabrzmiały na dworze różne krzyki.

— To oni! — rzekł jeden głos.

— Tak, to są sanki i konie hrabiego — dodał drugi.

— Zasłużymy sobie na nagrodę! — wołał trzeci radośnie.

— Zsiadać! Wejść do środka! — krzyknął czwarty. Był to głos korregidora z Manresy.

Teraz drzwi się otworzyły z łoskotem i weszło czterech żandarmów z korregidorem na czele.

— A, panie Sternau, spotykamy się znowu! — rzekł zobaczywszy lekarza.

— Rzeczywiście — odpowiedział zapytany spokojnie.

— Mam wrażenie, że nie podobało się panu w Barcelonie. Uciekłeś senior, a to bardzo źle.

Oprócz tego popełniłeś znowu szereg zbrodni.

— Jaką na przykład?

— Porwanie i zbójcki napad na spokojnych mieszkańców Rodrigandy.

— To brzmi rzeczywiście bardzo źle! — zaśmiał się Sternau.

— Masz pan rację. Spójrz na te kajdany. Muszę pana skuć i z powrotem odstawić do więzienia.

— Spróbuj tylko! — rzekł Sternau wstając i przygotowując się do obrony.

Korregidor przezornie cofnął się o krok i rzekł:

— Przestrzegam cię, senior! Zaniechaj oporu. Mam ze sobą czterech żandarmów, a przed domem stoi ich piętnastu. Pański opór na nic się nie zda.

— Nie wierzę.

Słowa te wymówił nieznajomy siedzący w kącie. Korregidor zwrócił się w jego stronę zdziwiony.

— Kim jesteś?

— Przyjacielem tych państwa.

— A więc pomagałeś im?

— Nie, lecz pomogę teraz.

— Dobrze, więc aresztuję także i ciebie.

— Albo ja was! — zaśmiał się nieznajomy.



— Mnie? — zapytał korregidor ze złością. — Człeku, nie waż się stroić sobie ze mnie żartów!

— Rozglądnij się lepiej.

Korregidor spojrział i cofnął się ze strachem. Także jego czterej żandarmi odstępili na bok, gdyż w drzwiach pokazało się dziesięć strzelb gotowych do strzału, a przed bramą stało także kilku ludzi, którzy wycelowali swe fuzje na żandarmów stojących przy saniach.

— No i cóż? — zapytał nieznajomy. — Jak ci się to podoba, mój dzielny panie. Zaręczam, że nie potrzebuję nawet strzelb moich ludzi, by zatkać wam gębę na zawsze. Rzuć okiem na tego psa! Na jedno moje skinienie rozerwie gardło tobie i twoim czterem żandarmom. Tu, w górach wiedzą, jak obchodzić się z ludźmi twego gatunku!

— Na Boga! Jesteśmy zgubieni! — rzeki korregidor.

— Tak, to prawda. I ludzie twoi stojący na dworze, nie przeczuwają jeszcze co tu się dzieje. Chodzi o twoje życie.

— Cóż mam uczynić? — zapytał cichym głosem.

— Rozkaż swoim ludziom, by złożyli broń i oddali nam konie.

— To... to niemożliwe — rzekł korregidor zatrwożony.

— Musi być możliwe! Moi słyszą każde słowo, które wypowiadamy. Liczę do trzech. Gdy do tego czasu nie staniesz przy oknie i nie wydasz odpowiedniego rozkazu, dadzą ognia. Jest nas trzydziestu, żaden z was nie ucieknie. A więc raz... dwa... trzy...

Nie wymówił jeszcze słowa trzy, a już korregidor podskoczył do okna i otworzył je gwałtownie.

— Odlóżcie strzelby! — zawołał.

Żandarmi usłyszeli te słowa i patrzyli ze zdziwieniem na okno.

— Na miłość Boską! Złóżcie broń! — powtórzył — Cały dom obsadzony jest brygantami, którzy was zastrzelą, gdy nie posłuchacie.

Zdawało się, że ludzie słowom tym nie chcieli dać wiary, lecz nagle otworzyły się drzwi domu i ze środka wypadło przynajmniej dwudziestu rozbójników, trzymających strzelby gotowe do strzału.

— Podajcie się! Poddajcie! — nalegał korregidor z trwogą.

— Z warunkiem wolnego odwrotu? — zapytał jeden z nich.

— Tak.

Żandarmi wiedzieli, że rozbójnicy potrzebowali tylko nacisnąć spusty. Złożyli broń, oddali konie i odeszli upokorzeni. Czterej znajdujący się w izbie uczyniło to samo, mogli więc swobodnie iść. Kiedy jednak i korregidor chciał się oddalić, rozbójnik zatrzymał go mówiąc:

— Czekaj no, chłopcze! Muszę z tobą pogadać!

— O co chodzi?

— Zaraz się pan dowiesz — a zwracając się do Sternau'a zapytał: — Mam wrażenie, że pan nie jesteś zadowolony z tego śledczego?

— Zupełnie nie — odrzekł lekarz.

— Czy tylko dlatego, że teraz chciał pana pojmać? Czy może ma pan z nim jakieś stare porachunki?

— O, tak. Pewnego razu przyszedł do mnie, by mnie zawieść do pewnej damy, zamiast tego zawiózł mnie do więzienia w Barcelonie, gdzie siedziałem parę miesięcy.

— A, to teraz musi to odpokutować! Wyliczcie mu pięćdziesiąt na odwrotną stronę!

Chwycono go i mimo narzekań wyniesiono. Wkrótce słychać było mocne cięgi i głośny krzyk urzędnika, który na pewno nie myślał, że zamiast więźnia otrzyma pięćdziesiąt batów. Po ostatnim uderzeniu kulejąc odszedł.

Teraz wystąpił ksiądz.

— Widzisz senior, — przemówił do Sternau'a, — że miałem rację, twierdząc, iż tutaj, w górach będziemy bezpieczni.

— Ojcie, jesteście dla mnie zagadką, dziękuję z całego serca — odrzekł lekarz.

— Może pan kiedyś tę zagadkę rozwiąże, teraz jednak pozwól, że udamy się w dalszą podróż, by przed wieczorem przekroczyć granicę.

Sternau chciał okazać wdzięczność brygantom, oni jednak nie przyjęli żadnej podzięki, zdobyli przecież broń i konie.

— Pomoc ta nadeszła w samą porę — rzekł Alimpo przy wsiadaniu. — Nieprawdaż, moja droga Elwiro?

— O tak... — odrzekła. — Sądzisz, że korregidor w Manresie będzie opowiadał, że dostał pięćdziesiąt batów?

— Nie. Ale ja napiszę o tym, do naszego kuzyna. On na pewno opowie o tym innym, moja droga Elwiro.

Konie odpoczęły, więc z nowymi siłami pobiegły w stronę granicy. Kiedy Sternau odpowiadał na pożegnania brygantów, nie myślał wcale, iż po latach spotka ich powtórnie na tym samym miejscu.